

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Bożena Budzińska**

**TRANS**

## Trans (I)

Zespół „Depresionic Small” zaraz zacznie następny kawałek. Mówię ci, to dopiero kapela! Lider suchy jak wiór, gitara wisi na nim jak na szkielecie, koszulka skórzana nad pępek i opadające portki, wszystko z tatuowanej małpiej powłoki, najczystszy okaz trupa z naczelnych, a jak przygrzeje przed występem, nie ma sobie równych; chrypi, naprawdę daje głos i rozdziera bełkocik babskiego chórkę, który cały czas stoi na scenie i potrząsa czerwonymi szmatkami, oczywiście w odpowiednim świetle i niech mnie struna pod prądem przeleci, jeśli łzę.

Oprócz tego czterech identycznych chłoptasiów, od perkusji po organki, nie rozpoznasz, bracie, który na czym rzępoli, łebki ogolone i peruki blond, makijaże czerwono-czarne i styl pod płaski cycek, że to niby nie wiadomo, chłop czy baba, ale wprawne oko się pozna i gwizd, gwizd to podstawa, niech ci na estradzie wiedzą po co wyleźli zza kulis, podłączyli się do instalacji i wałą jak w kamieniołomach, echo pluszcze nawet w kieliszku po powierzchni drinka, w okularach samochodowych, miseczce do lodów, a potem zwała się na parkiet z brzękiem metalowych obcasów i rzezi, jakby spodziewało się zstąpić pod ziemię.

Nigdzie dalej nie trzeba chodzić, żeby zabić czas, stąd na czworakach do domku doleziesz, panie Tomku, gdyby znalazł się frajer z pełną kabzą i sypnął na bar trochę grosza. Po co pchać się do autoklapu, gnać gdzieś do obcej dzielnicy, chyba, że specjalnie na panienki, mówię, to mógłby być powód, tu ciągle te same, sto razy przeleciane glizdy, wiesz nawet przez kogo i w jakim kącie, ale za to swojskie, bo one też lubią kiwać się przy „Depresionic Small”, a sikają w tym samym rytmie, co i ty, bracie, no i kiedy zabraknie im na kibel, pędzą w krzaki; chi!, chi! wołają i możesz wtedy zadziałać, ale uważaj, i one, te małe, bez gazu nie chodzą, a co niektóre z nożykiem, widzisz, niby dla szpanu, ale mogą cię załatwić na cacy, poczyta sobie taka gazety i zaraz bierze każdego faceta za perwersa, no to po co, powiesz, tu przyłazi, rozkracza się i mruga, gdy „Depresionic Small” rozpoczyna przebój, nie brak takich, które pchają się i na stopnie estrady.

Ale ty nie o tym chciałeś, rozumiem, zaraz przejdę na tamten temat, niech tylko pogasną światła i zabrzmi znów akord na *Cienie*, numer jeden listy przebojów na ten miesiąc. Utrzyma się do końca sezonu, nie kumasz? To szlagier nad szlagiery, już sam tekst przekona każdego z nas albo byle dziwkę, mógłbyś zarobić, mówią mi, gdybyś przyjmował zakłady od alfonsów, która zostanie pierwszą dupą sezonu, niechby cipiarze stawiali na blondyny, rude i czarne, na cycate i płaskie, każdy na tę najdoskonalszą swego ekranu.

Zauważyłeś to? Wszystko trwa tu tak krótko i szybko się zmienia, właściciele urządzili salę tak, że czujesz się jak w środku telewizora, siedzisz przy oświetlonym stoliku, a wokół ciemno, z mroku dochodzą głosy i szmery, nie wiadomo, kto cię fotografuje, a kto może strzela, ot, przemycił broń i wybrał pierwszą lepszą ofiarę, niepotrzebnie to robi, promienie same dążą za tobą, masz pietra, śledzą cię jakieś moce i czegoś chcą, wyłączyć telewizor albo zrobić jeszcze coś gorszego, nie, ty nie umiesz sobie wyobrazić życia poza ekranem, jesteś już w nim naprawdę i będziesz, dopóki ktoś go nie roztrzaska na połyskujące drobinki. Wtedy ustanowisz się w każdej z nich z osobna, taki powielony i pomniejszony, zobacz, ten klub tak działa muzyką i rozmowami, zdaje ci się, że wciąż gadają o tobie przy stolikach i dziwisz się podchodząc bliżej, oto zupełnie inne tematy, rozmowy i ploty, tylko „Depresionic Small”, wszystko zbliża, miesza, muzyczny koktajl czy jak sobie chcesz, możesz każdy akord przyjąć za wyzwanie i ruszyć na ulicę, między bezbronne samochody, im zawsze łatwo dołożyć w szybę albo w blachę parę kopniaków i jeszcze raz, niech się wiją i składają jak leżaki, a bebechy wyplują na chodnik, o tym też trzeba śpiewać, chodźmy na parkiet, tu wolno wyć w każdym stylu, a jęki przydeptanych podkutym butem i tak zagłuszy gitara

lidera, a pękający od uderzeń bęben zaskomli niczym pies.

Ale mi się pysk rozgadał, paplam jak nadmuchana gęś albo gołąbek na jesiennym wietrze, pal licha, i tak wiem, że masz do mnie tę samą sprawę, co i wszyscy, ale powiedz, powiedz, dupku pieprzony, kto ci pozwolił włączyć na nie swój teren i wkładać paluchy do ognia, kiedy najgłupszy grajek w mieście wie, gdzie jego biznes.

Siadaj! Zrobimy tu sobie audycję w najprawdziwszym telewizorze, z czym pan do nas przychodzi, kłopoty jakieś czy co, pomożemy w miarę naszych, no, ryzygnąć, jak daleko sięga paw, aleśmy się ubzdryngolili, codziennie by się tak chciało, jeszcze jedno wino lepsze jak jasna cholera, słodkie wino z sokiem, portwajn taki dla ubogich, ale kto raz go spróbował, nie pociągnie niczego innego, mówię ci, koleś, zostaw tego szampana dla piczek, one tak słodko polizują bąbelki za bąbelkiem, najlepiej pod lody, no i jeżeli chcesz, człowieku, taką nieużywaną, musisz zapychać sobie żołądek słodyczami i innym świństwem, gardenie czy pistacje, jeden to syf, a na dodatek gazować w portki, bo taka pilnuje jeszcze, byś się napełnił, nim trunek utraci szampańskie właściwości. Jej nie przeszkadza, że bekniesz, twoje prawo czkać i pierdzieć przy stoliku, musisz to sobie tylko zawarować, ona ma tam te swoje perfumy, nie poczuje nawet smrodu albo pomiesza się jej duch z duchem, widzisz, wszystkie one znakomicie blefują, że niczego nie zauważyły, a potem leją się z ciebie, on nie ma za grosz dobrego wychowania, a my przecież tylko udajemy równe i wyzwolone, aby się jak najlepiej sprzedać.

Jasne! Masz kłopoty z cieniem. Od razu wiedziałem. Przez ćwierć wieku służył ci wiernie, wstawał razem z tobą o ósmej, nie, o dziesiątej, ty przecież nie należysz do tych parszywych roboi, których trzeba odganiać od baru, żeby się napić kulturalnie, w równym towarzystwie: Jim, Jack i ja, zawsze we trzech robiliśmy tu klimacik, szkoda wysilać bluesa dla byle kogo, takiemu od taśmy nie udzieliłbym porady za żadną sumę, no bo sam pomyśl, po co mu cień? Jeszcze jeden obowiązek, jeden wydatek, wiesz, w centrum urządzili specjalny sklepik dla cieni – kurtki, płaszcze, kapelusze i szaliki, bielizny tylko tam nie ma. Podobno cienie nie marzą, mogą się więc lekko ubierać, mają za to więcej fantazji i fasony trzeba im wybierać takie postrzępione, mówił sprzedawca, ale mój klient i tak kupił swojemu kurtkę wojskową, trochę dłuższą niż moja, żeby naprawdę wyglądał jak cień, poza tym płaski kapelusik, bo jeszcze zacząłby upominać się o kask.

Nie wystarczy od cienia wymagać, trzeba o niego dbać! Wręcz kosmetycznie, palancie. Wprawdzie milcząca większość utrzymuje, iż ta właśnie nasza część nie śmierdzi, ale ja mimo wszystko polecałabym delikatny dezodorant barwy wczesnej konwalii, kosmiczny to nonsens, jakby gówno godziło się ze zbyt mocno wyperfumowanym mydełkiem.

Musiałeś czymś zarazić ten twój delikatny element, w przeciwnym razie nie dałby się tak łatwo porwać albo kupić, nie ustaliliśmy zresztą, co tak naprawdę mu się stało, nie można wykluczyć, że zwyczajnie uciekł do zasobniejszego właściciela. Nikt nie dał ci gwarancji na trwałe działanie świetlnego odbicia w ciemności, słyszałem od wielu osób, że drugi cień wcale im nie przeszkadza, mógł więc dołączyć do korowodu, być może zawsze chciał być bliźniakiem i teraz dobrze bawi się z tym drugim.

Ale tu smród! Sto szklanek i fury petów, zmiętych serwetek, na których nikt nie wypisuje miłosnych prowokacji, w ogóle trudno chyba oczekiwać pozytywnych uczuć w takim hałasie, telewizja nie umywa się do dźwięków „Depresionie Small”, ja ci to mówię.

Jest taka piosenka, w której zespół zbliża się do samego krańca estrady i przytupując nieregularnie, rozmawia z własnym cieniem. Śpiewa:

Gdzieś na granicach świata, a są tacy, co wierzą w jego skończony, płaski wymiar, dzieją się rzeczy niewiarygodne, zawody między cieniami i pojedynki, a może nawet romanse, wcale nie musimy o tym wiedzieć, w tajemnicy przed nami nasze ciemne odbicia mogą umawiać się na schadzki i obgadywać nas przy tym, a mają nad nami przewagę, nie myśl, idioto, że tego nie doświadczyłem, one nie jedzą ani nie piją, nie

mam tylko pewności, czy aby na pewno nie kopulują skrycie na murach, jak dotąd nikt nie dał świadectwa za ani przeciw. Trudno je podpatrywać, wychodzą z nas o dowolnej porze, a jesienią i zimą mają tysiące okazji, żeby się odłączyć, światła gasną na ulicach, żaden wózek nie skręca w zaułek, a neony też jakoś się zafajdały, może ktoś poczęstował butelką przewody, przypadki chodzą po ludziach, czemu więc nie po cieniach?

Nie rozumiem, dlaczego w tej piosence nie ma być trochę prawdy. A co ty o tym myślisz? Będiesz długo tak siedział skurczony i speszony, niedorobiony jakiś? Milczysz i wzdychasz, jakbym cię kopał po jajach albo choćby walił w ryj, a ja się staram i główkę, co też twój cień przeskrobał, rozpaczą niczego nie osiągniemy i zostaniesz już taki połowiczny, będą cię straszyć cebulą albo czosnkiem, lustrami zaciemnionymi rtęcią, a co, może nie słyszałeś o najnowszej metodzie rozpoznawania wampirów, robi się taki zieloniutki jak stare masło i cuchnie tak samo, nawet nie musi udawać, że oddycha i otwierać ust:

O, złote wargi jedzących krew, ty, mały, zaczynałeś pewnie od kaszanki i salcesonu, tylko potem cię skrzywdzili, przestawili na świeżą farbkę pod ciśnieniem, chodź tu teraz i baw się razem z nami, trzeszcz szkieletem, który krzepnie w tobie, zafajdany truposzu, boisz się nas, bo możemy o tobie zaśpiewać. A jak piosenkę rozniosą po świecie, słowa i rytm znać będą każdy żebrak i łobuz, nie popijesz sobie, o nie! Usiądź w kąciku, zaburczy ci w brzuchu, ale i tak uśmiechniesz się, słuchając naszej piosenki. My się ciebie nie boimy, wcale a wcale, przyjdź do nas i napij się z cieniami nalewki na kurzu. Bo my kochamy każdy cień, zmierzch i zmrok, wypędzeni z dnia, wygnani spod słońca. A im bardziej wchodzimy w jesień, wciskamy się w wiatr jak w pokurczony płaszcz, tym nas więcej, głosu, którym jesteśmy i będziemy jeszcze jakiś czas.

Taki to już jest „Depresionie Small”, te ich teksty rozrastają się i giną potem w muzyce, ale ty sam, chcąc słuchać dalej, komponujesz w pamięci i układasz wiersz, i ty też, cieniem jesteś czy człowiekiem, wszystko jedno, powiesz i ruszysz na parkiet, pod spadające płatki sztucznych kwiatów, nieco przykurzone, tak samo jak zbyt długo używany cień, taki cwaniak może żyć wielokrotnie dłużej niż jego pierwszy pan, pierwowzór czy jak chciałbyś się nazwać w obliczu stadka cieni, które oczekuje od ciebie tej nominalizacji, żąda określenia, jaki to byt śmie wymagać posłuszeństwa, ustawiać cień na swoje podobieństwo, a potem jeszcze z niego szydzić, wywalać jęzor, czego nie widać na ścianie, choćby wokół ustawiono najsilniejsze reflektory, ciemność to ciemność, nie precyzyjną się przez jej uogólniający kształt żadne zbyteczne szczegóły, dlatego pewni dawni kochankowie gasili światło, zanim w siebie wstąpili powoli i ceremonialnie, żeby i ta czynność miała pozór ostateczności.

A może cień jest wieczny i jako zagadka nieśmiertelności próbuje i nas zaszyfrować, to bardzo zabawny pomysł – odwrócić proces, niech kod sam siebie rozwiąże i poda nam na tacy swoje parametry. Jakże mądry musiałby być taki tułający się cień! Pięćdziesiąt lat przy jednym, koło setki przy drugim człowieku, tyle doświadczeń, ciekawe czy miał czas na odpoczynek, między tak trudnymi obowiązkami należy się oddech, ale ciężko dojść swego, każdy o tym wie.

Mówisz, że byłbyś zazdrosny o to przedłużone trwanie? Nie wziąłem pod uwagę takiej reakcji, co ze mnie za idiota, doprawdy, aż ciężko przyznać się do takiej przypadłości. Rzeczywiście, w pełni uświadomiona zawiść może utrudnić współpracę między formą cielesną a jej cieniem. A gdyby była to obustronna zazdrość? Cień wpadałby w szal na myśl o orgazmach swego ucieleśnienia, a znamionując się prawdziwym bytem, wnosiłby reklamacje do stwórcy, świetlistego pogrzebacza czy jak go tam inaczej nazwać przy ołtarzu dla cieni.

Przepraszam, rozgadałem się w fachowym języku, masz prawo mnie nie rozumieć, ale kiwasz łepetyną, dobrze, nie będę przekładał tych zdań na mowę kawiarnianą. I tak mam dużo roboty, kiedy ścigam cienie, a to ostrzegaj je w ich języku, a to groź i wydawaj polecenia, jeśli te zwidy są gotowe do współpracy. Najczęściej niełatwo godzą się na powrót

do właściciela, trzeba im godzinami tłumaczyć, że bez kontaktu z cielesną formą cień po jakimś czasie może wpaść w ręce łapacza, takiego hycła na nieśmiałe byty, no i kto wtedy nieszczęśnika wykupi? Pan przyzwyczai się do życia bez cienia, znajomi do pana. A cień, czy będzie umiał obejść się ze smakiem, gdy wypadnie pora kolacji i mógłby drogą przenikających go woni brać w niej udział, pochylić się nad pełnym półmiskiem i scalić swoje refleksy na ścianie w wyraźną postać?

Pytałem o to gitarzystów „Depresionic Small”. I wiesz, co mi odpowiedzieli? Zbliżyli się do kulis i na tle oddzielającej je kotary dali spektakl specjalnie dla mnie, lubię to – jeden widz i plejada aktorów, jakby pomnożyły się nagle cienie, gdy zapalasz wszystkie światła, a zza mrugnięć reflektorów migają do ciebie portrety, zniekształcone na tysiąc sposobów, choć naturalnymi gestami wywołane. Ale można ustawić się tak, że odbicie ściągnięte w linię, wąskie i niemrawe, będzie chwiać się jak struna gitary i cztery takie równoległe mogą utworzyć magiczny instrument, którego muzykę słychać tylko w świecie ciemnych odbić, nawet skośnoocy specjaliści od teatru cieni pochwalili ten pomysł, gdy zaczęliśmy go wykorzystywać podczas przedstawień dla turystów, ale miejscowi nie byli zadowoleni, zaniechaliśmy więc tej zabawy i dopiero gdy wszyscy goście zachleją dziób albo wyniosą się spać do pokoi, znów próbujemy tamtych efektów.

Chcesz, to możesz zostać na dzisiejszym przedstawieniu, od pewnego czasu każdego wieczora ktoś próbuje przekroczyć tę migoczącą linię, zerwać ją nawet; a zaczęło się tak: jakiś atleta, nie z cyrku, skądże, ale prawdziwy sportowiec z medalami, taki co to dla wyczynu zaryzykuje parę ścięgien, forsę można robić i będąc dziadkiem, powiesz, a on tymczasem ściągnął dres i zwołał z ulicy parę osób, ogłaszając próbę zerwania linii cienia, wszedł na estradę przy prawie pustej widowni, cóż, epokowych wyczynów dokonuje się bez publiczności. A znużony, pijany, bo wszyscy mu stawiają „Depresionic Small” i dziś podniesie się, śpiewając raz jeszcze dla naszego bohatera:

Zerwana linia cienia nie odejdzie w noc, o, brońcie się przed jej uderzeniem Którzy-Przystąpiliście-Na-Drodze! Dobrze wam tu i bezpiecznie też, wiadomo, tędy nie przejeżdżają dzicy rowerzyści. Dzisiejszego wieczora powinniście postąpić o krok, nie zagradzać przejścia zbolalej linii i jej władcy! Kto wie, jak cierpi cień? No kto? I jak boli od niego cios, gdy pada w przestrzeń oderwany od muru? Chce choćby chodnika się uchwycić, położyć, a tu krach, krach całej jego jedności! Próbuje znowu napęcznić ciemnością, ale złe światło dotarło już wszędzie! Reflektory tańczą, ścigają kurz, biją się kolorami. Ruszajcie więc i nie zatrzymujcie się, póki świt nie zwoła cieni na poranny podział kryjówek. Najlepszy detektyw nie wytropi cienia w zenicie waszych możliwości, ale gdzie tam wam do s z c z y t u! Zajęliście pierwszy lepszy kawałek chodnika, a na nim dom, schronienie bardziej niedoskonałe niż wam się wydaje. Oszalały cień może je zdmuchnąć. Złapie wiatru w usta i dopiero wam pokaże! O, nie igrzajcie z cieniami, mieszkańcy! Uwaga, uwaga, powracają! Może wasz dom wybrały na kolejne nocne spotkanie? Nie słuchają już waszej muzyki, ale powrócą, wszyscy goście wracają za jakiś czas, wchodzą znów do naszego pudełka posiedzieć albo zatańczyć.

I znów rytm „Depresionic Small” podpowiada, co powinienem zrobić. Zaczekamy na naszego siłacza, będziesz może świadkiem zerwania linii, paniki i barw, zamieszania i radości, a jeśli z pękającej nici wypłynie zbiegły cień, przywołasz go i razem pójdziecie szukać pasjonujących zajęć, a czy będzie ci pomagał czy przeszkadzał, zależy tylko od was. Możecie się nawet zamienić rolami, zdarza się, że ludzie zazdroszczą umarłym, mogą więc szaleńczo pragnąć poznać naturę cienia albo... mam coś nowego, sprzedam ci to, łachmanie człowieczy, za następne trzy bańki, dołóż no, dołóż, nie żałuj! Pięknie dziękuję. Stopisz się z twoim cieniem, wchłoniesz go i nie rozdzielicie się ani na chwilę, będziesz miał go w sobie jak drugie „ja”, głos obcy i równocześnie własny, a gdy cię ludzie spytają, dlaczego jesteś taki

szary, śmiać się im w nos ci nie zabronię.

Bo cień nauczy się swoich sztuczek, przenikania i uciezek, nie wydasz na taksówki wieczorami, po co je brać, gdy nie grozi niebezpieczeństwo, on otoczy cię całego jak drugą skórą odporną na kule, zimno i uderzenia.

Nie bredzę, o, nie! Dlaczego nikt przede mną tego nie wymyślił? A skąd mam wiedzieć, ciapciaku, szkoda czasu na twoje marudzenie, zapytaj innych odkrywców, wzruszą ramionami tak samo jak mój cień, zobacz, dobrze go wychowałem, wykonuje za mnie różne głupie gesty, nie muszę się wysilać. Chyba i za to należy mi się patent? Cień w duchowym kagańcu i na sznurku, popatrz, kto tak potrafi ujarzmić fizyczny fakt i jeszcze przewidzieć, że za chwilę mnie zaatakujesz, bez skutku oczywiście, bowiem staną między nami dwa cienie, mój i twój, który już prawie udusił się w kieszeni twojej kurtki i ma najszczerszą ochotę rozsadzić stalowy suwak.

## Sprzedawca kadzidła

Pochylony nad stolikiem, poprawił okulary, potrząsał zabawnym warkoczykiem i podnosząc powoli głowę, patrzył uważnie na przechodzących ludzi. Może szukał wzrokiem klientów wśród wymalowanych jaskrawo kobiet i tępych twarzy pryszczatych młodzieńców, wyobrażając sobie, jak słodkie zapachy tłumią tłustą woń maści, szminek czy tandetnych perfum, a przede wszystkim papierosów i mięsa, kiedy trwa sobotni wieczór, ludzie siedzą przy stole, jedzą i myślą o tej spokojnej nocy, która nadejdzie niczym wyrok, że właśnie teraz muszą się kochać, bo jeśli się na to nie zdecydują, minie ów łaskawie dany im czas, będą musieli czekać do następnego tygodnia, a to bardzo, bardzo długo i wiele złego może się wydarzyć przez siedem dni.

Twarz miał nieprzeniknioną, więc tylko domyślałem się, o czym marzy. Chce pojechać tam, gdzie wyrabiają olejek lotosowy albo te cudowne płonące patyczki najwyższej jakości, które same wiedzą, kiedy zdusić płomień i zacząć się tlić powoli, wypełniając dymem pomieszczenie świątyni albo mieszkania, wszystko jedno, przecież dom, myślałem, to najświętsze miejsce i w nim powinno najpiękniej pachnieć.

Było bardzo zimno i sprzedawca krył dłonie w rękawach kurtki. Sam nie wiem dlaczego zdecydowałem się wracać z pracy piechotą. Wisząca nad centrum mgiełka, wilgotna i przenikliwa, nie przeszkadzała mi zupełnie, pierwszy raz w życiu ogarnęło mnie pragnienie iść tak przez późnojesienny, bezsłoneczny mrok dnia, jakby ta przechadzka mogła zauroczyć wszystkie kłopoty albo przynajmniej opóźnić gwałtowne pukanie do drzwi pięści listonosza bądź sąsiada, który znów pomylił piętra, pewnie specjalnie po to, aby oderwać mnie od pasjonującej książki. Ale czy tak naprawdę czekała na biurku wspaniała powieść czy tomik wierszy, nie, po co oszukiwać siebie, że czyjś świat może wciągnąć, zaproponować podróż albo parę nowych, drobnych odkryć, choć podobno z nich składa się życie.

Nie, wtedy nie czytałem niczego, nie miałem także komu odpisać na list czy na kartkę, listonosz od tygodni omijał mój dom jak siedzibę królowej wszelkiej zarazy, a ja sam też pewnie zaniedbałem korespondentów, choć nie jestem pewien, czy nie pomyliłem na przykład adresów, miast czy pocztowych numerów adresowych, wysyłając nie tam gdzie trzeba grzeczne życzenia imieninowe lub podziękowania za życzliwą pamięć.

Jeszcze tysiące innych rzeczy migotało w pamięci i natychmiast gasło, kiedy obojętnie mijalem zabytkowe budowle, dla mnie mogłyby nie istnieć, mówiłem w tym okresie życia przeróżnym znajomym, nie potrafię kontemplować kamiennego piękna, wszystko mi jedno, czy idę drogą, którą niegdyś prowadzono królów na uroczysty obiad albo zbuntowanych rajców na ścięcie toporem, czy też drepcę ubitą ścieżką między ruinami, byle tylko coś osłaniało mnie przed wiatrem. Wiatr! To on przygnał do mnie inny niż zwykle aromat, zmuszając bym podniósł głowę. Idąc patrzę zwykle pod nogi, ale wtedy spojrzałem w prawo i w cieniu bramy zobaczyłem mego sprzedawcę. Mogę go chyba tak nazwać, moim, gdyż potem, przez kilka miesięcy, podniósłszy dzielnie kołnierz, w ciepłych rękawicach i szalu, sprawiałem sobie przyjemność tym cotygodniowym spacerem, który wiódł mnie niezmiennie do stolika z płonącym kadzidłem. Ale to pierwsze spotkanie zrobiło na mnie największe wrażenie, może dlatego, że ów człowiek zachowywał się odmiennie niż pozostali sprzedawcy, ze sklepów spożywczych i cukierniczych, straganiarze i dostojni jubilerzy, którzy tracą zainteresowanie klientem, kiedy już zamkną w kasie jego pieniądze. Kamienieją jak mijane w pośpiechu domy patrycjuszki sprzed kilkuset lat, oni też każdą cegłę oplacali przecież z zysków handlowych, wysysali klientom z łakomej śliny i krwi.

Nienawidziłem sklepów od zawsze, tak jak liczenia drobnych sum, nawet po gazetę dla mamy chodziłem do kiosku z dziwną odrazą, a było u nas jakoś tak, że przy śniadaniu to ona



czytała ogłoszenia, zaś ojciec siedział ze znudzoną miną. Dokładnie odwrotnie niż w dowcipach rysunkowych. Ten jednak prowizoryczny straganik na stoliku kempingowym przyciągnął mój wzrok i zatrzymał na dłużej niż powinien. Miałem nawet pieniądze w kieszeni, choć rano zwykle zapominam ich zabrać, spieszę się nie wiadomo dokąd i muszę jechać na gapę autobusem, bo nie stać mnie na bilet.

Postanowiłem potargować się z wychudzonym mężczyzną, bladym jak mgła, która zasnuła ratuszowy zegar, uniemożliwiając mi jakąkolwiek orientację w czasie, a że kieszonkowej „cebuli” po dziadku oczywiście nie włożyłem rano do kieszeni, nic nie gonilo mnie, nie ponaglało, że właśnie straciłem pięć minut i powinienem przyspieszyć kroku, nie zważając na szybkie bicie serca, ucisk w skroniach, to nic, trzeba zdążyć na czas, punktualnie o trzeciej włożyć klucz do zamka i przekręcić go szybkim ruchem jak tysiące innych osób, na tym właśnie polega film, w którym występujemy z woli wszechmocnego reżysera i taki sprzedawca kadzidła niepotrzebnie komplikuje akcję, pcha się w kadr na siłę, nie pasuje do krajobrazu ani do scenariusza, jak ten człowiek się tu dostał, kto mu pozwolił, przecież miejskie męty powinny go stratować, zapluć i zdeptać ten straganik, rozłożony blisko kamiennej ławy, na której popijają wino, palą papierosy i klną na wszystko, co pojawi się w odległości kilkuset metrów.

Włożyłem rękę do kieszeni kurtki, jakby chcąc pokazać sprzedawcy, że być może przeliczam pieniądze albo po prostu je mam i zamierzam wydać na rzeczy niekoniecznie najbardziej potrzebne. On tymczasem poprawił na nosie druciane okulary, które – o dziwo – nie zaparowały na tym zimnie, a za chwilę zaczął cicho zachwalać swój towar. Wtedy nie przywiązywałem jeszcze wielkiej wagi do zapachów, wieszałem tylko w pokoju saszetkę z ziołami, a smrody i odory, jakimi przesiąknęłam na mieście, zwalczałem, myjąc się ile sił i często piorąc ubranie.

– Mam dziś tylko piętnaście rodzajów – powiedział – ale może znajdzie pan coś dla siebie. Proszę sprawdzić. – Podsunął mi otwarte kolorowe opakowania. Brałem je do ręki po kolei i wahałem zawartość. A wokół mgła nabierała barw, jakby ktoś machał pędzlem zza niewidzialnej kurtyny, wszechmocną ręką zagęszczając opadające chmurki lub rozszerzając je wedle upodobania.

– Odpowiada panu? – zapytał sprzedawca po raz kolejny, kiedy zastanawiałem się, jaki kształt przybierze tęczyowy obłoczek mgły. Wydawało mi się, że ja rozumiem, że jest tak samo samotna jak ja i chce teraz ze mną współpracować, da się opisać albo utrwalić w muzyce, koncercie na klasyczną gitarę lub flet, mogę przecież przez noc nauczyć się tej prostej sztuki Apollina, która nie wymaga talentu ani specjalnych starań, wypruwania flaków czy stymulacji uczuć. Pokiwałem głową w milczeniu i wyjąłem banknot wartości połowy miesięcznej pensji. Byłbym przysięgł, że mam tylko tyle na bilet i bułkę, jeśli chciałoby mi się bardzo jeść, jestem przecież beznadziejnie nieostrożny i mógłbym tak dużą sumę zgubić w autobusie albo zostać okradziony.

– Oj, chyba nie będę miał wydać! – usłyszałem.

– A gdybym wziął całe opakowanie? – wyrwało mi się, ale nie pożałowałem tych słów. Narastało we mnie przekonanie, że chcę używać kadzidła, potrzebuję go bardziej niż chleba czy mleka, za którym zresztą nie przepadam od dziecka.

– Proszę zaczekać. – Sprzedawca przeliczył swoje zasoby i okazało się, że może mi wydać resztę, ale nie zostanie mu drobnych dla następnego klienta. Miałem się jednak tym nie przejmować, przecież bogate sklepy i restauracje o krok, łatwo w nich rozmiąć pieniądze.

– Dziękuję – powiedziałem, choć nigdy dotąd nie byłem uprzejmy wobec handlarzy. Gardziłem nimi w dorosłym życiu, jako dziecko nienawidziłem za posiadanie owej ogromnej ilości towarów, których nie mogłem kupić ani nie potrafili mi ich dać rodzice. Z czasem zobojętniałem na widok drogich zabawek, samochodów i domów z bajki, ale irracjonalna niechęć do ich właścicieli pozostała.

Biegając przez most, a potem przez drugi, dzielące moją ulicę od centrum miasta, nie miałem pewności, czy zabrałem kadzidło, zaczęło właśnie zmierzchać i sprawdzić byłoby niełatwo, mógłbym coś zgubić, wyjmując paczuszkę z kieszeni. Zaufałem więc sobie, że mam to coś, mam cokolwiek nowego, czego jeszcze wczoraj nie znałem, no i pędziłem tak aż do drzwi mieszkania. Mgła osiadła na zewnątrz domu, nie nabrała jeszcze wówczas takiej siły, żeby wpełzać szparami w ramach okiennych do pokoju, zaszumiała więc tylko, kiedy zatrzasnąłem zamek. Śledziła mnie, ale chyba nie chciała skrzywdzić, tylko zaprzyjaźnić się na dłużej, zamieszkać gdzieś i z kimś. Ożywiłem ją w marzeniach, zapalając kadzidło.

Dopiero kiedy aromat wypełnił cały pokój, obejrzałem opakowanie. Dziwne, że nie uczyniłem tego wcześniej, ja, który sprawdzam nazwy firm i daty ważności produktów, żeby nie wciśnięto mi przeterminowanych galaretek, jak to zdarzyło się kilka lat temu. Bezdomne psy i tak zjadły ten towar, nie przejmując się terminami ustalonymi przez ludzi. Kadzidło nie miało żadnej daty, która informowałaby, kiedy utraci swą moc przyciągania mgły oraz inne tajemnicze właściwości. Miałem dopiero poznać ich świat, więc nie spieszyłem się z odczytywaniem napisów, a kiedy to wreszcie zrobiłem, dowiedziałem się, że mgła namówiła mnie, bym wdychał zapach drzewa sandałowego. W kolejnych tygodniach listopada i grudnia nie omieszkałem kupić kilku innych rodzajów kadzidła i zacząłem zastanawiać się, co to będzie, kiedy memu sprzedawcy zabraknie nowości. Dotychczas nie znalazłem jeszcze, jego zdaniem, tego co odpowiada mi najbardziej. Moja dusza o tym wie, czuje to, tylko jestem za słabo skoncentrowany i nie umiem powiedzieć, czego potrzebuję i pragnę.

Chętnie słuchałem sprzedawcy, zwłaszcza gdy zaczynał opowiadać o mądrości ludzi Wschodu, ich subtelnych gustach i pomysłach, tysiącach sposobów na zaspokojenie ludzkich kaprysów i namiętności. Stałem zawsze trochę z boku stoiska, nie chcąc zasłaniać towaru, bowiem od czasu do czasu pojawiali się inni nabywcy, ale prędko odchodzili, nie wyrażając ochoty na przyłączenie się do rozmowy. Zrazu sprzedawca mniemał, że nie mam pojęcia o hinduskich tradycjach, ale kiedy rozpoznałem wizerunki bóstw na okładkach książek, które specjalnie dla mnie przyniósł, oraz podjąłem dyskusję na temat wędrówki dusz, zaczął się do mnie uśmiechać. Kupowałem oczywiście i książki, ale nie miałem czasu ich czytać, więc ustawiłem w biblioteczkę na jednej półce wszystkie nowo nabyte dzieła, w większości poświęcone filozofii Dalekiego Wschodu.

Na półkę powędrowały też słoniki z półszlachetnych kamieni, deseczki z drzewa sandałowego, mające służyć jako podstawki do kadzidła, srebrne pudzeczki i olejki, słowem cały asortyment, wystawiony na sprzedaż na tym jednym stoliku, do którego z przyjemnością podchodziłem. Nie umiałbym już bez tej półki żyć, to na niej zatrzymywałem wzrok, opuszczając rano pokój i po powrocie do domu także witałem się z nią spojrzeniem, czasem zdejmowałem jakiś przedmiot i stawiałem go na biurku, ale zaraz potem przychodzili ludzie, którymi musiałem się zająć; mama zdecydowała, bym po południu także pracował, wróżąc z kart i popiołu z papierosów, chociaż nie znosi dymu. Z czegoś musimy przecież żyć, mówi, a ja przyjmuję czasem i trzy osoby dziennie, później tylko muszę myć ręce mocno pachnącym mydłem, włosy zaś spryskiwać olejkiem, żeby pozbyć się duszącej woni tytoniu. Mama wietrzy potem gościnny pokój, aż chłodne powietrze osiada na kryształowych wazonikach kolorową rosą. Wreszcie zapalamy kadzidło, chcąc raczej przepędzić zapachy obcych ludzi niż papierosów.

Gdyby nie wskazówki mego sprzedawcy, przepędziłbym chyba tych klientów. Doradził mi mieszać różę i piżmo, najśłodsze, najbardziej gęste aromaty, które tłumią nawet najbardziej mi nienawistne opary tłuszczów z frytkami, prowadzące wygłodzonych ludzi najpierw tam, gdzie można szybko coś przekąsić, a dopiero potem do wróżbity. Nieraz chciałem zbuntować się i wywiesić kartkę z napisem „zafrytowanym frytkomanom wstęp wzbroniony”, ale mama nie chciała się na to zgodzić i załamywała nade mną ręce, więc jeszcze raz ustąpiłem, żeby mieć spokój chociaż wieczorami. Przyjąłem nawet pomywaczkę z tego baru, która płacąc

wyciągała taki plik gotówki, że nie mogłem uwierzyć własnym oczom, ile dobra zgromadziła. Na szczęście nie spodobały się jej moje wnioski z uporczywie układających się w kolistę wzory papierosowych pozostałości. Przepowiedziałem złośliwie rychłe bankructwo baru i doradziłem zmianę pracy. Mama darowała sobie komentarz mej lekkomyślności. Klient powinien przychodzić przynajmniej raz w miesiącu, a wróżbicie wierzyć bezgranicznie, po roku nie mogąc się już bez niego obejść. Wówczas można, ale tylko kiedy gość błaga o to, narzuca się, telefonuje i wystaje pod drzwiami, zwiększyć mu częstotliwość wizyt, kazać czekać na korytarzu choćby pięć minut, żeby nie brał nas za naciągaczy i docenił starania.

Dobrze, że mamie przypadły do gustu moje nowe zainteresowania, jak i cała wschodnia kolekcja, kiedy zaś od sąsiadów dochodziły nieprzyjemne wonie, zwłaszcza w porze obiadowej, nie musiałem sięgać po zapalki, gdyż rodzicielka uprzedzała mnie i szybko całe mieszkanie wypełniało się, niczym egzotyczna kwaciarnia, smakiem orchidei; zamknawszy oczy wyobrażałem sobie tysiące opadających płatków lub czułem na piersiach ciężar wieńca z kwiatów, jakbym dopiero co wylądował w samym sercu Indii i był witany przez przychylnie nastawiony tłum. Zaraz, zaraz, dlaczego niby miano by mnie tam oczekiwać? Czy Hindus, wychowany w takim bogactwie wrażeń, potrafiłby cokolwiek zrozumieć z moich zimnych wróżb, z filmów, które wydają ludziom w kolorowych pudełkach i nawet już nie próbuję oglądać? Musi mi więc wystarczyć ta fantastyczna podróż i parę chwil ze sprzedawcą raz na tydzień. Czuję, że staję się moim przyjacielem, czemu więc, skoro tak polubiłem tego człowieka, nie zaproszę go do domu, tylko akceptuję tę połowiczną formę zaznajomienia, nie spytam nawet o imię ani sam się nie przedstawię?

Dziwne, niejasne przeczucie kazało mi tak właśnie postępować, może w obawie, żeby nie spłoszyć sprzedawcy, który nie mówił mi więcej niż chciałem wiedzieć, czasami tylko sugerował tematy rozmowy; nie zdradził się również, iż domyśla się, jaki los spotkał kupione przeze mnie książki, recytował pewnym głosem zawarte w nich frazy, a ja nie protestowałem, pozwalając tłumaczyć sobie subtelność podróży na inne planety, pośmiertnych oczywiście, opowiadać o przygodach pana Kriszny, szczególną przyjemność znajdując w historiach o złośliwych bóstwach, brakowało mi ich w naszej rodzimej mitologii, no bo przecież ktoś musi trzymać drzwi z drugiej strony, kiedy nie mogę przekręcić w zamku klucza, ktoś też zamyka mi przed nosem drzwi autobusu, nie mówiąc już o przypalaniu się moich ulubionych dań, kiedy mam trudnego klienta albo jestem diabło głodny, czy złym nastroju kierownika wypożyczalni, który grzebie w kasetach, żeby mi udowodnić, że położyłem jedną lub dwie na niewłaściwą półkę albo pomyliłem gatunki filmowe. Skądinąd czasami mi się to zdarza, ponieważ nie wykonuję w domu części służbowych obowiązków, nie oglądam nowo zakupionych filmów, a klasyfikuję je według opinii klientów lub recenzji w gazetach. Tym sposobem oszczędzam czas, ukrywając wstydliwą niewiedzę za parawanem wiecznego roztargnienia.

Sprzedawca pewnie uznałby moje postępowanie za bardzo nieetyczne, sam używa wszystkich towarów, które zachwala, nawet wszelkie przepisy z wedyjskiej książki kucharskiej, wypróbował i gwarantuje ich znakomite oddziaływanie na ludzkie ciało i duszę. A ja? Przeczytałem parę nad wyraz dla mnie nudnych receptur; czas wykonania czynił wschodnie rarytasy niedostępnymi dla mojej i matczynej cierpliwości; także niewiarygodnie wielka ilość cukru oraz nieznanymi przypraw odstraszała nas, by podjąć próbę kuchennej sprawności. Nie smakowałyby nam przecież mdłe kulki i pierożki, placki z owocami albo zupy roślinne.

Popołudniowi goście też ciekawie zerkali na moją półkę, rozpraszając się w ten sposób, miałem więc więcej możliwości manipulowania kartami. Dokupiłem jeszcze w sklepie chińskim wielobarwny kilimek oraz kilka tandetnych sztyletów, okopciłem je nad gazem, żeby wyglądały na używane i zawiesiłem te akcesoria na wolnym kawałku ściany, w słabo oświetlonym miejscu.

Następnego dnia, bo był właśnie piątek, sprzedawca popatrzył na mnie jakby z wyrzutem. Udałem, że niczego nie dostrzegam, wszak skąd miałby wiedzieć, jak robię w konia klientów, żaden z nich nie idzie za mną i nie donosi, czym się zajmuję, a nawet gdyby tak było, co to może tego człowieka obchodzić? Prowadzimy obaj legalne interesy... chwileczkę, a jeśli on nie ma zezwolenia na tyle zapachów? Nie, skądże! Co za bzdury przychodzą mi do głowy! Chyba miasto nie zgłupiało jeszcze na tyle, aby naliczać podatki od mnogości kolorów sukienek na straganie bądź liczby tytułów gazet w kioskach. A jednak coś groźnego musiało mieć do powiedzenia mieszkańcom, ponieważ na murach pojawiły się zadrukowane czarnymi literami obwieszczenia. Nie zbliżałem się do nich nawet, a i mama nie wydawała się specjalnie zaniepokojona, prosiła tylko, żebym dla naszego wspólnego dobra nie wychodził z domu po ósmej wieczorem, więc pojąłem, że te dwie sprawy mają głęboki związek i zacząłem wnosić śmieci w porze nadawania wiadomości telewizyjnych, przynajmniej nikt z sąsiadów nie gapił się przez okno, czy aby wysypuję wszystko dokładnie do metalowego pojemnika, czy też połowa obierek spada poza jego szczytujący się na mnie pysk.

Sprzedawca także nie zmienił swoich obyczajów. Wyraźnie powodziło mu się coraz lepiej, miał w torbie drewniane różańce i bębunki, ale nie wykladał ich na stół, były przeznaczone dla wtajemniczonych, jak mówił, a ja nie śmiałem zapytać o mój stopień wtajemniczenia, choć taki różaniec z drzewa sandałowego bardzo urozmaiciłby wystrój mego sanktuarium. Żeby nie mącić jego orientalnego klimatu, mama zdjęła ze ścian trzy landszafty w typowo mieszczańskim guście i zamiast nich koniecznie coś trzeba było powiesić, ale nie miałem jakoś pomysłu, tygodnie mijały, a klienci patrzyli na te puste miejsca z niepokojem, biorąc zniknięcie obrazów za dowód mego zubożenia. Przyjąłem więc od kilku osób propozycje podwyżki honorarium i postanowiłem zostawić wszystko po staremu; gdybym miał galerię, zdejmowałbym co tydzień jeden obraz albo przewieszał go gdzie indziej; niestety, dysponowałem jedynie tymi trzema pejzażami po znanym tylko z inicjałów przodku; aby więc porozmawiać z nim spirytystycznie, musiałbym sięgać po słownik imion i odszukać pasujące do obrazków miana, instynkt podszeptował mi, że litera „K” rozpoczyna nazwisko tego człowieka, a „M” imię, ale życia bym za to nie dał, więc zaprzestałem studiowania wymyślonych zawijasów w prawym rogu największego płótna, a nie miałem po temu zbyt wielu okazji, gdyż obrazy stały teraz w pokoju mamy, oparte o ścianę, jakby nie było warto szukać dla nich nowego miejsca.

Robiło się coraz chłodniej, rano marzły mi ręce, ale gdy dobrnąłem już do wypożyczalni, mogłem zaparzyć sobie herbatę i dzięki niej zwykle dotrwałem w jakiejś takiej formie do południa, potem już licząc kwadransy, czekałem kiedy na ostatnie godziny pracy firmy przyjdzie szef, a ja wrócę do moich wróżb. Zacząłem notować ich treść, aby nie powtarzać się zbyt często, no i to znacznie ułatwiło mi sprawę. Myślałem nawet założyć katalog na poszczególne dni tygodnia, to przecież ważne, by kabała była postawiona z uwzględnieniem biorytmu. Przyjąłem potem tę zasadę jako stały tryb postępowania i jeśli klient nie potrafił powiedzieć, w jakim dniu tygodnia przyszedł na świat, ustalałem to za pomocą specjalnej tabeli. Przerysowałem ją z kalendarza wraz z instrukcją i odpowiednio pokolorowałem, nalepiając w kilku miejscach niby to tajemne znaki firmy. Byłem z siebie zadowolony, pomysł chwycił i nawet ci, którzy byli pewni, że urodzili się w niedzielę, woleli, bym sprawdził ten fakt i wyrażali zadowolenie, gdy stwierdzałem zgodność ich wyliczenia z tabelą. Kręcili się za to niespokojnie, jeśli nie zapaliłem kadzidła, widać należało to już do rytuału, no i w ten sposób koszta utrzymania salonu rosły, mama też zaczynała się skarżyć, że ludzie niosą tyle błota, mogłaby sprzątać od rana do wieczora, a ja patrzyłem przez okno to na zamarzające kałuże, to na śnieg i zadawałem sobie pytanie, jak tu dotrzeć do wiosny, wszystko drożało z dnia na dzień i musiałem przyjmować nawet w soboty i niedziele.

Mimo to odwiedzałem regularnie mego sprzedawcę. Nie zauważyłem, jak minęły święta i nastał nowy rok. Od dawna nie przeżywałem już tych przesileń, zrywając obojętnie kartki z

kuchennego kalendarza, jeśli mama zapomniała to zrobić. Ale ta jedna rozmowa ze sprzedawcą potrafiła sprawić, że brnąłem w ulicznym błocie bez wysiłku, oczekując rozumiejącego spojrzenia przyjaciela i zdania, które rozpoczynało nasze porozumienie:

– I jak minął dzień?

Albo:

– Miał pan ciężki tydzień, nie?

Czy też:

– Bardzo dziś ślisko. Proszę uważać pod bramą...

A ja odpowiadałem, że wcale nie jestem zmęczony, wszystko idzie doskonale, buty włożyłem odpowiednie na tę ślizgawicę i niestraszne mi oblodzone płytki, ostatnio jakoś lepiej chodzę po mieście, nawet wstąpiłem do muzeum pooglądać stare monety, nie zważając na kręte schody. I wtedy sprzedawca przerwał mi, zaczynając opowieść o skarbach starych świątyń, ukrytych gdzieś daleko, gdzie nigdy pewnie nie pojedę, przymykał oczy, zaś jego mowa stawała się jakby recytacją wschodniego poematu, docierała do mnie nie przez znaczenia, ale przez brzmienie i ciągłość, muzykę dalekich instrumentów i szepty mgły, która z uporem powracała nad Stare Miasto w piątkowe popołudnia.

W międzyczasie poznałem kolejne zapachy, nie pytając nawet o ich nazwy i źródła, wybierałem jeden i kupowałem całe opakowanie. Cena kadzidła nie zmieniała się; sprzedawca przywykł, że mam odliczone pieniądze i brał je ode mnie nie sprawdzając, czy nie próbuję go oszukać. Czyżby chciał mi zagrać na nerwach albo okazać wyższość, proszę, i tak wiem, że pan uczciwie zapłaci, widać to w pańskich oczach albo po tej obszarpanej kurtce, kanciarzy stać na lepsze łachy, pan, drogi przyjacielu, grosza nie oszczędzi, tak rozrzutnie pozwalając sobie na najlepsze zapachy, ja to co innego, pojedę po następną partię towaru w najwyższe góry świata i tam odrobnię wszystkie straty, jestem wysportowany, mogę zostać przewodnikiem początkujących wspinaczy, zaufają mi, tak jak pan zaufał. Bo skąd pan wie, że nie wciskam klientom fałszywych zapachów? Mogą przecież tylko nosić szumne nazwy orchidei, lotosu czy rododendronu, w istocie będąc pospolitym odcieniem zwiędłego fiołka albo stęchłą lawendą, jakiej ma pan w nadmiarze w każdej drogerii, gdzie prostacy kupują krem do golenia i prezerwatywy.

Co naprawdę chciał mi powiedzieć, nie dowiem się już nigdy. Kiedy styczniowa mgła kłuła mnie w policzki, zapytał tylko:

– Lubi pan lądujący mróz?

– Nie... rozumiem – odpowiedziałem, choć miałem świadomość, o co toczy się gra. Zbliżenie jeszcze bardziej pełne zrozumienia, pojęte przez obie strony do tych głębokich warstw myśli, których istnienia nie podejrzewa się w najtrudniejszych chwilach, kiedy wszyscy oddalają się od człowieka jak od umierającego i odchodzą rozczarowani, kiedy skazany ożywa i przyłącza się do tanecznego korowodu.

– Proszę posłuchać... mróz ma skrzydła tak samo jak gorące powietrze orientu. Można wymieniać te klimaty do woli, wystarczy wsłuchać się w nie i zespolić płucami z oddechem tysięcy tych, co byli przed nami i będą w przyszłości tędy przechodzić; nie jesteśmy osobni, trwamy w zespoleniu i czymś znakomitym planie. Były pośrednie, proszę pana. Tylko każdemu, kto liznął trochę wiedzy lub zdobył doświadczenie, zdaje się, że to właśnie on stanowi ów koniec, finalną doskonałość oddechu boga. Tymczasem jest tylko kolejną płytką chodnika, którą przechadza się Najdoskonalszy, on bowiem wie, czuje i myśli za nas wszystkich. I rozumie, odkąd dostąpił istoty wszechrzeczy, że rozwój polega na ciągłym dążeniu i żaden z nas posągami nie zostanie. Choćby unieruchomił, jak niektórzy próbują, wszelkie funkcje życia i zapadł w mroźny trans, w materii i duchu coś będzie dziać się za jego wiedzą albo według naszego życzenia. Zamarzanie nie szkodzi nawet światłu, niech pan sam spróbuje odkryć temperaturę, w której przestaje ono biec i tuli się, w ogień wcielone, do silniejszych od siebie mocy. Potrafi pan tego dokonać?

– W żadnym razie! – krzyknąłem przerażony patosem tego wywodu.

– To takie proste! Mam pewien pomysł – rzekł sprzedawca i wyłożył mi w ciągu kilku minut, czym mógłbym się zająć, jeśli mam jeszcze wolny czas.

Umówiliśmy się na następny dzień. Mama nie chciała uwierzyć, że ruszę gdzieś w sobotnie przedpołudnie, dopytywała się co mam zamiar robić i stała w drzwiach, póki nie zbiegłem po schodach, a potem przy oknie. Obiecałem wrócić na trzecią, kiedy zaczynają się złączyć krawcowe i ekspedientki, przedszkolanki i nocni stróże, moi stali klienci. Sprzedawca dotrzymał słowa. Kiedy tylko przekroczyłem granice Starego Miasta, mgła pojawiła się wokół mnie, prowadząc prosto do stolika z ogrodem zapachów. A u celu zgęstniała tak bardzo, że nie widziałem nic prócz twarzy sprzedawcy.

– Chcesz rzeźbić we mgle? – usłyszałem.

– Tak. Tylko to potrafię. Jestem tandeciarzem i pragnę spróbować szczęścia – odpowiedziałem.

– No to próbuj!

I rozpoczął się taniec, przerywany tylko odgłosami z salonu gier elektronicznych, który mieścił się dziesięć metrów za stolikiem mego sprzedawcy. Wzięłem dłuto, które mi podał, włożyłem w ogień palnika i rozgrzanym do czerwoności ostrzem zacząłem wydobywać z mgły kolory, o jakich nie miałem dotąd pojęcia. Odcienie wysublimowane albo szaleńczo intensywnie, ich natężenie zależało wyłącznie ode mnie, ile włożyłem w ruch energii albo emocji; doskonale wiedziałem, że maluję sam sobą, wytłaczam z nowego tworzywa cienie bądź wątpliwości, bogów czy ich nędzne karykatury, no i tak mi było wspaniale, że przestałem dopiero usłyszawszy melodię wygrywaną przez zegar. Wpół do trzeciej! Ależ mi czas szybko minął! Pożegnałem się ze sprzedawcą i pobiegłem do domu. Grudy mokrego piachu przesuwają mi się pod stopami niczym kule do gry w najprawdziwszy śnieżny bilard. Postanowiłem tę zabawę opatentować przy najbliższej okazji, kiedy inni będą się chwalić swoimi wynalazkami, ja powiem, że niczego więcej prócz śliskich chodników nie potrzeba, by się sprawdzić w grze z mrozem, rzeźbić można choćby własną krwią.

Sprzedawca musiał wzdrygnąć się na tę myśl, jeśli oczywiście ją odebrał, było pokojowo nastawiony do całego świata i nie wyobrażał sobie walki między ludźmi o sztukę, co wydawało się mi wtedy oczywiste. Są artyści i ich wrogowie. Proste. Mam dwa pomysły, moi przeciwnicy żadnego prócz zasłony dymnej, że są oto najwspanialszy, głoszą tę myśl, a nikt im nie wierzy prócz osób z tego samego kawiarnianego stolika. Żeby tylko sądziła nas kawiarnia! Żeby! Krytykują nas instytucyjki, bezimienne, dopiero co powołane uniwersytety niedzielne, drobiny myśli, okruchy zeszcłe w bibliotekach. Oto arbitrzy wieku! Zanim się zejda, usiądą i założą magiczne okulary, które bronią przed zobaczeniem czegokolwiek, kto inny już stoi przed ich trybunałem. W jaki sposób ci ludzie mają ogarnąć stawanie się rzeźby, a potem jeszcze wyświetlić ją sobie na ekranach szyb czy parawanie z bezbarwnej mgły!

Za późno doszedłem do tych wniosków. Za późno! Zdążyli już odrzucić podania o patenty i tytuły, miasto o tym oczywiście wie i szydzi ze mnie. Powinienem dołożyć temu sprzedawcy kadzidła, nabrał mnie drań! Teraz postawią mój posąg przed ratuszem, spalą go albo oplują, co najmniej przez rok nie będę mógł pokazać się publicznie. A tak wierzyłem w moc dłuta! Pozbierałem się po dziesięciu dniach choroby, kiedy ustąpiło zapalenie płuc i mama zaczęła wpuszczać pierwszych klientów. Podczas mojej choroby chodziła do wypożyczalni zamiast mnie i wracała bardzo zmęczona. W gorączce wciąż wydawało mi się, że rozmawiam ze sprzedawcą, słucham jego teorii na temat mgły albo wdycham zapach lilii zmieszany z aromatem olejku sosnowego.

Zanim wróciłem do obowiązków, minął styczeń, a w lutym dostałem urlop. Szef wyjechał na Hawaje, zamknął budę, nie chcąc zostawić mnie samego, widać mi nie ufał, ale za to zapowiedział, że w lipcu będziemy pracowali do siódmej, bo latem ludzie się nudzą i chętnie wyświetlają sobie nowości. Miałem więc nadal tę stałą posadę i nawet byłem zadowolony z

wolnego czasu, niekiedy zapraszałem nawet mgły, coraz już rzadsze, do swego pokoju i gdy przybrały odpowiedni kształt, zamykałem je w przezroczystych pudełkach, butelkach i słoikach. Mama zdawała się nie zauważać tej pasji albo jej to zupełnie nie obchodziło, niszczyła jeden po drugim listy z pogrózkami od tropicieli mgły albo pełne drwin odpowiedzi z artystycznych towarzystw, które niezmiennie odmawiały mi przyjęcia w poczet szacownych członków. Nie obchodziło mnie to już zupełnie, pragnąłem tylko rozliczyć się ze sprzedawcą. Mróz przekroczył wszystkie możliwe normy. Termometr za oknem stężał i popękał. Klienci pytali, kiedy to się skończy, a ja, kryjąc pod stołem zziębnięte ręce, tłumilem ostry kaszel uśmiechem i snulem przeróżne opowieści o sile mrozu, czarodziejach, którzy próbowali z nim walczyć i zostali przezeń pochłonięci jak liście przez rozmięktą ziemię.

Przypadkiem trafił do mnie pewien student, który cierpiał na nerwicę klozetową, tak roboczo nazwałem owo nieznane dotąd medycynie schorzenie, mianowicie dostawał amoku na odgłos spuszczenia wody w ubikacji, no i został przyprowadzony na seans przez kochającą ciocię czy babcię, żeby spróbować u mnie kilku terapii, zanim nieszczęśnik trafi do wariatkowa. Stamtąd nie tak łatwo potem wyjść, mówiła owa starsza pani, która chciała koniecznie asystować przy wróżeniu, ale nie zgodziłem się nawet za podwójną stawkę. Mama jak zwykle znalazła wyjście – zaproponowała owej pani wycieczkę na strych. Jego osobliwością są nad wyraz oryginalne dziury w dachu, dwóch klientów z ościennego kraju fotografowało je przez parę minut, ale chyba nic z tych zdjęć nie wyszło, nie przysłano nam nawet odbitek, choć ponoć warto utrzymać z nami kontakt.

Ów chory student przysięgał na wszystkie świętości, że akcesoria, które nabywałem u sprzedawcy, można dostać za niższą cenę w klubie, tam, gdzie nocami grają jazz albo pozwalają występować trzeciorzędnym aktorom z monodramami na przeróżne tematy nie do strawienia. Doskonale wiedziałem, o jaki klub chodzi. Był niegdyś mekką dla małolatów ze Starego Miasta, a potem, opuszczony i przeżarty wilgocią, straszyl pustkami. Kiedy go wreszcie odnowiono, już nie byłem małolatem ani studentem i wolno mi było tylko przyglądać się szacownym murom z łezką w oku, a że nie jestem sentymentalny, mijałem je obojętnie, jak i pozostałe zabytki.

Po wyjściu klienta rozżłościłem się jak nigdy. Na sprzedawcę i na siebie. Jak mogłem dać się tak nabrać! Pięć minut drogi od stolika oczekiwały półki pełne kadzidła i posążki tańsze przynajmniej o połowę! Święte księgi za bezcen, w najnowszym wydaniu, a nie stare i pożółkłe, lśniące puderka i kasety z nagraniami egzotycznej muzyki, czyli wszystko, co było mi potrzebne do prywatnej praktyki. I do utrzymania dobrego nastroju. Przez następne miesiące unikałem wędrowek centralnym traktem Starego Miasta. Jeśli pod nieobecność mamy nadszedł list polecony albo paczka, przemykałem się boczną ulicą, aby odebrać przesyłkę. Oczywiście sprawdziłem uzyskane od studenta informacje. Wszedłem nieśmiało do klubowego sklepiku, ale gdy rozejrzałem się po półkach, wziąłem koszyk i wrzuciłem doń wszystko, na co tylko miałem ochotę. Jeden zapach na tydzień? Kto to wymyślił? Na każdy wieczór potrzebuję czegoś nowego, póki nie zapragnę powtórzenia aromatu. Wszedłem stamtąd z pełną siatką i już na dobre zostałem klientem klubu.

Na Starym Mieście pojawiłem się dopiero latem, kiedy nie potrafiłem sobie odmówić przejazdu przez kanał. Czułem się wtedy Wenecjaninem od pokoleń i dziedzicem talentów wolnych rzeźbiarzy mgły. Nie, nie zapomniałem o tej formie wyrazu. Noszę w kieszeni flaszeczkę po perfumach, a w niej mgłę o kształcie rudego psa. W ciągu dnia zmienia on wiele razy pozycje – siedzi, kiedy indziej drapie się za uchem, leży albo służy, jakby prosił o jedzenie. Będzie mi wierny, dopóki nie upuszczę naczyńka i zaprzyjaźniony niewolnik nie czmychnie do swoich praźródła, w daleką jesień, zimową przedwieczerz, której nadejście co roku próbuję opóźniać coraz to nowymi zaklęciami. A ona i tak przychodzi, zakuwa mi ręce w twarde rękawice, które po przemoczeniu schną kilka dni, czuję się w nich jak w kartonie, zapakowany na sprzedaż i wiedziony na łańcuchu ku gwarnemu targowisku.

Precz z jesienią! Letnie wspomnienia są łaskawsze, gonią nas musującymi napojami, brzękiem szklanek i kieliszków, nocami, których nie trzeba się bać po otwarciu okna, nie zaatakują znikąd chłód ani mgła, ile wysiłku kosztuje jej rzeźbienie, wiedzą tylko ci, którzy zakosztowali tej sztuki, choć może zaparli się jej potem, ale ludzie wyrzekają się przecież dzieci albo rodziców, co tam mgła, ona niczego po nas nie dziedziczy, rysów twarzy ani marzeń, daje się tylko kształtować i rozpalać laską kadzidła niczym dłutem. Latem pozostaje w ukryciu, wynurza się tylko z pamięci. A rynek i główne arterie miasta pluszcza się w słońcu plwocinami, kurzem, złocistymi papierzyskami po lodach. Wszystko co żywe wypelza handlować. Portretami, pocztówkami, ciałem i piwem.

Na tle licznych kramów dostrzegłem tego lata niezliczonych sprzedawców kadzidła. Wszyscy mieli krótko obcięte włosy, na czubkach głów ciasno splecione warkoczyki, nosili luźne białe szaty i druciane, okrągłe okulary.



## Na każdą okazję skowronki

– To przecież tradycja rodzinna – powiedział ojciec. – Matka i ja...

Nie pamiętam, czy rzeczywiście ostatnie zdanie brzmiało dokładnie tak, jak je przytaczam, bo jeśli kolejność słów była inna: „ja i matka”, zmienia to sens sytuacji. Jak umykają pamięci szczegóły, te ważne i te mniej istotne! Gdybym miał pewność, jak ojciec zaintonował tę myśl, mógłbym sobie odpowiedzieć, czy kochał mamę, poważał ją albo czy liczył się z jej zdaniem. A tak pozostały mi tylko wątpliwości.

No i wtedy odsunął gwałtownie krzesło, to nie było w stylu starego, siadał raczej ostrożnie, jakby bał się uszkodzić oparcie, prostował się powoli i zapaliwszy papierosa, oddychał głęboko, pożądając dymu bardziej niż czegokolwiek innego. Tak, o kupieniu kolorowego pudełeczka z fajkami nie zapominał nawet w najgorszych czasach, kiedy babcia i ja piekliśmy chleb z mąki, którą trzeba było najpierw przesiać, by usunąć robaki, a i tak nie byliśmy pewni, czy jakiś nie przedostał się przez sito i wbrew swojej i naszej woli nie upiekł się jak rodzynek w pięciokilowym bochnie, by wyleźć, cudem ocucony, wprost na język albo na talerz w kulminacyjnym momencie uroczystej kolacji.

Na szczęście nic takiego się nie stało, raz nagryzłem tylko nie rozmieszaną grudkę soli, gorzką i mokrą, ale to moje jedyne nieprzyjemne wrażenie związane z chlebem, lepiej pamiętam smak świeżej skórki i maku, którym posypywaliśmy bochenki. Potem, kiedy ponownie otwarto sklepy, było mi nawet smutno, że już nie piecze się w domu, tylko przynosi z miasta zimne i twarde, jakby umarłe, podłużne lub okrągłe bułki. Kiedy dziadek jeszcze chodził po zakupy, prosiłem go o rogaliki z sezamem, ale staruszkowi wszystko się myliło, przynosił pączki albo drożdżówki z kruszonką, którą zdejmowałem ostrożnie nożem, żeby spod lepkiej warstwy cukru wydobyć świeże ciasto. Nie robiłem dziadkowi wyrzutów, że nie kupił tego, co chciałem pochłonąć po powrocie ze szkoły, tak, pożreć wręcz, jak wszyscy dorastający chłopcy jadłem wtedy bardzo dużo, nie gardząc nawet marchwianką z kapustą.

Ale pewnego dnia ojciec wygłosił owo zdanie, od którego nie było odwołania. Mama? Jak zareagowała mama? Czyżbym zapomniał tak ważny dla tej historii fakt? Nie, wiem, oczywiście, że wiem, spytała, czy nie przygotować mi czegoś na drogę, może wzięłbym jabłko, owoce są zdrowe, zwłaszcza o tej porze roku potrzebne młodemu organizmowi.

Jaki ja tam młody, pomyślałem, mama straciła poczucie czasu, ale jej wolno, nich ma ten mały przywilej, nic więc nie odpowiedziałem, tylko obiecałem uśmiechem, że zaraz zjem nawet dwa jabłka, jeśli to sprawi jej przyjemność, no i ukłęciłem łeb sprawie.

Tak, to w tej pracy nabieram nudnego, rozlazłego stylu, powinienem stanowczo odmówić ojcu, wtedy obroniłbym się, ukrył tajne słowa, a teraz są mi odbierane, wydzierane, jakby ktoś chciał mi narzucić zupełnie inny język. Mam na to pomysł, mam, mógłbym pracować ze słuchawkami na uszach, przyniosę tu muzykę, tylko nie tę moją najtajniejszą, jeszcze zmieniłaby się mi w nieznośny jazgot podwórka, wezmę jakąś obojętną, miłą melodię, jedną na cały dzień, niech mi nie przeszkadza w myśleniu.

Nie będę liczył, ile lat wykonuję te wstrętne mi obowiązki, strach o tym w ogóle mówić. Ale przecież najlepiej pamiętam ten pierwszy dzień albo raczej dzień zerowy, suchy kaszel ojca i potok słów, nim poszedłem do swego pokoju przeleżeć noc, bo spać z wrażenia nie mogłem. Zza ściany wciąż dobiegało chrząkanie i charczenie, widać rodzice niepokoiili się o mnie, choć wieczorem tego nie okazywali, a rano znów usłyszałem:

– Przecież i my...

– Wiem – zgodziłem się, zapinając uważnie płaszcz, gdyż na dworze było bardzo chłodno. Stałem jeszcze chwilę w progu, wlepiając wzrok w wycieraczkę. Zawsze patrzę pod nogi,

podobno świadczy to o werbalnej wyobraźni, ktoś mi mówił, nie sprawdzałem tego w podręcznikach psychologii, ostatnio przestałem zaglądać do czegokolwiek, nawet gazetę przynoszę nie przeczytaną i oddaję zaraz matce, opowie mi artykuł po artykule przy kolacji, czy będzie to mnie interesowało czy też nie.

Niczego na wycieraczce nie spostrzegłem, pies sąsiadów widocznie nie wychodził jeszcze na spacer. Od tego rzutu okiem rozpoczynam aktywne mijanie dnia, życiem przecież nie nazwę cyklu obrzydzeń, w który wstąpiłem niby, ale tylko niby, za własną zgodą, wyrażoną słowem „wiem”, darowanym ojcu dla świętego spokoju. Skłamałem, nie wiedząc przecież, z kim będę miał w fabryce do czynienia, kogo poznam, a kto będzie mi wydawał polecenia.

– Cześć! – powiedziała jeszcze mama, zamykając drzwi i znikła za nimi, jakby odgradzając mnie parawanem od domu, w którym zawsze znajdowałem kubek ciepłej herbaty i chleb. Miło pachniało tu ciastem, choć od dawna nie było pieczone, ale jego aromat wsiąkł jakoś w ściany, zagnieździł się w nich niczym w kryjówce, puszysty i dający ochronę przed głodem.

I od tej chwili, przyjąwszy propozycję ojca, musiałem zapracować na ten zapach, wdychając przez całe przedpołudnie inne wonie, nim pozwolono mi doń powrócić. Chciałem cofnąć się, powiedzieć ojcu, że rezygnuję i może wybiorę życie włóczęgi, kupię sobie gitarę albo fujarkę, no i pójdę sobie, skoro rodzice nie mogą mnie utrzymać, taki to los przelotnego ptaka, ale byłem na to za słaby i zbyt chorowity, a żaden lekarz z nazwiskiem nie zajmie się znalezionym na ulicy żebrakiem, choćby nie wiadomo jakie składał przysięgi i zobowiązania. Jestem też tchórzem. Bałbym się spać w parku na ławce albo w krzakach przy kanale, nie żeby mnie ktoś mógł napaść, nie o to chodzi, być zabitym nożem czy zginać od kuli to dobre hipostazy śmierci, nieraz zazdrościłem ofiarom takich przypadków, kiedy przez dwa tygodnie nie chciał przejść mi katar. Żaden złośliwy wirus nie śmiałby mnie zakazić, gdybym leżał martwy i nie czuł niczego, zupełnie niczego. Nie wyobrażałem sobie, jak to będzie, kiedy w pracy zacznie mi kapać z nosa, skąd wezmę trzecią rękę, żeby go ciągle wycierać albo trzymać się czegoś, gdy dostanę ataku kaszlu.

Już po wstaniu z łóżka... czemu u licha to napisałem, przecież mam tapczan, solidny stary mebel, kiedyś spali na nim rodzice i pewnie tak się do niego przyzwyczaiłem, bo mnie na nim poczęli, więc teraz nie umiałbym bez niego żyć i leżeć w prawdziwym łóżku ze sprężynami, w jakim lubią kochać się kobiety, nie, dziwki, wszak tylko z nimi miałem do czynienia, przywykłem płacić za te sprawy i to zawsze po fakcie, jak wzorowy klient w sklepie; obejrzy, wybierze, włoży do siatki albo torby i z namaszczeniem wyciągnie wypchany portfel, by uiścić należność.

O tym wszystkim myślałem po drodze do mej pierwszej pracy, zupełnie nie mogąc się pozbierać. Było bardzo wcześnie, może właśnie dlatego miałem taką chęć na babę, że omal nie eksplodowałem w autobusie pełnym cuchnących prostaków, co tam będę szukał miłych słówek, skoro tak a nie inaczej pomyślałem o tej bandzie, wściekły na cały świat, a najbardziej na ojca; wysyłając mnie na zarobek, mógł chociaż pomyśleć, jak to strasznie daleko od domu, przez całe miasto tłuc się autobusem to nie dla mnie pomysł na miłe spędzenie dnia. Starłem się nie słuchać prymitywnych przekleństw, zatykać nos i w ogóle spać na stojąco, ale przypomniałem sobie o złodziejach kieszonkowych, przez tę hołotę nawet zdrzemnąć się nie można, czujnym być trzeba, jak to mawiał zmarły niedawno sąsiad. Wychodził rano po papierosy, a ja musiałem zawsze się na niego napatoczyć, kiedy w sam raz spieszyło mi się na autobus. Facet znajdował przyjemność w zaczepianiu znajomych i ucinaniu sobie pogawędek pośrodku chodnika, nie zwracał uwagi na toboły, jakie tutejsze kobiety musiały trzymać w omdlewających rękach albo niezręcznie próbować oprzeć o własne nogi czy obsikany przez psy sklepowy mur. Doszło już nawet do tego, iż wolałem biec na przystanek okrężną drogą, byle uniknąć kłopotliwego spotkania. W ogóle jestem mało rozmowny, nietowarzystki i mruk, a ten dziadek jak nie zaczął politykować! Omijałem go

więc skutecznie. I kiedy umarł, nie za bardzo było mi szkoda, człowieka zawsze żal, mówiła mama, więc milczałem o tych straconych chwilach poranka, wolałbym przecież pospać z pięć minut dłużej.

Ale miałem powiedzieć o moim zajęciu, już z dziesięć lat z tego żyję i nie mogę znaleźć czegoś innego, może po prostu doskonale się do tego nadaję, a mówiąc mi to rodzice mieli rację, a nie tylko chcieli skłonić mnie do zajęcia się czymś użytecznym. Zgodnie z tradycją mego domu, niech szlag trafi wszelkie tradycje, pracuję w fabryce przetworów ze skowronków. Dania gotowe i konserwy, skowronki suszone i nadziewane, patroszone i mielone, a osobno skrzydelka, oczka i dzióbki dla smakoszków. Przez ostatnie dwadzieścia lat popyt na ptaszki rósł niewiarygodnie, kilka minut drogi od naszego domu jest nawet podobna fabryka, a ja muszę się tłuc niczym Żyd, tak, wędrówki zawsze kojarzyły mi się ze sprytną nacją judejską, ubóstwo wyobraźni, nic na to nie poradzę.

Powinienem dobrze zarabiać, gdyż wszystkie potrawy ze skowronków są bardzo drogie, gdybym, powiedzmy, chciał kupić opakowanie skrzydełek lub cennych szyjek dla mamy, musiałbym wydać przynajmniej tygodniówkę, lecz ani rodzicielka moja szlachetna ani ja tym bardziej nawet nie zerknęlibyśmy na ptaka; nie zapraszam jej na zakładowe degustacje dla rodzin pracowniczych, a ona też nie odwiedza zakładu, w którym wypracowała swoją emeryturkę. Dostaję pensję tak samo niską jak i inni, gdyż właściciel zakładu twierdzi, jakoby proces produkcyjny naszych wyrobów był nadzwyczaj drogi, uprościć go jednak nie można, dania straciłyby niezwykle smak, za który są cenione na całym świecie.

Powinienem zacząć od tego pierwszego dnia, umyka mi drań gdzieś w przeróżne odnogi codziennego zmęczenia, to najwłaściwsze słowo, znajomy naczytał się pism lekarskich i opowiadał mi, że jest taka dziwna choroba; czujesz się coraz bardziej ospały, masz gorączkę, ledwo widzisz na oczy, bolą cię barki i stawy, nie, nie złapałeś wirusa, jak się okazuje, twoja dolegliwość to tylko zmęczenie, aż zmęczenie, na twoje plecy kładą się tony ładunków, worków z kamieniami lub złomem, ciągną cię ku ziemi i już prawie zwyciężyły, powaliły cię na kolana, zmiażdżyły czaszkę niewiarygodnie wysokim ciśnieniem, kiedy chłodny sok pomarańczowy ratuje niczym najtrafniej przepisane lekarstwo, choć doktorem byłeś sobie sam.

Dotarłem do fabryki zupełnie wykończony, leży ona skądinąd w bardzo ładnym zakątku, między zabytkowym kościółkiem, parkiem z egzotycznymi roślinami, a małym targowiskiem, na którym sprzedaje się owoce i różne użyteczne w domowym gospodarstwie drobiazgi. Jedyne smrody, jakie zanieczyszczają powietrze tej dzielnicy, to właśnie dymy z fabryki i spaliny przejeżdżających przelotową trasą samochodów.

W kadrach przyjęła mnie jejmość o powierzchowności sowy – szpakowata, okrągława, uczesana w loczki jakby prosto z straganu na tym rynku, w podniszczonych okularach, tak, na pewno były to darmowe oprawki z ubezpieczalni. Nosila szare spódnice i swetry własnej roboty, z których jak kalekie gałęzie wystawały zniekształcone przez reumatyzm dłonie o guzowatych paluchach. Przewracały jednak sprawnie moje dokumenty, jakby wspomagane przez małe bystre oczka, które podpowiadały swej właścicielce tysiące złośliwych pytań. Już chciałem rzec, że uprzejmie dziękuję za takie przesłuchanie, jestem wystarczająco przygotowany do zawodu tresera skowronków, ale jeśli nie jest przekonana, pójdę sobie, choć jechałem przez całe miasto i straciłem czas. Ona jednak zamknęła się w porę i odesłała mnie do dyrektora, żebym podpisał sto różnych papierów.

Rupert, bo tak właśnie nazywał się ów szef, miał dziwną wadę wymowy, jego głos przypominał ni to odgłos gotujących się klusek, ni to kłaskanie nie wyszkolonego jeszcze skowronka. Mimo to główny dyrektor podobał mi się bardziej niż jego zastępczyni, ufarbowana na przedziwnie żółty kolor, odziana w jedwabie i koronki, starszawa, ale pozująca na młodą i atrakcyjną kobietę. Zazdrościłem jej przez następne lata najcenniejszego daru natury – idealnego zdrowia we wszystkich jego przejawach, bogactwa witalności,

którego przed nikim nie kryła, a przede wszystkim nóg, nie żeby były proporcjonalnie zbudowane, nad wyraz kształtne, wręcz przeciwnie, przypominały raczej pięciny pociągowej klaczy, w kostce szczupłe, a wyżej masywne, silne, bez plamki na skórze i bez najmniejszego żyłaka. Śledząc zdecydowane kroki Iguany, tak ją w fabryce nazywano od niepamiętnych czasów, myślałem o sinych, obolałych nogach mamy i prawie czułem puchnięcie własnych stóp, od dziecka choruję na serce i kiedy odstoję moje pięć lub sześć godzin dziennie przy skowronkach, buty robią się ciasne, a po powrocie do domu bardzo trudno je zdjąć, ale rano za to znów wszystko jest niby w porządku, tak przynajmniej mówi mama, choć wie, że ze mną coraz gorzej i powinienem otrzymywać rentę. Cały kłopot w tym, iż moja choroba nie zalicza się do dolegliwości zawodowych, gdybym dajmy na to dostał przeziębienie płuc, takiej alergii na skowronki, no, choćby nawykowego pienia nocnego; chory na to człowiek budzi się kilkakrotnie w ciągu nocy i przez parę minut potrafi postawić na nogi cały dom swą słowiczą arią.

Skoro jeszcze mnie to nie wzięło, muszę mieć końskie zdrowie, twierdzi Iguana, gdy chcę wyłączyć się od dodatkowych obowiązków, za które oczywiście nie zamierza mi zapłacić. Szlag z tą babą, myślę sobie i zapominam o jej szarych oczach, zbyt blisko ustawionych, które śledzą wszystko i wszystkich, jakby zerkając spod policyjnej czapki, choć Iguana nie nosi nakrycia głowy, żeby nie popsuć sobie uczesania i nie wydawać na fryzjera. Starzy pracownicy firmy opowiadają, że nim weszła do zarządu, zabierała do domu wyrzucane zazwyczaj szczyty kuperków, jedyną część skowronka nie nadającą się do przetworzenia. Podobno dodawała ów rarytas do klusek, którymi żywi rodzinę. Mnie jednak nic nie obchodziły te plotki, gdyż moje zadanie nie ma nic wspólnego ze specjalnością Iguany, jaką jest analiza ruchu skowronków.

Nasza szefowa obserwuje ich płasy, mierzy długość kroczków i czas lotu, umieszczając ptaszki w wielkich klatkach, ustawionych na drugim piętrze budynku, ja natomiast zaczynam całe dzieło i ode mnie właściwie zależy smak mięsa, gdyż uczę skowronki doskonałego śpiewu, a te najzdolniejsze nawet komponowania muzyki. Mam ponoć osiągnięcia zawodowe, czego dowodem list gratulacyjny z okazji Święta Skowrończarza, podpisany osobiście przez Iguanę, uważam jednak, że prawdziwym sukcesem jest wykształcenie trzydziestu skowronków-dyrygentów, które mogą skorzystać z prawa łaski, jeśli ich opiekun, to znaczy ja, o to poprosi.

Ocaliłem więc przed przerobieniem na pasztety dwadzieścia dziewięć śpiewających ptaków, nie myślę się, nie, w jednym przypadku nie podpisałem apelacji i posłałem do rzeźni bardzo utalentowanego skowronka, który dokuczał mi podczas całego cyklu szkoleniowego, przy każdej okazji dziobiąc mnie w palec wskazujący lewej ręki, którym zwykłem dawać prztyczka w nos nowicjuszom, żeby mi się nie rozpuścili. Omal nie dostałem gangreny od tego poddziobywania, poszedłem nawet na skargę do Ruperta. Przyjął mnie wylewnie i przez godzinę pokazywał blizny zadane przez szalone albo zbuntowane skowronki. Musiałem patrzeć, jak zdejmuje skowrończoszarą marynarkę ze zmyślnie zacerowaną dziurką, potem ciemnowiśniową wełnianą kamizelkę i wreszcie zielonkawą koszulę z przetartym kołnierzykiem. Rozbieranie się z podkoszulka już sobie darował, a ja zastanawiałem się, dlaczego ów człowiek tyle na siebie wdziewa, skoro w firmie jest zawsze gorąco, oba kotły, w których odparza się pióra z zabitych skowronków, wydzielają tyle pary, że odprowadza się ją rurami do systemu ciepłego budynku. Najcieńsze mrozy nie są tu straszne, ale kiedy wychodzi się po pracy na ulicę, łatwo się przeziębnić, zwłaszcza takiemu cherlakowi jak ja, co źle znosi różnice temperatur.

No i wtedy Rupert wskazywał kolejno blizny na szyi, ramionach i rękach, opowiadając tym swoim bełkotliwym szczebiotem historię każdej z nich, jakby był to rzetelnie przygotowany wykład. Tworzył wokół tych dziobnięć niewiarygodne legendy, nawet dobrze by się ich słuchało, gdybym nie spieszył się do domu na obiad. Mama przygotowywała dla

mnie chlebki nadziewane czym się tylko dało, gotowanymi liśćmi albo resztkami serów, a po tej wyczerpującej pracy byłem gotów wsunąć dwa albo i trzy, nim padłem na mój tapczan i zasnąłem kamiennym snem.

Sny... O dziwo ani po południu, podczas sjeisty, ani w nocy nie dręczą mnie podświadome alegorie ptasiej rzezi, może dlatego, że nie biorę w niej bezpośredniego udziału, ale przecież to ja decyduję, kiedy skowronek jest już gotów, egzaminuję go, obiecując występy w ptasim chórze na końcu świata albo solówkę nawet, jeśli śpiewak jest ambitny i marudzi mi, że pragnąłby się jeszcze pouczyć. Rupert i Iguana zarzucają mi marnotrawstwo czasu treningu, chcieliby go skrócić z czterech miesięcy do kilku tygodni, lecz to byłoby oczywiście barbarzyństwo, szkolony tak mało ptak smakowałby jak pieczona podeszwa, a struny głosowe, przysmak prezydenta, nie naprężałyby się i nie piszcząły wystarczająco głośno podczas gotowania. W najlepszych restauracjach, do których wysyłamy ów towar w stanie gotowym, nagrywa się owe dźwięki i potem na życzenie średnio zamożnych klientów odtwarza z szafy grającej. Trzeba więc dbać o jakość, tłumaczyłem dyrektorowi, którego od czasu wysłuchania opowieści o bliźnach nazywam Historykiem; zdołałem ów pseudonim nawet rozpowszechnić wśród skowronków i części pracowników. Wydawania ptaków do rzeźni nie odwlekam oczywiście z altruistycznych powodów; ilekroć podejmujemy z mamą ten temat, zgadzamy się całkowicie, że najbardziej na świecie nienawidzimy właśnie skowronków.

W zakładzie często prawią mi morały, jak to powinienem kochać moich wychowanków, wkładać całą duszę w śpiew, wreszcie poczuć powołanie do mego szlachetnego zawodu. W mowach tych celuje jejmość Kopyto, zwana tak z powodu osobliwej sylwetki, przypominającej krótką, bardzo krótką kolumnę z dwoma wybrzuszeniami u szczytu. I bez szyi, oczywiście prawie bez szyi!

Pani owa, kierowniczka produkcji, posiada talent, który przyniósł jej prawdziwą fortunę, wymyśliła bowiem sposób na uszlachetnienie smaku ptasich flaczków. Nie widziałem tego na własne oczy, ale pracownicy produkcyjni opowiadali mi szczegółowo przebieg tego procesu wytłaczania. Po wyłupieniu skowronkowi oczu, co czyni się na samym początku, Kopyto każe powiesić go za jedną nóżkę na przystosowanym do jego ciężaru haczyku, a następnie ostrym, zakrzywionym nożykiem wydobyć na zewnątrz jelita, no, zapomniałem o najistotniejszym, przed tą operacją trzeba ptaszka przegłodzić, żeby wnętrzności zachowały słodki, czysty zapach krwi. Zabieg odbywa się w dźwiękoszczelnym pomieszczeniu na drugim piętrze, aby odgłosów nie było słyhać w parterowych salach, gdzie prowadzę szkolenie. Kopyto ustawiła u siebie monitory i kamery, którymi rejestruje się przebieg produkcji dla co wybredniejszych klientów; nie mają wątpliwości, że jesteśmy solidną firmą, skoro puszcza sobie parę metrów taśmy przed posiłkiem, może zamiast aperitif. Lekarze zalecają nasze kasety odbywającym drastyczne diety wrażliwcom, jeśli więc brakuje w sezonie skowronków, Iguana handluje filmowymi kasetami.

Nie mam takiego sprytu jak ci na górze, oj, nie, przydałyby mi się choćby elektryczne kamertony czy gitara, żebym mógł akompaniować skowronkom, dano mi jednak tylko stare pianino bez dwóch klawiszy z prawej strony, ale jakoś sobie radzę, skowronki siadają mi na palcach, jakby chcąc dodać polotu, patrzę wówczas w nuty i przed oczyma mam fantastyczne kompozycje, zrozumiałe tylko dla najzdolniejszych ptaszków, pozostałe milkną, zaś po pewnym czasie zaczynają znów gaworzyć jak na wolności. A kiedy dowie się o tym Kopyto, zaraz przybiega podsłuchiwać, aż różowa niczym prosiaczek jedwabna bluzka wydyma się na niej metodą obumierającego żagla, choć donoszenie to niby nie specjalność tej pani, szpiclem nad szpiclami jest przecież pijaczyna Johnny, ponoć erudyta w niektórych kwestiach współczesności, ale zdaniem skowronków źle wywiązuje się z kapownictwa, kiedy ma kaca, tak jak fatalnie doбира sobie kosmetyki, wszystkie intensyfikują smród potu, może to żona z zazdrości kupuje memu koledze tandetną wodę kolońską i płyn po goleniu, wszystkie ptaszki

krzywią dzioby, tak cuchnie. Johnny pozuje na eleganta, a wskutek tych zabiegów wygląda niczym niedomyty torreador, który nie potrafi sprostać swemu image'owi, a pcha się na arenę. Byk, zamiast zaatakować, stoi jak wryty ze zdumienia, przywykł bowiem rzucać się na przeciwnika, poczuwszy woń wszelkich wcieleń pośmiertnych szlachetnej roślinki lawendy, tymczasem wokół rozpościera się wyłącznie smród wielotygodniowego potu.

W zakładzie Południowiec, gdyż taki pseudonim nosi tu Johnny, prowadzi skowronki z sal edukacyjnych do rzeźni, zapowiadawszy uroczystość jakąś albo nabożeństwo, w każdym razie to on kłamie z uśmiechem na ustach i przekazuje wyszkolony towar pani Kopyto. Chciano mi powierzyć tę funkcję, ale po wielu rozmowach stwierdzono, że się do tego nie nadaję. Mam uczyć śpiewania, a jeśli odkryję wśród ptaków poetę, powinienem go natychmiast odizolować i powiadomić Ruperta; jego zdaniem zdolny układać wiersze może łatwo wywołać bunt wśród skowronków, doprowadzając do upadku fabryki, jeśli na przykład umknie cały wylęg i zatrzyma się dopiero w Afryce, na przykład w Puto Mamuto, gdzie Murzyni głodują i modlą się o mannę z nieba do Mahometa i innych starych świętych. Przez żadne interwencje konsularne nie odzyska się wtedy stada, bo zostanie zjedzone, nim ministerstwo wystosuje oficjalne pisma protestacyjne i uzyska odpowiedzi. Skąd Rupertowi przyszło do głowy Puto Mamuto, dowiedziałem się dopiero później i to od skowronków, ponoć przed laty obrączkowano najzdolniejsze okazy na wypadek ucieczki, ale jednemu ptasiemu pocięciu udało się ulecieć aż do tego egzotycznego kraju. Mimo wszystko sprowadzono uciekiniera przy współpracy grupy rodzimych ornitologów, wysłanej akurat w tamte strony, żeby badać obyczaje papug, lecz po drodze wydarzyło się wiele i uczeni doszli do wniosku, iż lepiej posiedzieć sobie w klimatyzowanych knajpach przy whisky, niż ryzykować spotkanie z jadowitymi kolibrami, o których tubylcy opowiadają niestworzone rzeczy.

To prawda, nauczyłem się języka moich ptaszków, sporządziłem z ich pomocą podręczny leksykon i próbowałem nawet ułożyć skowronczy alfabet, zabrakło mi może talentu, może silnej woli, żeby tę pracę dokończyć, przerwałem ją pewnego deszczowego dnia, gdy rano, przed moim przyjazdem, zabrano z hodowli dwa największe poetyckie talenty; kto doniósł, że je odkryłem, trudno po latach powiedzieć, czy naprawdę wśród skowronków znalazł się świadomy losu profeta, czy też, jak powiedziała pani Kopyto, te dwie sztuki były zbyt tłuste, dostawały ode mnie tyle ziarna, co dopiero wylęgłe ptaszyny, należało więc zrobić z tym porządek, no i lepiej będzie dla mnie, jeżeli zaniecham wszelkich interwencji.

Nie miałem się komu pożalić. Mama wyśmiałaby mnie, że przejmuję się pierdołami, ojciec wygłosiłby kazanie, jak to uważnie powinienem postępować z przełożonymi, by pozostać w ich łaskach, ja tam, ojczyste, nie potrzebuję łaski, niech mi staną do walki, odrzekłbym wtedy ostro i kłótnia rodzinna byłaby nieunikniona.

Potrzebowałem schronienia i znalazłem je w zakładowej wypożyczalni nut, prowadzonej przez dwie sympatyczne, jakby zawsze przestraszone kobiety, nie powiem, eleganckie i niczego sobie, ale sporo ode mnie starsze, nazbyt pogodzone ze światem lub udające bunt z powodów sobie tylko znanych. Zorientowały się, że lubię cytrynową herbatę z lodem i zaczęły zapraszać mnie na przerwę śniadaniową. Wypuszcza się wtedy skowronki pod drucianą kopułę na podwórze; mogą do woli hałasować bądź ćwiczyć zadane przeze mnie nuty. Głosy ptaków przenikają przez szczelnie zamknięte okna wypożyczalni i choćbym zatkał uszy, zasłonił oczy lub zapadł w sen, nie uwolnię się od ptasiego stada. Radości tyle wśród tych stworzeń i mój niesmak, jak niestrawność po zepsutej kiełbasie, kłębiący się w żołądku, zwykła zapowiedź gwałtownych wymiotów.

Zacząłem pracować ambitniej, grałem skowronkom coraz trudniejsze kompozycje, trenując prawdziwych ptasich artystów, ale to już zupełnie nie podobało się i Iguanie, i Kopyto, nakazały mi wrócić do zatwierdzonych od lat rymów, ponoć po moich wyczynach

mięso staje się gorzkawe, zaś skrzydełka zbyt kruche, mogę to sobie sprawdzić, nawet dostać całego ptaka do spróbowania, rzecz jasna jednego z tych chudzielców, których ostatnimi czasy dostarczam. Inni trenerzy mają lepsze wyniki, choćby Żółta, więc to przez nią wyuczone skowronki pojedą na wystawę zdrowej żywności.

Nie żądałem wcale takich wyróżnień, byle dano mi święty spokój i nie zatrzymywano na popołudniowe zebrania pracownicze; nie cierpię ich jeszcze bardziej niż popisywania się wirtuozerią przed skowronkami, owszem, umiem utrzymać ciszę w swoim zespole, a te babska, przechwalając się jedna przed drugą, czynią hałas nie do wytrzymania, piją całe morza kawy i wpychają w siebie nieskończone ilości ciasta z galaretką, pierników oraz tortów. Przez pierwsze miesiące pozwalałem częstować się tymi dziełami sztuki kulinarnej, później zaś, w trosce o swoje zdrowie, zacząłem stanowczo odmawiać, no i ogłoszono mnie zdziwaczalnym zarozumialcem, nie mam zresztą nic przeciwko temu, niech o mnie myślą jak najgorzej, przynajmniej nie będą zapraszały się do mnie do domu, żeby potem obgadywać, jak to nieekonomicznie gospodaruję zarobkami albo jak okropnie urządziłem swój pokój, przecież dywanik modlitewny powinien służyć do praktyk religijnych, nie zaś wisieć na ścianie w pokoju jako tło dla dwóch skrzyżowanych sztyletów.

Najbardziej krytykowała wszelkie me posunięcia Kopyto, czerwieniejąc ze złości, gdy tylko pojawiałem się przed fabryką. Nalana, niekształtna twarz kierowniczki produkcji, z ogromnym wiszącym podbródkiem i noskiem przypominającym porzucony, zbyt mały do obierania kartofelek, wypatrywała, czy też przypadkiem nie zaniedbuję obowiązków, a choć moim zdaniem tego nie czyniłem, czepiała się jeszcze przez jakiś czas po aferze z ptasimi wierszotwórcami. Wtedy to wpadłem na pomysł, który do dziś, kiedy o nim pomyślę, poprawia mi nastrój. Uwolnię skowronki! Wszystkie! Przed wypuszczeniem ptaków na podwórze dozorca sprawdza dokładnie obrzeża siatki, znalazłem jednak miejsce, tuż za ostatnim krzaczkiem żywopłotu, które pomija z prostej przyczyny – jest całkowicie zasłonięte przez wiatę na rowery. Wystarczy przeciąć tam drut, wytłumaczyć skowronkom, że jedno silne pociągnięcie dziobem przywódcy rozerwie siatkę na pół, no i spisek gotowy.

Będę stał przy oknie wypożyczalni i patrzył, jak ulatują wysoko w niebo, nie myśląc jeszcze, co zjedzą na kolację, bo przecież nie dostaną już okruszków z ciasta ani fusów po kawie czy resztek kanapek, nie mówiąc o głównym posiłku, którego przecież Kopyto nie wyda uciekinierom. Ależ ten babsztyl będzie wściekły! Zaraz każe sobie zmierzyć ciśnienie, ze cztery razy pod rząd, wypije wszystkie krople nasercowe, jakie tylko znajdą się w zakładzie, a żeby być pewną leczniczych efektów, popije miksturę miętową herbatą.

To jeszcze nie koniec, droga pani! W dziale wylęgu czeka kolejna niespodzianka: ktoś ugotował na twardo wszystkie jajka skowronków polnych, borowych i olbrzymich. Nastawił inkubatory na taką temperaturę...

Pozostaje tylko wybrać właściwy dzień. Szczęśliwy, wywrócony przez prawdziwego czarodzieja. Obojętnie, może to być wtorek czy piątek, lato bądź jesień, ale nim upłynie mój odcinek wieczności, fabryka skowronków zostanie zamknięta. Nie pozostanie tu ani jeden ptak, ani jedno jajeczko.

## Zakazana księgarnia

„Zakazane księgarnie istnieją we wszystkich wielkich miastach świata, tylko trafić do nich niełatwo, kryją się w bocznych, ślepych uliczkach, czasem na zapleczach sklepów z pamiątkami. Mają zakurzone witryny i niewyraźne szyldy...”

Wzdrygam się na samo wspomnienie słów wuja Dezyderiusza. Nie cierpię pamiątkarskich kiosków, najchętniej rozwalilibym je wszystkie rurą, maczetą, jakąkolwiek uliczną bronią. Trudno mi powiedzieć, dlaczego właśnie na te przybytki reaguję tak gwałtownie. Może złością mnie pluszowe maskotki, pocztówki albo kolorowe lufki do papierosów, rzeźbione nożyki do cięcia papieru? Dość, nie będę przecież wyliczał tej szmiry, na co mi to; w szufladach biurka zalega tyle tego śmiecia, ludzie mi naznosili z różnych okazji, nikt rozsądny złamanego grosza za to nie da, ale co to wuja obchodzi, miał mi tylko wskazać drogę do Księgarni.

Uśmiechnął się konspiracyjnie, gdy ciotka Fuga wyszła do kuchni po parówki. Postanowiłem nawet ich nie próbować, z dwojga złego decydując się na suchy jak pumeks kawałek placka drożdżowego z kruszonką, może nie udławię się nim, póki nie pojmę jak dostać się do Księgarni. Gdyby samemu przyszło mi wybierać informatora, w żadnym razie nie postawiłbym na wuja Dezyderiusza, jakże to, moim duchowym powiernikiem ma okazać się starzec z zanikami pamięci, praktycznie analfabeta, głuchy na dodatek. Pewnie ktoś podszył się pod jego spojrzenie, wkradł w fizyczną strukturę i może próbuje mnie sprowadzić z właściwej ścieżki, zabłąkać wokół setek oficjalnych księgarni z kolorowymi wystawami, podzielonymi na działy tematyczne, dla dorosłych i dla dzieci, kucharek i pań z towarzystwa. A może wuj tylko udaje sklerotycznego kretyna ze względu na ciotkę Fugę, żeby mu dała spokój i szła na plotki do sąsiadek?

Pewnie w każdym z moich przypuszczeń było trochę prawdy, gdyż po kolacji, gdy ciotka wyruszyła na obchód kumoszek, Dezyderiusz otworzył szufladę, w której, według mego w tym mieszkaniu rozeznania, powinno znajdować się archiwum rodzinne w postaci metryk, paragonów i kart gwarancyjnych na różne sprzęty, fotografii zbiorowych i indywidualnych, wreszcie listów i pocztówek świątecznych. Spośród tego śmiecia starzec wydobyl dwie zalakowane koperty poźółkłe ze starości.

– Bierz – rzekł do mnie. – Nam to na nic się nie zda. W życiu nie przeczytałem całej gazety, a co dopiero książki, zobacz, dziecko, do kogo trafił roznosiciel tych trefnych listów!

Obejrzałem koperty i nie stałem się ani o jedno olśnienie mądrzejszy. Zerknąłem poważnie na Dezyderiusza i marszcząc brwi spytałem:

– Co to jest?

– Nie ufasz mi? – zatroskał się wuj.

– Na kopertach brakuje adresu.

– Oczywiście, przecież nie było wiadomo, kto zdecyduje się poszukiwać Księgarni. Nie było cię jeszcze na świecie, kiedy te listy trafiły do mojej szuflady.

– Dlaczego ich nie zniszczyłeś albo komuś nie przekazałeś, choćby moim rodzicom? – Uważałem, że wątpliwości należy wyjaśnić do końca.

– Ostrzegano mnie. Spalona lub podarta koperta Księgarni ożywa i obraca się przeciwko temu, kto ją zniszczył.

– Nie znam tej legendy.

– Jesteś młody i niedoświadczony, ale jeśli wierzysz w Opatrzność, posłuchaj do końca dziejów tych kopert. Trzy razy włamywano się do nas, by je ukraść i za każdym razem włamywacze nie potrafili ich znaleźć. Pieniądzy nie wzięli... Wolno ci otworzyć tylko jedną, wewnątrz znajdziesz opis drogi do Księgarni. Drugą powinieneś zachować i oddać jako



zapłatę właścicielowi, kiedy wybierzesz już książki, które chciałbyś kupić. Tyle mogę ci przekazać.

– Dziękuję, może jeszcze...

– Niczego więcej nie dowiesz się od prostych ludzi, takich jak my. Dalej musisz iść sam.

– Nie będę zabierał wam więcej czasu – pożegnałem się, nie czekając na ciotkę Fugę, mogłaby pomyśleć, że chcę drinka na odchodne, niech sobie zostawi ten rum do ciasta, pomyślałem i podążyłem prosto na przystanek autobusowy. Koperty wsunąłem głęboko do kieszeni kurtki i dotarłem jakoś szczęśliwie do domu, nie napadnięty ani nie okradziony, ani też nie zwiedziony na manowce przez dziewczynę – zgubę, jak to nazywał zwykle gapiostwo sąsiad mego kolegi z dzieciństwa.

Dopiero w swoim pokoju na piętrze wyjąłem obie tajemnicze instrukcje i położyłem je na biurku obok zastawionej figurami szachownicy. Od dawna nie miałem przeciwnika w tej szlachetnej grze, więc kształcenie sprawności posunięć też mi nie wychodziło. Ale czy warto było składać szachy, skoro koperta mogła okazać się pusta albo zawierać szyderstwo, oszukańczą propozycję dla niedoświadczonego młodzika?

Obawy okazały się płonne, złamanie pieczęci nie uruchomiło mechanizmu bomby, nie wy dostał się też z koperty trujący gaz czy proszek. Stare opowieści głoszą, że rogi kartek mogą być nasączone trucizną, ostrożnie rozłożyłem więc, starając się nie uszkodzić niemal zupełnie zetłalego papieru, dużą kartę, pokrytą brązowymi plamami, jakie pozostawia w starych księgach wilgoć i zacząłem czytać:

„Marzysz o Zakazanej Księgarni?”

Najpierw zadaj sobie pytanie, czy w dozwolonych dziełach przeczytałeś już wszystko, o czym chciałbyś wiedzieć. Nie pominąłeś żadnego ważnego tomu? Być może z marginesu, na który chcesz wstąpić, nie ma powrotu do świata oficjalnej nauki i literatury, toteż odpowiedz sam sobie, czy gra warta świeczki. Jeśli dwa razy wymówisz «tak», wolno ci czytać dalej”.

Usiadłem prosto na kanapie, wzięłem głęboki oddech i przekonywałem się w myślach, iż żadna zalecana bądź na całym świecie dozwolona książka nie interesuje mnie tak bardzo, jak zabronione przez wielkie religie pamflety, dzienniki hochsztaplerów czy co tam jeszcze mogło stać na półkach tropionej przez rządowych szpiclów instytucji. Wyszpeptałem „tak, tak” i choć nie wiem, czy zabrzmiało to przekonująco, szybko odcyfrowałem dalszy ciąg niewyraźnie napisanej instrukcji:

„Los nie daje prezentów, na odkrywanie zakazanego trzeba ciężko zapracować. Spodziewałeś się tego? Nie, jesteś przecież wychowany przez baśnie starego świata, w których po prostu ma się szczęście. A tak naprawdę dlaczego miałoby ci sprzyjać, może woli sprzątaczkę uliczną albo włóczęgę? Jeszcze wolno ci się wycofać, włożyć ten list do nowej koperty, potem do szuflady, gdzie będzie czekał na następnych ciekawskich”.

Zwątpiłem na chwilę w sens dalszych działań. Skoro dostęp do księgarni został obwarowany tyloma nakazami, przegadany morałami, może dać sobie spokój i samemu napisać z założenia bulwersującą opowieść, oczywiście zgodną z moimi poglądami na istotne sprawy i cieszyć się, że coś tak odważnego leży sobie w biurku i nikt o tym nie wie. Ale nie, nie powinienem chyba obrażać się na autora listu, pewnie nie miał z kim sobie pogadać, biedaczek, zwierzyć się z tajemnicy Księgarni, a tam przy półkach nudzi się śliczna antykwarystka, oboje mnie potrzebują; dobre towarzystwo też ma swoją cenę, pomyślałem, a zaraz potem stwierdziłem, iż w żadnym razie do niego nie należę, nie stać mnie nawet na herbatę w dobrej kawiarni, a jak doliczę koszt szatni i toalety, wniosek będzie tylko jeden – nie mam po co wychodzić na miasto, chyba że niczym pan Firański, emerytowany doktor, będę zabierał termos w groszki i w parku na ławce popijał przyrządzoną przez siebie aromatyczną herbatkę z cytryną. Zimą robi włóczęgom apetyt ten pan doktor, nie postąpię tak okrutnie, wybiorę wędrowki ku Księgarni, podczas spełniania jakiejś misji zapomina się o pragnieniu i oszczędza na wydatkach, na cóż wtedy woda mineralna czy papierosy! Ponownie

uniosłem kartkę ku światłu:

„Adres Zakazanej Księgarni dostaniesz dopiero wtedy, gdy wykonasz siedem wymienionych w tym liście prac. Metody wybierasz sam. Dano ci ogromne ułatwienie – nie obowiązuje cię żadna etyka, możesz stosować chwytów poniżej pasa, omijać prawo i lekceważyć zwyczajną ludzką przyzwoitość, oczywiście niekoniecznie wiedziony koniecznym imperatywem. Masz ochotę po prostu zachować się jak pospolita ludzka świnia i robisz to, żeby wyrównać rachunki z miastem, rodziną, znajomymi i znajomymi znajomych, a wreszcie z obcymi, bowiem to oni czynią ci największą krzywdę swoim istnieniem...

Siedem prac ma być nie tylko próbą odwagi, powinno dać ci pewność siebie, zachęcić do ruchu i spełniania marzeń bez oglądania się na innych. A oto lista!

I. Masz obsesję czystości. Skończ z nią, zużywając całe mydło na jedną kąpiel.

II. Było łatwe, nieprawdaż? Pora przełamać kompleks męskości. Nie wystarczy pójść do burdelu, kochany! Musisz zaspokoić jedną po drugiej siedem dziwek. Jeżeli tego nie dokonasz, przepadłeś! Zamiast adresu do Księgarni pokażemy ci kiosk albo śmietnik ze starymi gazetami. Do dzieła!

III. Wkurza cię pies sąsiadów? Wyje za suką jak sam diabeł? Należy go wytrzebić. Czy przeżyje czy zdechnie po twoim zabiegu, i tak możesz uważać zadanie za wykonane.

IV. Brzydzisz się nierobami, całe życie pracowałeś, a ptaki niebieskie bogacą się twoim kosztem. Powinieneś złapać złodzieja! Oczywiście należy ukarać go natychmiast, nie czekając na reakcję policji i wyrok wymiaru sprawiedliwości. Nie wiesz jak? Wymyśl własny system represji. Czyżbyś nigdy nie marzył o tronie tyrana? Nadajesz się na to stanowisko w sam raz tak samo jak inni.

V. Powinieneś wyrównać teraz bilans między dobrem a złem. Proponujemy, abyś uratował rozbitka. To świetny sposób, żeby chodzić w glorii i chwale przez następnych kilka miesięcy. Może dostaniesz order. Przyda się na pewno, gdy idea Księgarni znudzi ci się jak stara płyta.

VI. A teraz odrobina magii. Możesz sam wybrać podmiot oddziaływania, lecz i Księgarnia potrafi coś zaproponować. Naucz się zatrzymywać i cofać rozwój zarodka w kobiecie aż do całkowitego, bezbolesnego odpłodnienia albo posiadź umiejętność wróżenia z pustych butelek po piwie. Możesz wywołać telepatycznie chrypkę u proboszcza, kiedy zamierza wygłosić kazanie przeciw ludzkim przyjemnościom, a jeszcze lepiej krztuszenie się spikera telewizji lokalnej podczas nadawania wiadomości giełdowych.

VII. Przed otrzymaniem adresu księgarni musisz odbyć próbę najcięższą: przez miesiąc nie będziesz jadł nic prócz lodów i nie pił żadnych napojów z wyjątkiem piwa wybranej marki, wyłącznie dobrze schłodzonego”.

Koniec! Co by o tym wszystkim nie powiedzieć, instrukcja dość szczegółowa. Gdyby nie pochodziła z szuflady wuja Dezyderiusza, może przejąłbym się nią bardziej, starał się wykonywać prace po kolei i zapisywał ich wyniki w sekretnym notesie, przewracając kartki bez ślinienia palców, żeby nie pozostawić brudnych śladów na złoto zdobionych brzeżkach. Bo notes mam niczym modlitewnik, tylko że oprawiony w skórę hipopotama, wygrałem ten bubel w oczko, no i muszę teraz nosić, kieszeń mi wypycha, ale innego nie będę kupował, póki nie skończą się te ostre karty, których strach dotknąć wewnętrzną częścią dłoni. Raz przeciąłem już sobie palec i stąd ta plama na dwudziestej stronie. Uznałem zranienie za wyrok losu i właśnie na zabrudzonej kartce rozpocząłem notatki związane z Księgarnią.

Postanowiłem natychmiast wykonać pierwszą pracę, gdyż można było łatwo obejść pułapkę przeciwnika, stosując do tej superkąpieli mydło w płynie, co też uczyniłem gorącego lipcowego dnia pod prysznicem; nie znoszę wanny, od dziecka straszony, że można się w niej utopić, zniecierliłem także rdzewiejące misy i balie, a dobrze oczyszczony z brudu ulicy czułem się jedynie pod chłodnym strumieniem wody.

Zaśmiewałem się z naiwności strażników Księgarni, ułożyli pracę zbyt łatwą dla dręczonego pasją człowieka, zbuntowanego przeciw kalendarzom i książkom kucharskim,

podręcznikom oraz lekturom dla dzieci i dziadków, całej tej umoralniającej makulaturze, której nie warto nawet zauważyć, tylko chciałoby się pluć na cukierkowe okładki i demaskować ich łgarstwa oczom niemego świata.

Nie spodziewałem się żadnej reakcji na podjęcie wyzwania, strażnicy powinni mieć przecież mnóstwo zajęć, gdzieżby tam chciało się tym zacnym ludziom zajmować się moją skromną osobą, może kupię jakąś książkę albo i nie, tak sobie rozważałem, leżąc w łóżku po tej kąpieli. W nowym, bardzo szorstkim szlafroku nie mogłem zasnąć, choć mocno tego pragnąłem, no i wówczas zadzwonił telefon. Głuchy, anonimowy sygnał zabrzmiał jak akceptacja wykonanej pracy i wiedziałem, że po spełnieniu kolejnych warunków znów rozlegnie się o tej samej porze, jeżeli czegoś nie spieprzę, jak gong na następną rundę pojedynku albo dzwonek omnibusu, który zatrzymał się na mym przystanku, żeby mnie powiadomić, iż cały świat już wie, klaszcze mi zmierschami, bowiem wybieram się w zakazane.

Towarzyskie ogłoszenia swawolnych pańienek czytałem przez cały następny tydzień; w szacownym mieście naliczyłem trzydzieści trzy burdele na telefon, zastanowiła mnie ta liczba, ale niczego nie wywnioskowałem, jedynie kupiłem ojcu bilet do teatru, chcąc na parę godzin zostać w domu sam na sam z telefonem; często rozmawiam z nim, nawet kiedy nikt nie pojawia się na linii, długi dźwięk uspokaja mnie, zachęca, bym raz na zawsze ogłuchł, przeciął druty, czy też przestał liczyć na to, że ktoś zechce mnie wysłuchać, kiedy poczuję się jeszcze gorzej.

Cennik usług erotycznych okazał się jeszcze bardziej zróżnicowany niż marże na wino w knajpach, no i ceny były tak słone... musiałbym chyba wziąć kredyt w żydowskim banku, jednym z tych nowych, które wabią niskimi odsetkami za pożyczki, żeby zapłacić tym siedmiu babom. Trzy dni nie ruszałem się z domu, poświęcając się całkowicie pracy intelektualnej nad rozwiązaniem tego zagadnienia, koniec końców sprzedałem samochód wuja Dezyderiusza, a potem wywiązałem się z drugiego zadania u „Siostr Weroniki”; odchorowałem oczywiście tę imprezę, bowiem nie starczyło mi na luksusowe środki podniecające, musiałem zadowolić się... mniejsza o to, czym i jak zastosowanym. Przysięgałem sobie nie zadawać się nigdy więcej z dziwkami i wtedy zadzwonił telefon, ani myślałem go odbierać, niech przeciwnik się wkurzy, ale ojciec wstał i podniósł słuchawkę, a potem kłął przez dwie godziny domniemanego kawalarza; jak zwykle w takich sytuacjach milczałem dzielnie, ale do rana już nie zasnąłem.

Psa sąsiadów dopadłem w zsypie i potraktowałem scyzorykiem, długo potem pod oknami toczyły się rozmowy, komu to nieszczęsne zwierzę zawiniło, z satysfakcją wysłuchałem konkluzji, iż doga okaleczył z pewnością zamieszkały w pobliżu facet, ojciec siedmiorga niezbyt kumatych dzieciaków, które często myślą psie bobki z rozsypanymi na ulicy cukierkami lub śliwkami. Nigdy nie lubiłem psów, obszczekujących mnie przy każdej okazji, nie miałem więc wyrzutów sumienia. A wykonywanie następnych prac poprzestawiałem, gdyż przyszło mi do głowy parę niezłych pomysłów. Propozycje magicznych dokonań wydały mi się niedorzeczne, w podręcznikach dla czarowników znalazłem wiele bardziej ekscytujących doświadczeń i już szykowałem się do odbierania mleka wszystkim sklepom w dzielnicy, kiedy przypomniałem sobie o wyborach.

Jakieś dwa miesiące wcześniej wielcy ludzie mego kraju sprzeczali się mocno, czy owo ekscytujące wydarzenie ma odbywać się w soboty czy w niedziele i czy liczenia głosów nie powierzyć przypadkiem organistom parafialnym jako ludziom posiadającym doświadczenie i inteligentnym. Dziwię się sobie, iż o tym pamiętam, wybory ogłasza się tutaj przeciętnie trzy razy w roku, nie są więc wydarzeniem nadzwyczajnym, dały mi jednak okazję do wypróbowania magicznego talentu. W pięciu wyborczych lokalach zastąpiłem urny na głosy utylizatorem do spalania papierów i tak oto pół miasteczka musiało pofatygować się po raz drugi, żeby udzielić poparcia swoim faworytom.

Telewizja uczyniła wokół tej sprawy tyle szumu, że postanowiłem zająć się czymś bardziej przyjemnym i nie mieszać się więcej do polityki. Uratowałem paru rozbitków i do dziś jestem dumny z tego czynu. Nie na morzu oczywiście, nie opanowałem bowiem szlachetnej umiejętności pływania i znalazłszy się na pokładzie okrętu, sam mógłbym potrzebować pomocy; jednakże na przystanku autobusowym zagapiłem się na przeciwną stronę ulicy, gdzie mieści się miejski klub abstynenta; natychmiast przekroczyłem jezdnię na czerwonym świetle, rozbitkowie nie powinni przecież czekać, poznałem kilku panów o bardzo smutnych minach i za całą tygodniówkę zakupiłem spirytusu, który został spożyty na zapleczu klubu pod nieobecność pani kierowniczk.

Obawiałem się, że praca może nie zostać zaliczona, ale o północy telefon zabrzączał nawet weselej niż poprzednio, zachęcając mnie do dalszych wysiłków. Wielu chłopców pragnie zostać policjantami, ja jednak nie zdradzałem w dzieciństwie tej pasji, nie znam nawet prywatnie żadnego policjanta, złodzieja także, uświadomiłem sobie podczas zastawiania pułapki na amatorów cudzej własności. Nie posiadałem już środków, by kupić atrakcyjną przynętę, zostawiłem więc otwartą piwnicę, rozpowiadając gdzie się dało, iż właśnie rozlałem do butelek sikacza własnej roboty. Ukryłem się w beczce po kapuście i czekałem. Już pierwszej nocy do piwnicy zakradło się dwóch gówniarzy, klnąc ostro, szukali tego wina, kiedy wyskoczyłem z beczki i dawaj ich ścigać po całej dzielnicy. Rozpoznałem syna kioskarki, przez chwilę nawet było mi żal babiny, ale nie czas na sentymenty, powiedziałem sobie, gdy złodzieje wpadli do głębokiego wykopu.

Wróciłem do domu i natychmiast rozpocząłem przepisaną dietę, tyle tylko, że do piwa dolewałem wody mineralnej z octem, bo tak właśnie mi smakuje, zaś lody spożywałem całkowicie rozmrożone, zamiast zupy. Brakowało mi chleba, lecz szybko przyzwyczałem się do nowego menu i nawet żałowałem, że upalny miesiąc tak szybko przeminął.

Ostatniego dnia postu otrzymałem list bez znaczka, pieczętki i nadawcy. Leżał w skrzynce razem z rachunkiem za prąd oraz pocztówką od ciotki Anieli, przedstawiającą jak zwykle ratusz stołeczny; szanowna krewniaczka kupiła na wyprzedazy całe pudełko tych widokówek, ponieważ jej zdaniem ratusz jest budowlą obojętną politycznie, przetrwa wszystkie ustroje i kartkę z jego zdjęciem można posłać każdemu, oczywiście z wyjątkiem wrogów ratusza. Zaliczam się do nich od dnia, kiedy otrzymałem dziesiątą ratuszówkę, bo tak nazywam owe przesyłki, wyrzucam je podarte na strzępy, aby nie zostały odczytane przez zbieraczy makulatury.

Dumny jak absolwent uczelni, który właśnie odbiera dyplom, odczytałem opis drogi do księgarni i nauczyłem się hasła. Włożyłem proste, szare spodnie i wyblakły sweter, aby nie rzucać się w oczy szpiclom jakimś albo czy ja wiem komu. Powtarzałem w myślach najważniejsze zdanie ostatniej instrukcji: „należy przejść przez pralnię ekspresową numer... na Starówce, potem poczekać w korytarzu, który wcale nie wiedzie na podwórko, trzy razy wypowiedzieć hasło do ściany, dobrze się rozglądając, czy aby ktoś nie podsłuchuje, a potem drzwi księgarni otworzą się bezszelestnie niczym skarbiec najbogatszego banku świata”.

Podejrzywałem, iż mimo wszystko ktoś robi mi kawał, może wuj Dezyderiusz poznał jakiegoś wesołka podczas wyprawy na antypody, a gdy odwiedziłem rodzinę w dobrej wierze, ukrył tego człowieka w szafie z ubraniami, przysięgłbym, że słyszałem kichnięcie charakterystyczne dla wszystkich uczulonych na naftalinę.

Przed wejściem do pralni zwątpiłem w sens wyprawy! Nie posądziłbym siebie o taki brak woli. Co za wstyd! Babska włąza do tej budy i wyłaża z tobołami, a ja, bez żadnych, ale to żadnych obciążeń, wciąż stoję przed oszklonymi drzwiami i obawiam się wejść do środka, nie umiając podać konkretnej przyczyny takiego zachowania. Zacząłem zastanawiać się nad znaczeniem zdania „przejdź przez pralnię”, bo czy jako klient czy rzecz do wyprania, mój przewodnik nie napisał.

Odważyłem się wreszcie i mamrocząc hasło na wspak, a takiej porady też w liście nie

było, minąłem drzwi, kontuar panienci przyjmującej brudy, zajętej właśnie przyszywaniem do nich białych tasiemek z numerkami, grzejnik pokryty kilkumiesięcznym kurzem, by znaleźć się nareszcie na poszukiwanym korytarzu. Nie miałem wątpliwości, że znajduję się na parterze, lecz poczułem się jakbym stał na setnym piętrze zagrożonego pożarem, monstualnego wieżowca. Oto czekam na otwarcie windy, z której być może błysnie ogień albo kłęby wypadną na mnie jak baśniowe smoki, porwą i powiodą daleko w głąb jaskiń, a stamtąd nie ma już powrotu do ludzi, mała strata, i tak nie bardzo mnie pojmowali, dlaczego nie miałbym zmienić towarzystwa, niech należą do niego choćby potworki ziejące ogniem, gnomy lub nawrócone trolle, trzeba poznać ich język, ułożyć magiczny alfabet i już człowiecze troski do niczego niepotrzebne, gdy będę wśród istot o bardziej pojemnej wyobraźni.

Kłujący ból w klatce piersiowej szybko minął, a ściana rozstąpiła się przede mną, ukazując pograżone w mroku półki z książkami. Natychmiast jednak zaczęło się rozjaśniać, jakby ktoś zmierzał ku mnie z latarnią i podnosił ją coraz wyżej i wyżej, abym zorientował się w obcej przestrzeni i sam odnalazł drogę. Podążałem za światłem, wiedząc że powinienem z każdym krokiem nabierać zaufania do moich gospodarzy, takie sceny opisano przecież ze szczegółami w najlepszych powieściach świata, tymczasem ja wciąż wietrzyłem podstęp, wychowałem się chyba wśród dzikich łowców, tylko straciłem pamięć i wpisano mi weń fałszywe dane, więc początków swoich nie pamiętam, zaroilem się gdzieś i wypełzłem po naukę chodzenia, zresztą ona ponoć też mi nie wychodziła najlepiej, przed ukończeniem trzeciego roku życia złamałem nogę i potem kolano bolało mnie na każdą zmianę pogody.

O takich to sprawach myślałem, patrząc na półki Księgarni i kłamię mój brak umiejętności koncentracji w najważniejszych momentach, bo komu mogłoby zależeć, bym krążył myślami poza celem wędrówki i płoszył przewodnika, który kryje się za regałami, nie śmiać wyjść, może obawia się mego gniewu czy zemsty za te wszystkie dziwne prace, ale nie, wychodzi wreszcie zza sterty książek, która przewala się poruszona powiewem albo kopnięciem; co za brednie, przecież nie wpuszczono by tu nikogo, kto nie szanuje książek, im należy się cześć jako największemu ludzkiemu wynalazkowi, potędze myśli! U szczytu swej siły przewyższyły moc Stwórcy, zawarły w tysiącach stron treści pojmowane jednym ludzkim spojrzeniem bądź zaszyfrowane wieści, zaklęte w formuły bez rozwiązania.

I jakby pojawiła się przewodniczka; widzę już ją, zstąpiła na parkiet niczym z książki otwartej na początku kulminacyjnego rozdziału, czytała w moich myślach, gdyż przystanąła wreszcie tak, bym mógł ją zobaczyć. Ani piękność żadna, ani też czarownica w starym fartuchu, widać musiało obejść się bez sensacji, tylko mała kobietka w średnim wieku, jakich tysiące, zapracowanych, nie, powinienem powiedzieć: zagotowanych, zapranych, zasprzątanych i zadźwiganych, której nie spostrzegłbym w tłumie, gdyby dawała mi znaki tajemne, musiałem więc przejść te wszystkie próby, żeby mnie poprowadziła między regały.

– Jaka tematyka pana interesuje? – spytała, jakby badając czy nie jestem szpiclem nasłanym na Księgarnię przez strażników wiedzy zakazanej lub moralności, siepaczy tropiących myśl.

– Wszystko, co mi Pani poleci – odpowiedziałem tak a nie inaczej, bowiem nie znałem tytułów.

– Dziedzina, autorzy? – kolejne pytanie.

– Literatura, historia, magia... – zacząłem wyliczać.

– Poradniki też?

– Chyba... a jakie tu macie? – zainteresowałem się tym działem, szept przewodniczki zbliżył mnie do półek, którym dotąd przyglądałem się nieufnie; książki zakurzone, w ciemnych okładkach, stały tak równo, jakby nikt nie dotykał ich od lat.

Niewielu klientów musi mieć ta Księgarnia, pomyślałem, czyżby odstraszały ich te śmieszne prace albo pralnia, mnóstwo ludzi nie cierpi tej instytucji i woli mozolnie czyścić

ubrania w ciasnych mieszkaniach, żeby śledzić ów mało interesujący proces i mieć pewność, że żadna istotna czynność nie została pominięta, a koszulka czy bluzka nie dotknęła cudzego brudu, nie wiadomo dlaczego bardziej obrzydliwego niż nasz własny.

– Każdemu wyznaczane są inne prace – wyjaśniła kobieta. Czytała w moich myślach! Kiedy podeszła jeszcze bliżej, zacząłem się zastanawiać, czy na pewno jest człowiekiem i nie mogłem pozbyć się podejrzeń o mistyfikację z jakąś maszyną, a nieznajoma śmiała się pogodnie, szukając mego spojrzenia. Nie miałem szans z tą spryciarą, poprosiłem więc o pierwsze lepsze książki, jakie kojarzyły mi się z groźną miną cenzora:

– Może... kupiłbym poradnik dla złodziei kieszonkowych, włamywaczy lub fałszerzy pieniędzy...

– Chce pan nauczyć się kraść? Oto tytuły, które mogą w tym pomóc. Proszę je przejrzeć, choć bardziej godne polecenia wydają się książki dla gwałcicieli obojga płci, mamy taki komplecik opracowany w ...

– Wolę *Vademecum włamywacza* – odparłem zdecydowanie.

– Szkoda – zasmuciła się moja przewodniczka – nigdy nie miał pan ochoty wziąć siłą dziewczynki albo dojrzałej kobiety?

– Niespecjalnie – mruknąłem.

– To fascynujący temat!

– Nie wątpię, proszę pani. Wolę jednak literaturę i ...

– Jeszcze chwilę! Mamy tu bestseller *Jak zgorszyć kurwę*, proszę tylko zajrzeć, sto pięćdziesiąt sposobów!

– A to co? *Poradnik samobójcy*? Ktoś powyrywał kartki, niech pani spojrzy...

– Tę książkę sprzedajemy na strony – zostałem szybko poinformowany – potencjalny samobójca wybiera ze spisu treści sposób, który mu najbardziej odpowiada i otrzymuje wyrwaną kartkę. Parę lat temu miałam tu nożyczki, ale...

Chciałem zapytać, jak sobie poradzi sprzedawca, kiedy kolejny samobójca zechce skorzystać z wydartej już strony, książki nie mają przecież zdolności regeneracji, lecz minęliśmy już dział porad i księgarka odkrywała przede mną tajemnice wielkich herezjarchów, nieznanymi historii z imienia, o których milczą nawet rejestry potępionych wyrokiem inkwizytora, potajemnie spalonych na podziemnych stosach, uduszonych garotą w piwnicach na wino albo odartych ze skóry w podwodnych katowniach.

Zdumiony mnogością tytułów i tematów, nie zdejmowałem woluminów z półek, poprzestając na słuchaniu wykładu, prowadzonego stylem tak nienagannym, jasnym i kunsztownym równocześnie, iż miałem pewność, że tekst został przygotowany wcześniej, poprawiony i wyuczony, albo nagrany, by można go było odtwarzać każdemu czytelnikowi. Dowiedziałem się tytułu nowych rzeczy! Przed wizytą w Księgarni nie miałem pojęcia o karach nakładanych na jej pracowników, konfiskowanych majątkach i odejmowaniu wzroku sprzedawcom.

...Co trzeci chodzący po ulicach ślepiec jest naszym byłym pracownikiem, autorem albo klientem. Nie wie, kto wydał nań wyrok, aż pewnej nocy stanie się najgorsze, człowiek obudzi się i usłyszy własny krzyk, jęk rozpaczy, że to koniec czytania, a zdobytej z trudem wiedzy nie da się już uzupełnić, będzie przeciekała przez martwe powieki, które do końca życia nie zmrużą się przed światłem i nie zamigocą łzami śmiechu, kiedy poprosi o to kartka powieści. Czy podejmie Pan ryzyko? Niektórzy dożywają swych lat widząc doskonale, inni tracą wzrok następnego dnia po spotkaniu z nami. Nie ma więc reguły...

– Dlaczego wuj Dezyderiusz nie uprzedził mnie o ryzyku? – przerwałem ten monolog tonem pretensji.

– Dezyderiusz? Nie znam nikogo o takim imieniu – zdziwiła się kobieta, odsłaniając przede mną wejście do sześciokątnego pomieszczenia, w którym nie było już otwartych regałów, ale kunsztownie zdobione gabinety i zamykane na klucz szafki, zwieńczone

ostrołukiem niczym miniaturowe świątynie. Przystanąła wyczekująco, zataczając ramieniem krąg.

– Proszę, oto literatura. Pisarze, których nazwiska skreślono z tomów bibliograficznych i usunięto z katalogów. Poeci, którym nie starczyło przekleństwa i śmierci, by istnieć przestali.

– Jak otwiera się te szafy?

– Nie mam kluczy – odparła kobieta. – Nosisz je w sobie albo jesteś nieświadomy szyfru tak jak i ja. Spróbuj, jeśli masz ochotę.

Rozpocząłem od kąta oznaczonego jedynką, potem zdecydowałem się na trójkę i piątkę. Wszystkie zamki pozostały zimne, obce i wrogie, choć korzystałem z *Vademecum włamywacza*, próbując otworzyć je uplecionym, z trzech włosów paskiem. Wykonałem go w obecności przewodniczki ściśle według wskazań poradnika, biorąc włos spod pachy, łonowy i jeden z brody, pewnie autor chciał i łysym dać szansę, niechże to wyjaśnienie starczy za komentarz mej nieudolności przestępczej. Wreszcie stojąca przy drzwiach szafka numer sześć zachrobotała i gdy tylko dotknąłem zamka, ukazała półeczki z maleńkimi tomikami. Wyciągnąłem rękę, chcąc wziąć jeden z nich, ale kobieta powstrzymała mnie nieoczekiwanie; nie kryła lęku i właśnie chciałem powiedzieć, że do twarzy jej z tym irracjonalnym strachem, ale odezwała się pierwsza:

– Zaczekaj. Jesteś już gotów?

– Na co? – zachnąłem się, sięgając po błękitną książeczkę. Przewracałem kartki, nie zwróciwszy uwagi na stronę tytułową, zainteresowany, co też zakazanego może być w opisach fantastycznych światów, skądinąd mnożonych przez autora w nieskończoność. Wtem poczułem na ramieniu dotyk delikatnej dłoni.

Sam już wiedziałem, nieznajoma nie musiała mi niczego sugerować. Nad niezrozumiałym dla mnie tytułem, podobnie jak na okładkach kilkudziesięciu innych tomików, widniały moje imię i nazwisko.

## Cud w Quartemali

... Proszę Państwa, tego nie da się opowiedzieć tak po prostu. Audycja audycją, a sprawa mniej złożona nie będzie, kiedy rzuci się parę fotek kamerze na drugie śniadanie. Tyle lat w telewizji przepracowałem, wiem co mówię, kamery i światła także potrzebują pożywienia, pozostawione bez pracy na dłuższy czas, cichną, martwieją; osłabione trudniej zapalają oczy, patrzą na ludzi krzywo i gniewają się tak samo jak zwierzęta pozostawione w zaprzęgu przez woźnicę pijaczka.

Ale nie o kamerach pragną Państwo słuchać, tylko o naszym wspaniałym zawodniku, bożyszczu tłumów i wszystkich żyjących w naszym kraju pokoleń. Jemu poświęciliśmy ten program, w pierwszą bolesną rocznicę odejścia z zespołu numer jeden Quartemali, ekipy Czarnych Spodenek w Ząbki! Jako redaktor naczelny działu sportowego pierwszego programu podjąłem się zadania ambitnego, więcej, brawurowego jak same parady Angelita, niezapomniane obrony, proszę wybaczyć mi łezkę w oku, cały potok łez, nie potrafię się powstrzymać, do mikrofonu mi kapią, zaraz zaczniesz rzeźnić na antenie, sami Państwo usłyszają.

Proszę sobie wyobrazić, postanowiłem odnaleźć nasz skarb, objechać cały świat, wynająć detektywów i radiestetów, napisałem nawet do CIA, ale nie przysłano mi stamtąd odpowiedzi. Od dnia, kiedy Angelito zniknął podczas meczu z jedenastką Mandarynii, spać nie mogłem, miałem koszmary i dostałem nerwicy podgardla, popatrzcie Państwo, jak mi się trzęsie.

Ekran już rozjarzył się dla was, drodzy telewidzowie! Oglądamy tę fatalną chwilę, najpierw w zwykłym ujęciu i z kamery ustawionej wzdłuż bocznej linii boiska, oto naszą bramkę atakuje Pico, rozgrywający Mandarynii, faul środkowego obrońcy, najazd kamery na pole bramkowe i teraz... w tej chwili na polu gry nie ma już naszej gwiazdy! Nie ma! To samo krzyknąłem podczas transmisji meczu. Krzyczeli wszyscy: sędzia, któremu nie zgłoszono zmiany, publiczność, a najgłośniejszy trener. Czarne Spodenki w Ząbki pozbawione swego asa tuż przed gwizdkiem na przerwę!

Przypomnijcie sobie, ukochani telewidzowie, tę straszną chwilę! Sędzia ma dyktować karnego, na zegarze czterdziesta szósta minuta, w barach stadionu grzeją się parówki i hamburgery, chłodzi się piwo Koluga reklamowane przez naszą stację, znakomite w każdej sytuacji, wszystko za darmo! Zabrakło najlepszego bramkarza świata, dla którego ludzie i przyszedli na ten stadion, włączyli telewizory, wydali na bilety ostatnie grosze, wiemy, młodzi kibice, jak trudno wam zaoszczędzić z tygodniówki na dwa mecze miesięcznie, i my byliśmy niedawno chłopakami w waszym wieku, z kamery ustawionej za bramką wyglądało to tak, jakby Angelito rozpląnął się w powietrzu, postać zawodnika zbladła i wtopiła się w słupki bramki, powiadają inni, na pewno w lewy, tylko cień pozostawał przez jakiś czas na wydeptanym wokół pola bramkowego kawałku murawy, a później słońce załatwiło wszelkie wątpliwości.

Te fakty znamy z wielu audycji, artykułów, wywiadów, nie opowiadałem jednak Państwu o szczegółach moich poczynań. Zaczęliśmy oczywiście od stadionu, zespół Klubu Czarnych Spodenek w Ząbki wraz z ekipą telewizyjną przekopał podczas letniej przepawy w rozgrywkach cały stadion aż do głębokości dziesięciu metrów. Nie znaleziono ani śladu szczątków ludzkich, zwierzęcych, a tym bardziej skarbów, na które trochę liczył nasz rząd, przez cały czas wspomagający poszukiwania.

Nie wolno mi, drodzy telewidzowie, zapomnieć o podziękowaniach dla naszego prezydenta i kongresmenów, którzy wspierali nas funduszami przekraczającymi możliwości niejednego koncernu. A stadion ma teraz jeszcze piękniejszą murawę, dobrze wiecie, zakupiliśmy słodka trawkę księżycową, nie trzeba jej strzyc, bo nawierzchnię nocą



przygryzają równo krwio pijcy spływający ze światłem naszego satelity; trawka to dla nich doskonała zakąska, przyznają owe stworki schwymane przez ministrantów w pułapki na księżycowe promienie.

Nie pora was straszyć, kochani widzowie! Sami wiecie, że amulet z zakrzepłej krwi pająka najlepiej chroni przed wampirami, Angelito też by taki nosił. Niektóre mecze rozgrywane są po zmierzchu i mniej zapobiegliwi zawodnicy schodzą z boiska pokąsani, nie mówi się o tym na co dzień, lecz w tym programie nie będzie tajemnic, po to został przygotowany, żeby wyjaśnić wszystkie Państwa wątpliwości. Proszę dzwonić pod nasz numer, trzy stażystki ze studia dyżurują przy telefonach. Ich sympatyczne głosiki odezwą się natychmiast, mamy w centrali pierwszeństwo połączeń na cały wieczór.

Światła na salę! Naszym pierwszym gościem będzie przyjaciel i spowiednik Angelita, ojciec Ramon, patron i kibic drużyny Czarnych Spodenek w Ząbki. Witamy, witamy! Znają Państwo tego przemilego księdza z ławki naszej drużyny. Siadywał obok trenera, prawda, ojczu? Oczywiście po lewej ręce, by było wygodnie błogosławić naszych w trudnych momentach. Uważa ojciec, że Angelito był aniołem, a zstąpił do Quartemali, abyśmy i my kiedyś zdobyli mistrzostwo świata i wszelkie puchary? Zgoda, wielu publicystów poparło tę hipotezę, ksiądz zorganizował pielgrzymkę do świętej Figuerolli, gdzie modlono się o powtórzenie cudu, abyśmy znowu mogli radować się zwycięstwami naszych piłkarzy. Czyżby popełniono jakiś błąd, cudu przecież nie było, a drużyna znajduje się wśród zagrożonych spadkiem do drugiej ligi?

Owszem, drogi ojczu, Angelito przez cały ostatni sezon nie puścił ani jednej bramki, ani w drużynie, ani w reprezentacji kraju. To dzięki niemu większość spotkań Quartemali kończyła się zwycięstwem jej piłkarzy. A te kilka bezbramkowych remisów nie liczy się przecież w tak udanym roku! Proponuje ojciec odprawić cykl mszy w intencji powrotu Angelita? To też już było! Więcej modłów nie zaszkodzi? Na pewno, na pewno ojciec ma rację. Dobrze, a teraz proszę podejść do telefonu, nasi widzowie będą pytać wielbnego Ramona o szczegóły. Dzwoncie Państwo do nas!

Kto będzie naszym następnym gościem? Poznają Państwo chyba najpopularniejszego trenera ostatniego sezonu? Don Vito Marco przyjął obywatelstwo Quartemali, żeby bardziej żyć się z naszą drużyną narodową. Do następnych mistrzostw świata jeszcze trzy sezony, panie trenerze. Co pan uczyni, żeby przygotować zespół tak doskonale jak w zeszłym roku? Trzeba wyszkolić genialnego bramkarza, ma pan rację. Jest już kilku kandydatów? Wspaniale! Ale czy znajdzie się wśród nich talent na miarę Angelita? Nie wie pan, panie trenerze, my też nie mamy pewności, osobiście radziłbym pracować z obrońcami dzień i noc, przywykli za dużo ufać ostatniej instancji, no i dobrze, mówili wszyscy, a teraz stoją te dragale na linii trzydziestu metrów i puszczają wszystko, co mocniej nadleci, przegrywamy różnicą kilku bramek i to widza boli, kibic też człowiek, cierpi zatem, kiedy schodzimy z boiska pokonani, nie mniej niż zawodnik, więcej nawet, bo nic a nic nie zawinił, szaliczek posłusznie założył i flagę taszczył na stadion. Rozumie pan to, panie trenerze? My tu wczuwamy się w rolę wszystkich tęskniących za naszą gwiazdą, całej rzeszy wielbicieli Czarnych Spodenek w Ząbki, a drużyna przegrywa mecz za meczem.

Póki nie powróci Angelito, niechże duch jego będzie z nami, jak to mawiali przodkowie o bohaterskich wodzach, nośmy na stadiony ogromne portrety, z których On, sprawując nad nami pieczę, patrzeć mógłby ma księżycową murawę i wzrokiem wybijać piłki na aut, tak sprytnie, jak to tylko On potrafił, żeby sędziowie nie podyktowali kornera. Liczył pan przecież rzuty różne, nieprawdaż? Ma pan wszelkie informacje o przeciwnikach? Wierzę, bo i jak wiem, co czyni konkurencja. Podkupuje najlepszych zawodników Quartemali, a nasz ubogi kraj nie potrafi się przed tym procederem obronić; dotychczas chłopaki szli za przykładem nieprzekupnego Angelita i odrzucali haniebane propozycje, a teraz? Reprezentacyjny bramkarz zmienia się co trzy, cztery miesiące. A kiedy syn byłego

prezydenta zdezerterował przed meczem półfinałowym o mistrzostwo kontynentu, nastąpił ów nieszczęsny kryzys polityczny, och, nie lubię wspominać takich chwil, ale obowiązek dziennikarski, drodzy widzowie, nie pozwala pominąć tak ważkich faktów.

Nasz naród obronił się jednak i znów obrał przywódcą piłkarza, tym razem z zespołu Zielonych Lamówek, zgodnie z piękną tradycją, która każe nam czcić ruch i zespołową zabawę na świeżym powietrzu.

Pan prezydent ofiarował nam pewną sumę i mogliśmy kontynuować poszukiwania. Niestety, nie mógł dziś przybyć do studia, lecz zarejestrowaliśmy dla Państwa przebieg uroczystości otwarcia Ośrodka Przyjaciół Angelita. Zatrudnieni w nim inspektorzy oraz inni pracownicy będą profesjonalnie zajmowali się poszukiwaniem i odczytywaniem śladów zaginionego, stworzą poświęcone mu muzeum, już gromadzi się eksponaty, nie będę o nich mówił, sami Państwo zobaczają. Oto prezydent przecina wstęgę, jak zwykle młodzieńczy i energiczny, nożyczki podała mu młodsza siostra naszej gwiazdy; pozostali członkowie rodziny otaczają głowę państwa – cóż za wzruszający moment! Matka Angelita ociera łzy chusteczką, rozmawiałem z tą zacną kobietą, uważa, iż syn został porwany i uwięziony przez konkurencję, wynajęła na własną rękę detektywów, którzy także są o tym przekonani. Seans spirytystyczny ponoć potwierdził, że Angelito nadal znajduje się wśród żywych, trzeba więc działać szybko i zaangażować jak najwięcej osób, pomyślałem sobie, Ośrodek przyjmuje honorowych ochotników, samych odważnych mężczyzn, pozostało bowiem spenetrować środowiska przestępcze, a zawodowi inspektorzy są w nich bardzo dobrze znani.

Za panem prezydentem stoją, tak samo wysocy jak nasz najsłynniejszy bramkarz, ojciec i trzej starsi bracia Angelita. Poważni i eleganccy panowie! Dwaj młodszy prowadzą narzeczona brata, ślubowała nie spojrzeć nawet na innego mężczyznę, dopóki losy tego, komu przysięgała, nie zostaną wyjaśnione. Nosi na oczach czarną przepaskę, aby tego przyrzeczenia dotrzymać. Wyznała mi w tajemnicy, którą mimo wszystko zdradzę, dziennikarze nie potrafią utrzymać języka za zębami, wiedzą o tym Państwo doskonale, iż jej zdaniem narzeczony opuścił ten padół w dniu krytycznym, odszedł na wieki i pragnęłaby tylko urządzić mu godny wielkiego człowieka pochówek. Zobaczcie, drodzy widzowie, ów bezmiar bólu i rezygnacji! Nie uchodzi pozostawić w tym stanie tak sympatycznej młodej osoby, trzeba jej pomóc uwierzyć w powrót Angelita, tylko miłość i wiara czynią cuda, płacz odstrasza anioły, śliczna Marie, jak taka piękna dziewczyna może z mokrą szmatą na oczach pokazywać się światu, kiedy wszyscy poszukują gwiazdy z Quartemali! Zerwij surowe śluby, Marie!

Tak z nią rozmawiałem, proszę Państwa, ale nie zgodziła się na nagranie, wyrzekła się w ogóle życia publicznego, osiadzie na plantacji i będzie uprawiać kakaowce, smutne drzewa rozstania, z czegoś musi utrzymać starych rodziców i inne osoby, którym pomagał Angelito, on potrafił zarobić na dwadzieścia albo i więcej osób, nie wszyscy przez niego utrzymywani pojawiają się w programie, zwinęli żagle, jak to się mówi, wstydu nie mają, ale Marie nie nazwie zdrajców po imieniu, przemilczy ich istnienie.

Zagadałem się, a tu do Państwa następny gość! Matka naszego Anioła! Nie był tak wspaniały jako dziecko, skądże, rozrabiał i wybijał szyby sąsiadom z parteru, ale kiedy został trampkarzem Czarnych Spodenek w Ząbki, zmienił się nie do poznania, zaczął zjadać obiady do czysta, czy to baraninę na kwaśno, wszystkie surówki, świadectwo matki liczy się najbardziej, nawet kluchy z pomarańczami połykał bez obrzydzenia.

Pierwszy raz stanął na bramce mając piętnaście lat, bardzo od tej pory spoważniał, skoro pani tak mówi, to musi być prawda, matki zawsze zauważają przemiany w swoich dzieciach. Nie interesowała się jego sukcesami, gdzie by tam miała czas oglądać mecze, dopiero dzięki nam zobaczyła syna w akcji, dzięki naszej stacji! Bardziej niż na boisku podobał się pani w reklamach napoju anyżowego i zdrowotnej tasiemki? Nie, z tym nie mogę się zgodzić. W tych krótkich filmach nie miał okazji pokazać swej nadzwyczajnej zręczności w wyłapywaniu piłek, wspaniałego zasięgu ramion, wyskoków najwyższych w historii piłkarstwa, wszystko

to zmierzono swego czasu, no i kapitalnej gry na przedpolu. Marzyła pani o karierze filmowej dla syna? Czemu nie, po osiągnięciu pewnego wieku, kiedy już męczylby się na boisku... co ja gadam, to niemożliwe, żeby Angelito zestarzał się lub stracił coś ze swej wartości jako zawodnik, Państwo też w to nie wierzą, wygwizdalibyście mnie, drodzy telewidzowie, gdybym to powiedział na boisku, przyznajcie się, gwizdźcie sobie cicho albo głośno w domach, no i macie rację. A może razem spróbujemy?

Udało się! Nie gwizdałem, proszę sobie wyobrazić, z dziesięć lat, bo nie było powodu, gdy nasi wychodzili po zwycięstwo pod wodzą Angelita. W którym to roku pani syn został kapitanem zespołu? Zgadza się, że minęło już osiem lat! I wtedy rozpoczęły się największe sukcesy, o, przyniosła pani najcenniejszy, ostatni medal syna, niechże Państwo spojrzą, a za chwilę odtworzymy film z dekoracji, takie minuty pamięta się najdłużej. Nasz mistrz całuje złoty medal dla Quartemali, obraca się i wyprostowany słucha hymnu narodowego. Kiedy to, pamięta pani może, zmieniono jego ostatnią zwrotkę? Cztery lata temu, na mistrzostwa kontynentu, a zdaje się, jakby to było wczoraj. Imię Angelita i naszej drużyny wyśpiewano na wrogiej ziemi, a na trybunach wszyscy bili brawa, wyrażając uznanie najlepszym. Najlepszym! A potem w naszej konstytucji zapisano, iż zawód piłkarza jest najszlachetniejszym posłannictwem, powstał nawet zakon misyjny trampkariuszy, ale rozwiązał się, gdyż do gry w futbol nie trzeba u nas nikogo namawiać, każdy chłopiec przechodzi odpowiedni trening i bierze udział w rywalizacji o miejsce w dobrej drużynie. Obywatele Quartemali znają te fakty i są dumni z młodzieży spełniającej narodowe powołanie. A obywatele to przecież my wszyscy!

Zagadałem się, ogromnie Państwa przepraszam. Mieliśmy mówić o moich poszukiwaniach Angelita. Trzystu młodych ludzi zwerbowałem do kolejnej akcji, która jeszcze trwa, w państwach ościennych chłopcy popełniają drobne przestępstwa, by dostać się do aresztów i tam szukać śladów naszej gwiazdy. Jakiś szalony tyran mógł przecież zamknąć w najgłębszym mamrze nasz skarb, tak zwyczajnie na złość.

Przeczesałimy kazamaty Mandarynii, Pomponii i Drasalli, wszystko na próżno. Z zaszczytnej misji nie powróciło dotychczas czterdziestu sześciu wysłanników, ślad wszelki po nich zaginął. Miesiąc temu sytuacja przedstawiała się jeszcze bardziej dramatycznie, myślałem już że utraciłem jedną trzecią ludzi, na szczęście chłopcy wciąż się meldują, smutni i zawiedzeni, nie chcą wystąpić przed kamerą z wyjątkiem tych czterech, z którymi teraz będę rozmawiał. Prosto z lochów Mandarynii, kochani? Nikt tam nie słyszał o naszym bramkarzu... przykre. Pracowali w kamieniołomach, ziejących grozą dziwnej śmierci, choroby, która zamienia ludzi w głązy po pięciu latach udręki albo jeszcze szybciej, naszym przyjaciółom zaczęły już drętwieć palce u nóg, to interesujące, proszę posłuchać, więźniowie są tam wykorzystywani w sposób absolutny, kiedy skamieniają im nogi, ustawia się ich na równym miejscu, gdzie tłuką złoty granit na drobne kawałeczki; na koniec z kopca połyskującego proszku wystają już tylko ramiona i głowa, sprawne do końca, więzień stopniowo milknie i głuchnie, a ślepnie dopiero po całkowitym znieruchomieniu. Powstałe w ten sposób posągi ustawia się po obu stronach drogi z kamieniołomu do miasta. I tam nie było Angelita, nasi emisariusze zbadali rzecz dokładnie.

Jedyny sposób, w jaki można się stamtąd wydostać, to udawać kamień, żeby zostać wywiezionym poza ogrodzenie. Proszę spojrzeć, ucieczka udała się wspaniale, początkowe objawy kamienienia chłopaków ustąpiły po przekroczeniu ojczystych granic. Dziękujemy wam, kochani! Misja spełniona. W nagrodę otrzymacie z rąk prezydenta patenty oficerskie, będziecie pełnili honorową służbę na stadionach, chroniąc naszych chłopców i publiczność przed niesportowym zachowaniem przeciwników.

Moje słowa potwierdzi za chwilę doktor Juhha, lekarz naszej reprezentacji, badał wysłanników zaraz po ich powrocie. Dzielni młodzieńcy nie ponieśli najmniejszego uszczerbku, ich wola przetrwania to godny przykład dla nas wszystkich. Proszę nam jeszcze

powiedzieć, doktorze, czy Angelito był zdrowy, to znaczy może cierpiał na jakąś chorobę, którą chciał ukryć przed światem albo wyleczyć w samotności, aby powrócić do nas w pełni sił. Rozumiem, stan zdrowia zawodnika to tajemnica lekarska, lecz „tak” lub „nie” mógłby pan powiedzieć. Cały piłkarski świat czeka na rozwiązanie zagadki naszego bramkarza. Układano przeciw niemu taktyczne plany, obraz komputerowy boiska wpajano całym zespołom, byle tylko odczarować bramkę Angelita. Kto zdołałby pokonać Quartemalę, miał otrzymać bajeczne nagrody, oczywiście tylko wtedy, gdyby gola puścił nasz gwiazdor.

Zgoda, panie doktorze, historię kontuzji łokcia znamy wszyscy. Mistrz uderzył się o ławkę w szatni, kiedy dwaj zawodnicy roześmiali go do łez już pod prysznicem, a podczas ubierania stroju reprezentacyjnego podsycali ten niezdrowy nastrój, potem chciał poprawić sobie getry nasz najdzielniejszy, ale paroksyzm śmiechu zatrzęsł nim i rzucił na kamienną ławkę na wprost wyjścia na boisko. Kontuzja leczyła się źle, przez następne dwa miesiące Angelito bronił z zaciśniętymi zębami, ale gola nam nie strzelono. Obu wesołków uznano za agentów Mandarynii i usunięto z zespołu bez wypłaty apanaży za ostatni sezon. Mistrz wstawiał się za tymi draniami, tłumaczył, że to nieporozumienie, opowiadali ponoć doskonale kawały polityczne, lecz to on zaczął, miał dość nadymania się w roli męża opatrznościowego, tak właśnie to określił, pragnął poczuć się tak jak cała drużyna: młodo, beztrzesko i mieć cały ten świat w poważaniu.

No i wtedy cenzura wycięła mi to ostatnie zdanie reportażu, wściekły byłem, wypowiedź Angelita brzmiała tam naturalnie, ludzko, podobałaby się na antenie i jeśli ktoś jeszcze nie uwielbiał go z przekory, dałby się przekonać tym argumentom. A dziś już nie ma cenzury, poprosiłem więc do studia pana Leonarda, który mi niegdyś audycję skrócił, poznajcie Państwo człowieka z nożyczkami, tak go nazwaliśmy, siedział w pałacu starego prezydenta i przywożony na inspekcje, pouczał nas, jak mamy robić program na dany temat. Nie żebyśmy tego nie widzieli, ale prezydent lubił wtrącać swoje trzy grosze, nie karał nas zresztą za niewłaściwe jego zdaniem ujęcie zagadnienia, tylko kontrolował i to było niezdrowe, no więc wraz z Państwem cieszyliśmy się ze zmiany u szczytu władzy, lecz nie o tym chciałem mówić, proszę wybaczyć mi te dygresje, jednak jakże prawić o naszym mistrzu bez przypomnienia, na jakie sprawy miał wpływ i czego dokonał poza boiskiem... Akcje dobroczynne, wspieranie więźniów politycznych w dalekich krajach, regat przez ocean, sierot i zbieraczy kwiatów paproci, po których dotknięciu ludzie wpadali w szal i niszczyli samochody, tramwaje, a przede wszystkim rowery; kiedy minęła ta epidemia, musieliśmy je importować, ponieważ zniszczono także fabrykę jednoślądów.

Angelito umiał przemówić do każdego i dotrzeć wszędzie, dbano wszakże, żeby nie miał kontaktów z rodzinami mafijnymi bądź polityczną opozycją; cóż pan, panie Leonardzie, sądzi o hipotezie, że to ludzie starego prezydenta pozbyli się naszego wspaniałego zawodnika? Dużo o nich wiedział... Poza tym gdyby wystąpił w wyborach... Mógł wygrać! Dlaczego pan do mnie mruga? Czy powiedziałem coś niewłaściwego? Żyjemy w wolnym kraju ludzi sprawnych i myślących, każdemu wolno wyjawiać teorie i poglądy. Zareagował pan jak w minionych czasach, ale wybaczam panu, proszę tylko powiedzieć, czy w archiwum cenzury nie natrafilibyśmy na jakąś myśl, ślad poszukiwanego? Może to być mało istotny szczegół, ot, umknął pańskim oczom, jakaś scena na boisku, rozmowa oficjalna czy prywatna, czyjaś sylwetka lub twarz w tle, często wycinaliście przecież przypadkowe sekwencje, żeby to lub owo zrobić podczas nudnego dnia pracy i nie podawaliście przyczyn waszych decyzji.

Pański uśmiech czyni nadzieję, obiecuje, panie Leonardzie. Chętnie weźmiemy te ścinki i włączymy do starych programów. Zostały zachowane? Ależ to dar tak wspaniały, że dreszcz aż mnie przechodzi. Naszych widzów interesuje każda sekwencja, każdy kadr związany z Angelitem. Gdzie pan to wszystko przechowywał? W domu? Ależ to fantastyczny pomysł! Prezydent myślał sobie, że pan niszczy te fragmenty, a one żyją i zostaną pokazane! Co? Dla pana nie ma w nich nic nadzwyczajnego? Myli się pan! Już sama niespodzianka, jaką sprawił

pan nam tu przybywając, warta jest imienia sensacji, odkrywamy przeszłość, historię, w której nie będzie luk, pełny obraz życia tego wspaniałego człowieka. O to właśnie chodzi, drodzy widzowie! Posłuchamy piosenki? Tak, tak! W naszym programie odegrano dziś tylko hymn, brakowało nam czegoś prostszego, lekkiego *Angelito z Quartemali*, a potem *Pilkarz, wróć!*, nastrojowe, sentymentalne pieśni naszego ludu. W ich rytmie żegnamy na razie pana Leonarda, dziękując mu za przyjście do nas.

Pora na film z następnego przedsięwzięcia mej grupy. Obłeciliśmy świat nowym samolotem quartemalskiej produkcji, niby był to test dla maszyny, ale mieliśmy na pokładzie także satelitarną aparaturę, nastrojoną na rytm serca i pracę mózgu Angelita, niegdyś utrwalone jako dziw natury, pamiętają Państwo, nasz zawodnik nie męczył się tak szybko jak inni, dopiero około osiemdziesiątej minuty gry wzrastało mu ciśnienie, tętno, najgorzej czuł się podczas dogrywek, jakby jego organizm nie został na tę ewentualność przygotowany. Ten czy ów sugerował, iż Angelito jest maszyną stworzoną przez nasz przemysł, która zepsuła się i nikt nie umiał jej naprawić, więc wzięto ją na złom; zdrajcy głosili nawet wieść o konstruowaniu przez nas idealnego napastnika dla odmiany, żeby nie podpadało, lecz w porę zdementowaliśmy te brednie. Angelito poddał się wszelkim możliwym badaniom, z których przedtem zwalniano go z powodu nieprzemijającego wstrętu do lekarzy. Coś w tym musiało być, Marie twierdzi, że uraz z dzieciństwa, ktoś ubrany na biało przestraszył chłopca agresywnym gestem, podchodząc na dodatek od tyłu i dlatego nasz zawodnik oglądał się przez prawe ramię częściej niż inni ludzie, nasze taśmy utrwaliły go w tej pozycji nieskończoną ilość razy.

Ten odruch, proszę Państwa, niby nic, zaledwie pochylenie głowy i powolny obrót w prawo pod maksymalnym kątem, kamera to teraz pokazuje; nawet kiedy egzekwowano kornera z lewej strony albo lewe skrzydło przeciwnika przebiło się przez naszą obronę, zawsze poprzedzał reakcję Angelita na atak, niby strata czasu, powiecie, z racjonalnego punktu widzenia to nonsens, żeby człowiek oglądał się w stronę, z której nie spodziewa się zagrożenia, może to dziwactwo albo przesąd, tak sobie tłumaczyłem, no bo zawodnicy albo to wkładają majtki na lewą stronę, albo w ogóle nie noszą bielizny pod spodenkami, że niby tak łatwiej biegać po murawie, a co dopiero z koszulkami wyczyniają, niektórzy podcierają się nimi na szczęście przed meczem, choć dopiero wyleźli spod prysznic, inni opluwają narodowy symbol na piersiach, a następnie zlizują własną ślinę, ileż to kuluary mają tajemnic, proszę tylko sobie uświadomić, ile Państwo dowiedzieli się dzięki radiu i telewizji!

Nadchodzi najważniejszy moment programu! Pokażemy w zwolnionym tempie parady Angelita z różnych okresów jego kariery. O, jaki młody, junior jeszcze, zaledwie drugi czy trzeci raz występuje w reprezentacji, wszyscy pamiętamy ten mecz w strugach deszczu, błoto, zawodnicy co chwila padali w kałuże, ale wygraliśmy, zwyciężyliśmy Mandarynie dzięki lepszej kondycji i oczywiście formie Angelita, który obronił dwa karne! A teraz finał mistrzostw świata! Moglibyśmy oglądać ten film bez końca, szliśmy od zwycięstwa do zwycięstwa, pasjonujące dogrywki najbardziej oziębłym rozgrzewały krew! Znowu to spojrzenie przez ramię i jeszcze raz, mają Państwo rację, bohaterem ostatniej migawki jest ktoś inny, zawodnik drugoligowego klubu z Pomponii, tam to poniosły nas skrzydła srebrnego ptaka, a czujniki mające odkryć miejsce pobytu Angelita zapiszczały radośnie.

Nie podzieliliśmy ich entuzjazmu, a przyczyny tego stanu rzeczy widzą Państwo na ekranie. Gabriel de Santa Funa, ów rozpoczynający karierę bramkarz, nie może zostać uznany za zaginioną gwiazdę naszego zespołu! Od dziecka żyje i mieszka w Pomponii, wywiad Quartemali sprawdzał jego życiorys przez miesiąc, zaprzeczając wynikom naszej akcji. Tylko ten gest...

## Kurtyna m6rzn

Statek wi6zienny zawinał do portu wczasowiska w samo południe, kiedy wieże miasta i dwa jego ratusze nie dają cienia i zdają się być najpi6kniejszym z kłamstw architektury, tej bolesnej sztuki monumentalnych tęsknot wyspiarzy, w swej młodej kulturze nie znających starych podniet cywilizacji ani nudy nawet, schyłkowego odrętwienia bądź niespokojnych sn6w. Życie zaczyna się tu o świcie i trwa leniwie do zachodu słońca, by w rozkoszy przyspieszeń roztańczyć się ku nocy rytmami, które przywieźli goście, bo i własnych krok6w tutejszy lud nie ma, a o dziwo także szaman6w i czarowników.

Tubylcy, łagodniejsi jeszcze od innych tropikalnych nacji, nie znają krwawych ofiar i nawet obrzędy pogrzebowe dziwią spokojem, jakby życia nie dotyczyły tu prawa walki o przetrwanie. Także wiarę w stw6rcę potężnego i jedyne go ludzie ci musieli zapożyczyć z tradycji starego świata, w którym chcieli znaleźć swą szansę na bogactwo. Z dawien dawna uwikłani w doktrynalne spory Europejczycy, tajemniczy Kreole, są tu widziani jednak, tolerowani i goszczeni według wszelkich reguł sztuki, ale i zasady gościnności skądś tu przybyły, tak więc świadomość, że jest się wciąż wt6rnym, przez innych stwarzanym przerodziła się w narodowy kompleks.

Enklawa niedawno uzyskała niepodległość, miała więc swoje święto wolności, ale lud nie obchodził go zbyt uroczyście, podobnie jak wcześniej nie nawiedzał tłumnie urządzanych przez dyktatora defilad, skoro i tak można je było zobaczyć w telewizji, zresztą w czasach kolonialnych nie odczuwano tu ucisku, wolność była więc tak samo abstrakcyjnym pojęciem jak i niewola, sprzeczne w całym świecie słowa tu zyskały tylko pozorne znaczenia, tonęły w młodym winie, którego nie brakowało nawet w sezonie klęsk żywiołowych – tajfun6w i trzęsień ziemi. Na tej szerokości geograficznej muszą spierać się żywioły, lecz czynią to tak, jakby ich siła słabła na granicy kurortu, a kto zdoła się na czas schronić w mieście, nie ucierpi. Jest chronione siłą, której tutejsi nie umieją nazwać, czcic pod postacią b6stwa, ale potrafią z niej korzystać, przyciągając niezliczone tłumy turyst6w przer6żnymi obietnicami, których potem nie czują się zobowiązani spełnić, oddając się własnym rozrywkom, ukochanym grom w życie i miłość, bo kochać umieją wspaniale, choć i wyrafinowany erotyzm nie jest ich wynalazkiem. Zrobili furorę, no i oczywiście duże pieniądze specjalnymi turnusami dla tych, co chcą dopiero nauczyć się miłości i nikt spragniony rozkoszy nie wyjeżdża stąd rozczarowany ani nie zaspokojony. Atrakcji mogło zabraknąć tylko tym, których nudzi ekstaza, a pocałunki nie dają subtelnej podniety, nie spełniają marzeń. Aby jednak usatysfakcjonować oziębłych i znudzonych, radni pozwolili wpłynąć na redę „Kurtynie M6rzn”, osobliwemu pływającemu więzieniu, które, chcąc zarobić na utrzymanie, dawało gościnne przedstawienie w egzotycznych portach.

Kilka lat temu upadające mocarstwo pozbyło się politycznych oponent6w oraz r6żnego autoramentu złoczyńców, uciekając się do znanego w dziejach ludzkich sposobu. Wszak galery opływały ten świat od zarania historii, choć więc nie trzeba było ludzkich ramion, aby ruszyć w świat morskimi drogami, starożytna pomysłowość pomogła dyktatorom stworzyć znakomitą metodę izolacji jednostek, które należało bezwzględnie ze społeczności wyeliminować, nie stosując z r6żnych powod6w kary głównej. Ta wychodziła właśnie z mody, czasy były bowiem tolerancyjne, altruistycznie napuszone kultem ludzkiej egzystencji samej w sobie, wegetacji nawet kalekiej. Jedyнным wyrokiem, jaki wydawano w owym imperium, była kara dożywotniego więzienia, werdykt mądry okrucieństwem i skutecznością przewyższający wszystko, co wymyślono w ramach praktycznej sprawiedliwości. Człowiek na zawsze traci imię, staje się kolejnym numerem w okrętowej księdze i trwa przypisany do funkcji, którą los kazał mu sprawować w małej, całkiem zamkniętej zbiorowości. Jeśli ktoś

dostał się na ten statek, kiedy dajmy na to nie stało kucharza, obejmował jego obowiązki, choćby nie potrafił w ogóle gotować, i tak przypadkiem sprawował je do samej śmierci.

Po upadku pomysłowego imperium, a bywa, że najsilniejsze państwa rozsypują się niewiarygodnie głupio, braki załogi uzupełniano w innych krajach, władcy nie mieli nic przeciwko temu, by pozbyć się recydywistów, a ci, skuszeni otwartymi przestrzeniami, marząc o ruchu, którego brakuje każdemu uwięzionemu, entuzjastycznie przyjmowali zmianę miejsca odbywania kary, zresztą nie dano im wyboru. Niektóre, skądinąd bardzo demokratyczne państwa, kazały sobie płacić za tych współczesnych niewolników i tak oto „Kurtyna Mórz” przetrwała agonię i rozpad ojczyzny, stając się międzynarodową firmą, bogatą i atrakcyjną jako partner dla wielu przedsiębiorstw rozrywkowych.

Więźniowie występowali przeważnie w rewii portowej, bo choć nie wolno im było opuszczać statku, widzowie mogli przecież wejść na pokład i tam obserwować popisy, coraz bardziej wymyślne, ponieważ wymagania rosły na trasie. Abordaż, walka na noże i harpuny toczyły się naprawdę, któż chroniłby przecież więźnia przed ciosem?

Właśnie owa autentyczność broni i śmierci sprawiła, że rodzice kupili bilety na przedstawienie, a ja także miałam tam pójść i to wcale nie na program dla dzieci, obwarowany zastrzeżeniami, że aktorzy umierają wyłącznie całkowicie ubrani, żeby rodzice uniknęli kłopotliwych rozmów rodzinnych po powrocie do domu, ale na całkowicie improwizowany pokaz walk białą bronią, wymyślonych tortur i samosądu.

Nasz turnus zbliżał się już do końca i naprawdę miałam już dość wieńców z kwiatów, pieczonych na ruszcie baranów i rejsów żaglowcem po zatoce, a ponieważ na kurs erotyki egzotycznej rodzice chodzili każde z osobna, dla mnie nie przewidziawszy tej rozrywki, nudziłam się na wczasach tak samo jak gdzie indziej, przeglądając pod ich nieobecność atlas seksuologiczny, który dawano we wczasowisku zamiast folderów. Walało się tej tandety w portierni, wzięłam więc trzy egzemplarze i ukryłam w łóżku pod poduszką. Miało to i dla moich starych korzystne strony, przynajmniej starałam się na czas ścielić posłanie, by matce nie przyszło do głowy go poprawiać. Zastanawiałam się, czemu mężczyzna ma owe tajemnicze strefy erogenne właśnie wzdłuż kręgosłupa i czy u facetów chorych na skoliozę, którą to przypadłością straszono mnie, kiedy czytałam leżąc na boku albo garbiłam się przy biurku, linia szczególnej wrażliwości na ludzki dotyk jest także skrzywiona.

Razem z atlasem przechowywałam duży czarny notes. Zawierał moją najskrytszą tajemnicę – pisaną po nocach, przy świetle latarki, ni to powieść ni to baśń, ani też wizjonerski traktat, z przecuciem przyszłych niepokojów tworzone wyzwanie, choć nie bardzo jeszcze wiedziałam koniu je rzucam, czy przypadkiem nie własnej słabości, jej to bowiem wstydziłam się najbardziej, zazdroszcząc siły i dumnych spojrzeń chłopcom, w sobotnie popołudnie polującym na wrony z upartą systematycznością, podczas gdy mnie pozostało tylko to trudne pisanie, gra do jednej bramki z wymyślonym przeciwnikiem.

Na wczasach przyszedł mi do głowy nowy pomysł, zarzuciłam więc pisanie powieści mego życia, obiecując sobie, że ją dokończę jesienią, cóż, jeszcze wtedy nie wiedziałam, jak trudno coś z siebie wydobyć, gdy opadają liście i tylko świadomość przemijania zmusza, by równym pismem pilnej uczennicy zakreślać kartki pozostałe z zeszłorocznych zeszytów, w kratkę i w linię, równo ucięte nożyczkami albo postrzępione, wreszcie te duże, ze śpiewnika. Lubiłam notować moje zdania na papierze do nut, zdawało mi się wtedy, że komponuję symfonię na gigantyczną orkiestrę i miałam żal do natury, pozbawiła mnie wszakże najpiękniejszego z talentów, tworzenia dla najbardziej wysublimowanego z ludzkich zmysłów. Marzyła mi się także opera kosmicznych wymiarów, wystawiona w nieograniczonej przestrzeni, pod gołym niebem, w której grałoby całe miasto, domy i ulice, niechby śpiewały pieśń swego życia dla naszej historii, historii łez...

Ale w uzdrowisku pojawił się nowy pomysł, może pod wpływem wtórności tubylczej wyobraźni, może na pożegnanie dzieciństwa, gdyż właśnie poczułam nadchodzącą

dojrzałość; dziwny smutek ściszał mi serce, gdy pomyślałam o zmianach, jakie wprowadzę w moim pokoju. Różowa haftowana pościel i lampka nocna z abażurem o kształcie kwiatu pomarańczy powędrują do schowka, a zastąpią je dorosła biel oraz mleczna kula halogenowego światła. Koniecznie trzeba podkreślić tę dorosłość! Rozjaśnię ściany, by na ich tle ciemne meble rysowały niespokojne cienie, moje nowe, stylizowane na heban biurko i krzesła z miękkimi, obitymi czarną skórą siedzeniami, olbrzymia kanapa w tym samym kolorze stworzą mój nowy styl, formę dojrzałości, którą chciałbym powitać z pierwszym mężczyzną mego życia. Marzyłam o nim, śniłam, ale wciąż nie miał twarzy, jak i bohaterowie mojej opowieści.

„A było to za górami, nie, za krainą srebrnych jezior, stworzonych przez Boga Mgieł, mego pana, demiurga niewiedzy, wciąż wątpliwego w byt swój wieczny, bo któż go stworzył?”

Tak szukanie przyczyny donikąd nie prowadzi, mam rozsądek, pozorami logiki. W świecie mojej baśni nie było więc żadnych pewników, ludzie błakali się wśród znaczeń, niepewni imienia, wieku i człowieczeństwa samego, jednego dnia ślepi, drugiego proroczo głoszący zagładę bądź narodziny nowego. I żyła we mgle dziewczyna, uboga, nieładna, a może tylko zaniedbana, bo musiała pracować na chleb, rozpraszając wszechobecny mrok latarnią, którą nosiła na ramieniu wzdłuż ulicy jak setki podobnych jej istot. Ich zadanie, znużone, chłodne, dawało światu odrobinę prawdy, jakiś z lekka zadymiony pejzaż, wydobywało pozory kształtu, było więc coś boskiego w tym zajęciu Kopciuszka, wszak napisałam tylko kolejną wersję tej baśni, jak i inni autorzy, co boją się stać kwiatem z obcej planety, zaszczerpionym na ziemski grunt tylko na niby i dlatego wolą powielać schemat albo co najwyżej z nim dyskutować.

Podjęłam uczciwą polemikę z tradycją i aby nie rozczarować przyszłych czytelników, zanudzałam znajomych pytaniami, jak zakończyliby tę opowieść, gdyby byli jej autorami. Kopciuszek zwycięski. Bzdura! Cuda nie zdarzają się nawet we mgle. Stary Kopciuch wspomina przygodę miłości. Pożółkła, zmarszczona maska zmęczonego babsztyla. Nie chciałam pisać komedii, a starość wówczas jedynie mnie śmieszyła. Kopciuszek ukarany? Przez los, gospodynię naszych przeznaczeń, czy wreszcie przez samego księcia? Za dumę, za to, że śmiała spojrzeć na oblicze władcy. Bo w mojej historii może obowiązywać zakaz patrzenia w nieboskłon. Wolno tylko wodzić wokoło wzrokiem, a najlepszym poddanym jest błędzący po omacku, ułomny tchórz. Wiem! Księżciu wcale nie potrzeba Kopciuszka, bo dobra czarownica podarowała swemu panu magiczne okulary, którym niestraszna najgęstsza mgła. I dalej zdarzenia układają się same. Wiedźma ginie na stosie, bowiem nie wolno jej pozwolić na stworzenie drugiego egzemplarza takich okularów, władca musi zachować przewagę nad poddanymi. Kopciuszek zbuntowany! Przeciwno kopciuszkowości, przeciwko baśni w ogóle. Zgodzi się na śmieszność, groteskę, ale wymyśli sposób, aby opowieść żyła dalej własnym życiem. Kopciuszek bohaterski... w imię ludzkości próbuje stłuc okulary, przyczynę nieszczęścia pospólstwa. Nie zabije księcia, co byłoby najprostsze, o, tak nie postępują Kopciuszki. Nawet najbardziej zbuntowane.

Matce spodobało się to rozwiązanie, spytała tylko o zakończenie. Baśń pogodna czy tragiczna? Zależało mi na zaskakującym finale, lecz po namyśle zdecydowałam, że bohaterka wróci po prostu do swoich zajęć, a księżę zateśkni za nią i szukać jej będzie we mgle, pozbawiony okularów, nie mając żadnych szans na ponowne spotkanie. Potem odnajdzie w tym błędzeniu sens życia i sam zacznie nosić lampę na ramieniu, żeby dobrze widzieć przechodzące dziewczęta. Czas mija, księżę starzeje się i bardziej niż okularów potrzebuje laski. Chodzi z opuszczoną nisko głową...

Pierwsze ukończone opowiadanie! I tyle nowego wokół! Tego samego dnia rodzice zdecydowali się uprawiać miłość każde na własną rękę, stosując wymyślne urządzenia do masturbacji, które poznali na kursie w uzdrowisku.



„Tak naprawdę człowiek kocha tylko siebie samego – tłumaczyła mi matka – w samotności przeżywa więc ekstazę najpełniej. Nie będziemy dłużej żyli w zakłamaniu, oczywiście nadal mieszkamy razem i nie będziemy się kłócić, dla twego dobra, Kochanie, docenisz chyba nasze poświęcenie?”

Nic na to nie odpowiedziałam, przerażona jak głęboko sięga ekshibicjonizm moich staruszków. A potem ojciec kupił dużą lalkę, niebieskooką blondynkę, która potem leżała w jego pokoju naga na dywanie, nie była ubierana, bowiem miała zastąpić niektóre zadania matki. Od innych mechanicznych lalek różniła się zgrabnie wymodelowanym biustem i przesadnie, do obrzydliwości wręcz dokładną imitacją kobiecych narządów płciowych. Umiała jęczeć z rozkoszy, mrugać powiekami i płakać, słowem dostarczała wszystkich potrzebnych mężczyźnie podniet. Uległa, otwierała usta, by ojciec mógł włożyć w nie nabrzmiały narząd, a my z matką patrzyłyśmy na to, ponieważ nam nie zabraniał.

Spytałam, czy i dla kobiet są produkowane takie lalki męskiego rodzaju, a rodzice roześmiali się tylko i nie odpowiedzieli jednoznacznie. Matka nie pozostawała ojcu dłużna. Godzinami zajmowała łazienkę apartamentu; uprawiała samogwałt podczas kąpieli, a w szafce z mydłem i pastą do zębów trzymała wibrator oraz dziwne kulki o nieznanym mi przeznaczeniu.

Występ Rewii Szaleńców, bo tak kazali nazywać zespół spece od reklamy „Kurtyny Mórz”, przypadał akurat na wieczór tego samego dnia, kiedy zobaczyłam ojca po raz pierwszy z tą lalką. Dla obcych byliśmy tradycyjną, idylliczną rodziną i ta narastająca dwulicowość denerwowała mnie coraz bardziej. Ale sugestywna muzyka, która powitała nas u trapu okrętu, zwyciężyła wątpliwości i uspokojona szykowałam się na nie lada widowisko.

Zakuci w kajdany więźniowie, a nakładano im je tylko na pokazy, jak się później dowiedziałam, spuścili na wodę szalupę. Wsiadło do niej trzech desperatów, którzy doskonale udawali ucieczkę. A może istotnie mieli nadzieję, oszukano ich jakoś, w każdym razie strachu na pewno nie markowali. Przez lata podróży tym staroświeckim okrętem powinni stracić zdolność łudzenia się, zaprzestać marzeń o wolności, lecz robili wiosłami jakby pojawiła się niespodziewana szansa i udało im się odplłynąć sto metrów a może i więcej, gdy kapitan rutyniarz, dwadzieścia lat w policji to doświadczenie warte zajmowanego przezeń stanowiska, dał sygnał łucznikom. Nigdy przedtem nie widziałam strzelania z tak prymitywnej kuszy, jaką dzierżył jeden z mężczyzn. Podobno została na te występy specjalnie skonstruowana przez okrętowego zbrojmistrza.

Trzej strzelcy po kolei stawali na stanowisku, próbując swych sił. A łódka wciąż oddalała się i dopingowano śmiałków głośnymi okrzykami, szczerze życząc im powodzenia, jak to bywa w krajach tej części świata. I kiedy uciekinierzy zdawali się wypływać już poza zasięg pocisków, dosięgały one dwóch z nich, a przedśmiertelny krzyk zabrzmiał jakoś nieprawdopodobnie, gdy mężczyźni osunęli się na dno szalupy. Trzeci więzień nie czekał. Skoczył do wody i płynął ile sił, aż znikł nam z oczu. Woda nie oddała jego zwłok podczas przyływu, przypuszczano więc, że mógł ocaleć. Strażnicy szukali go przez kilka dni, rozwiesiwszy na płotach listy gończe. Znak szczególny! Roześmiałam się szczerze, gdy to przeczytałam. Więzień wybrał sobie osobliwe miejsce na tatuaż. Na podbródku kazał sobie uwieńczyć smoka płci żeńskiej z ogromnymi cycami, choć wiadomo, że ów zwierz należy do gadów i podobnych narządów nie posiada. Pomyślałam, że z tak charakterystycznym znamieniem człowiek nie ukryje się przed siepaczami nawet tutaj, choć za schwytanie go nie wyznaczono specjalnie atrakcyjnej nagrody, a dla idei tubylcy nie lubią się wysilać.

A występ trwał i na razie nie zwracano sobie głowy zbiegiem. Wciągnięto na pokład okrętu zwłoki obu nieszczęśników i preparator zajął się nimi z wyraźną przyjemnością. Za dwa dni odbędzie się licytacja zakonserwowanych głów, ogłosił kapitan. Matka miała ochotę kupić jedną z nich, lecz ojciec zaprotestował, mówiąc że nie będzie wydawał pieniędzy na głupstwa. Trzeba pozostawić trochę gotówki na pozostały miesiąc lata, wczasy i tak

kosztowały majątek. Cóż, wakacje wakacjami, więc jakoś się to przeboleje.

Rodzice przestali klócić się dopiero, gdy na środku pokładu pojawili się harpunnicy, mający stoczyć pojedynek na śmierć i życie. Niezbyt dobrze pamiętam przebieg walki. Wpatrywałam się w toń, jakbym przewidywała przyszłość. Rozpoczęła się burza, a natura zdawała się karać ludzi za igraszki z życiem niezwykle obfitym tropikalnym deszczem. Walkę przerwano, a bilety miały być ważne jeszcze nazajutrz.

Następnego dnia udałam, że źle się czuję i nie poszłam z rodzicami na statek, gdyż rzeź przestała mnie bawić. Rozłożyłam notatki, próbując zacząć następne opowiadanie, ale wyraźnie mi nie szło, wątek umykał, każąc myśleć o rewii, którą powinnam się zafascynować, by zaspokoić dzikość ludzkiej natury, a stchórzyłam jakbym obawiała się wciągnięcia w akcję, jakbym już należała do niewolniczej załogi, więc by się trochę ochłodzić, wyszłam na ulicę, opustoszałą, bo kto żyw pobiegł do portu. W kawiarni znudzona kelnerka czyściła paznokcie prosto do kryształowego kieliszka, toteż kupiłam drinka w puszcze i wytarłam ją rękawem przed otwarciem.

A on stał za rogiem. Poznałam tego faceta, mimo że nosił małą bródkę. Chciał pewnie skorzystać z okazji, by zdobyć coś na ząb, gdy ludzie kibicowali śmierci, dziwiłam się temu szczerze mówiąc, gdyż nie leżało to w naturze tubylców, z takim zacietrzewieniem domagać się kolejnego przedstawienia!

Czyżby udzieliła się im atmosfera przemocy? Czy samo pojawienie się „Kurtyny Mórz” czyniło z ludzi bestie? Może to właśnie odpychało mnie od tego okrętu?

Nie bałam się. Nie obchodziło mnie, za co został skazany ten mężczyzna, choć mógł być zbrojcem albo mordercą; postanowiłam przejść obok tego nieszczęśnika, udając, że go nie dostrzegam albo nie rozpoznaję. Idiotka! Miał przecież na sobie szary więzienny uniform z wydzierganym pracownice numerem. Zastąpił mi drogę, ale nie groził, o, nie, prosił tylko, żebym go nie wydała, a jeśli miałabym dla niego kawałek chleba, nie pogardzi tym wsparciem. Był młody, nie pochodził z imperium, które stworzyło tę potworną fregatę. Mówił dużo i szybko, chyba aby nie dać mi dojść do głosu, bał się, że będę krzyczeć albo odmówię pomocy.

Noc. I Kopciuszek z latarnią. Ale każda lampa prędzej czy później zgaśnie, spiesz się więc, książę, spiesz, bo gdy zapadnie ciemność, nigdy nie trafisz do pałacu, pozostaniesz błędną kometa na wrogim niebie, które jest przecież zasnutą mgłami przepaścią, a każdy skazany na strącenie w nią może spaść nam na głowę, nim zderzy się z ziemią. Patrzmy w górę i uważajmy, patrzmy...

Stał bezbronny i głodny, podczas gdy ja myślałam o matce, która być może kupi jego głowę i na złość ojcu powiesi w saloniku wśród hebanowych masek, rogów jeleni i secesyjnych płócien. Stanowczo nie pasuję do mojej rodziny, pomyślałam, spragniona prawdziwej miłości, gotowa pocałować przypadkiem spotkanego mężczyznę, niechby już stało się, co ma się stać, byle nie popaść w samouwielbienie, lepiej kochać kogokolwiek i bez przyczyny.

Nie zrozumiał mego spojrzenia. Speszony, wziął ode mnie tę niedopitą puszkę i pochłonął jej zawartość, podczas gdy ja wróciłam do kawiarni, żeby kupić jedzenie. Chleba nie mieli, wzięłam więc dziesięć pierwszych lepszych ciastek i lody orzechowe, jak się potem okazało, ten mężczyzna nigdy jeszcze nie jadł lodów orzechowych ani innych łakoci, których miałam w dzieciństwie pod dostatkiem, dziękował mi, coraz bardziej zażenowany, aż w końcu zaprowadziłam go do naszego domku, pozwoliłam wziąć kąpiel i przebrać się w koszulę ojca i moje dżinsy, były trochę za krótkie, ale powiedział, że nic nie szkodzi. Posiedział jeszcze godzinę, bo włączyłam muzykę. Gryząc słone paluszki, słuchał mojej historii o Kopciuszku i chyba dobrze się bawił, bo obiecał przyjść następnego wieczora.

Kiedy rodzice zajmą się swoimi nocnymi sprawami i zostanę sama w pokoju, nastawię japoński koncert, sygnał dla mego przyjaciela, że można już zbliżać się do okna. Pierwsza

randka! Byłam szczęśliwa, nuciłam przez całe przedpołudnie i nie mogłam nigdzie znaleźć sobie miejsca. Matka przyglądała mi się dziwnie, ale stęskniła się za swoją wanną, pobiegłam więc na taras wypatrywać mężczyzny, który podobał mi się mimo śmiesznego tatuażu, mało powiedziane, zauroczył mnie udaną ucieczką. Zrobiłabym wszystko, by mu pomóc, choć nie bardzo zdawałam sobie sprawę, co to słowo znaczy w naszej sytuacji. Tak, naszej, bo czułam się współniczką i wyobrażałam już sobie, że oskarżają mnie o współudział w jakiejś fascynującej zbrodni, a ja sama nie wiem, czy naprawdę jestem niewinna, nie umiem odpowiedzieć na dziwne pytania, podczas przesłuchania milczę, nie chcąc zaszkodzić ani memu chłopcu, ani sobie, ludzkie oczy żądają ode mnie choćby słowa wyjaśnienia, a ja...

Japońskie melodie przebrzmiały kilkakrotnie, nim nareszcie zrozumiałam, że On nie przyjdzie. Co się stało? Może go schwytano? Po dziesiątej wymknęłam się na ulicę, aby posłuchać rozmów spacerujących wczasowiczów. W chichotach pogawędek szukałam wyjaśnienia, choć powinnam rozumieć, że nie dane mi szczęście, nie dla mnie spotkania w parku, wszystko, co tajemnicze i piękne, nawet świat zwierzęcych żądź rodziców mnie nie chce, może więc lepiej oddać się morzu na zawsze, nie pisać, nie mówić, nie oddychać niczym prócz słonej wody, która dusi skutecznie i cicho.

Stałam godzinę nad brzegiem morza, potem wyszłam na molo, jakże pragnęłam zawołać, ale nie znałam imienia, w listach gończych publikują tylko numery...

Zasnąć tak, byś nawet nie wiedział? Jak znieść niepojęte zdziwienie obecnych, już nie istniejąc?

Do rana leżałam w pokoju, klnąc ciszę we wszystkich jej wcieleniach. Gdybym potrafiła oszaleć, dziękowałabym tropikalnemu bogu paranoi, który tak bardzo musi różnić się od duchowego władcy mej chłodnej ojczyzny.

„Kurtyna Mórz” odpłynęła o świcie. Nikt mi nie powiedział, że to tak szybko nastąpi. Skądże rodzice lub tubylcy mogli wiedzieć, iż mam na tym okręcie sprawy do załatwienia i że w żadnym porcie już się on nie pojawi, choć od tamtej pory codziennie wpatruję się w noc i systematycznie czytuję gazety.

## Egzamin na Boga

Ludzie zawsze przyznawali, że jestem zdolny. Uśmiechali się przy tym złośliwie, jakby chcieli odebrać mi w ten sposób część energii, z moich oczu przenieść ją do własnego wnętrza bądź zaprzeczyć wypowiedzianym słowom. I tak się nie sprawdzi, wpadnie w jakąś kabałę, załamie się, zmarnuje, słyszałem z poruszających się w milczeniu ust sąsiadów, kolegów i ciotek, przypadkowych egzaminatorów w różnych uczelniach; zmieniałem je często, prawda to niezbita, nzbierałem tych legitymacji i dyplomów z pół szuflady, zanim powiedziałem „dość” i zacząłem szukać bardziej interesującego zajęcia niż pochłanianie mądrych ksiąg. Podróżowałem z biletami i bez biletów, obżerałem się i głodziłem na przemian całymi tygodniami, występowałem w telewizji jako człowiek-komputer, pisywałem do gazet o grach losowych, a potem była ta afera z przewidywaniem wyników, wynalazłem system na wszystkie możliwe totalizatory i kilku nędzarzy, którzy mi zaufali, zdobyło upragnione fortuny. Właściciele pokonanego przez nich koncernu wynajęli za pozostałości dawnej fortuny pięciu płatnych morderców, by ci usunęli mnie z naszego pięknego światka skutecznie i cicho. Zmieniałem uczesania, garnitury, kurczyłem się, nadymałem i rozciągałem. Zazwyczaj nie spędzałem więcej niż dwóch nocy w tym samym hotelu, a mimo to wciąż wokół rozgrywały się pociski, wybuchały samochody i wirujące granaty, ukryte w czym się dało: w jaskach, piłeczkach tenisowych i kasztanach, które tak bardzo lubiłem podnosić z ziemi.

Żadne przyzwyczajenie nie okazało się tak silne jak miłość do owych brunatnych kształtów; przynosiłem je potem do domu i nie bardzo wiedziałem, co począć z tak obfitymi zbiorami. Od kiedy pozbawiono mnie tej rozrywki, czegoś mi brak; zmuszony z przezorności omijać płonące jesiennym rozgoryczeniem kasztanowce, szybciej przebiegam zmiażdżone gaśnicami czołgów chodniki mej ulicy; była tu kiedyś rewolucja, dziesięć, może osiem lat temu słyszałem strzały, ale nie chciało mi się podnosić z kanapy, padało i czułem się udreńczony odgłosami kropeł przeciekających przez dziurawy dach, które gromadziły się zwolna na strychu w rozmaitych miskach i miseczkach, przypominając mi, że trzeba by włączyć pralkę, bardziej więc złościłem się na stertę brudnej bielizny niż na krew, rozbryzgującą się po ulicy w ulewnych strugach. Raz tylko obserwowałem zza żaluzji uliczny pojedynek snajperów. Obie strony konfliktu posiadały doskonałych strzelców, na naszym dachu też się jakiś ulokował i tylko szemrzące łuski po pociskach wtórowały deszczowi niczym senne hipostazy władzy i oporu, przeciwników odwiecznych jak dzień i noc.

Historia powtórzyła się w zeszłym miesiącu, tylko że tym razem walki trwały jakoś dłużej i musiałem znów coś zmienić w swoich zwyczajach, by nie stać się przypadkową ofiarą. Pod latarnią... jasne! Przypomniałem sobie stare porzekadło i wynająłem pokój na mojej starej ulicy. Nikt tu już mnie nie pamiętał ani nie szukał.

Cudownie rozespany, leżąc na lewym boku, jak to lubię najbardziej, czytałem gazetę sprzed dwóch tygodni. Nie wychodziłem z pokoju tak długo, gdyż właściciel pensjonatu, zaopatrzywszy mnie w najpotrzebniejsze rzeczy i żywność, jakoś nie upominał się o zapłatę. Podejrzywałem, że wyjechał z miasta na prowincję, pozostawiając mnie własnemu losowi, tymczasem ów zacny człowiek leżał w na wpół otwartych drzwiach domu przez to wszystkie dni, martwy i pogodzony z lokatorami, którzy korzystali z kuchennego wyjścia, nie zgłaszając wypadku policji. A potem umknęli i zostałem w całym domu sam z napuchłym, sinym nieboszczykiem, nic nie wiedząc o zachodzących w nim tajemniczych przemianach.

I właśnie wtedy przeczytałem ogłoszenie. Długo wpatrywałem się w nie różniącą się od innych ramkę w rubryce „praca”. Musiałem przeoczyć ów anons przy pierwszym czytaniu, choć raczej przeglądałem uważnie wszystkie propozycje, łudząc się, że znajdę dorywcze,

jednodniowe zajęcie przy korygowaniu czasu; ostatnio dużo myślałem nad jego uwięzieniem, przeciążeniami i rytmem, gdyby znalazły się środki na ten cel, rozciągnąłbym dzień do granic wytrzymałości odwiecznej struny przemijania i oddał wieczność tym, którzy o niej marzą, uszczknawszy swoją część, bowiem i ja nie chcę cały zniknąć, przesypać się i pozostać nieruchomy jak gospodarz pensjonatu z mego miasta, uroczej miejscowości o czerwonych dachach i sadach zadbanych jak nigdzie; owoce zbiera się tu ostrożnie, żeby nie uszkodzić gałązek i wozi się dumnie w koszach z jasnej wikliny, przypominających barwą chleb z porannego wypieku, ładowany pośpiesznie na ciężarowe wozy przy podmiejskiej piekarni.

W takim to miejscu zatrzymała mnie kolejna rewolucja, pani losu młodych ludzi, którzy chcą zmienić świat, a zamiast tego są konsekwentnie składani w ofierze chodnikom plującym ku niebu zielonym ogniem niczym baśniowe smoki. Aby naprawdę przybrały dla mnie tę barwę, wkładałem przeciwsłoneczne okulary kupione w komplecie dwóch par u komiwojażera; jakoś to pomyślał, że musiałem wziąć zielone i różowe, żeby uzyskać rabat, a potem tak polubiłem te szkiełka, iż żałowałem swego skąpstwa – czemu nie wziąłem także żółtych i niebieskich? Gdybym przez wszystkie te przyzmaty przeczytał ogłoszenie, może nabrałbym do niego właściwego dystansu, przyjrzał się sceptycznie, potraktował jak zabawę, jeszcze jedna grę, tymczasem wyczułem nową szansę i wciąż brzmiały mi w uszach te dwa krótkie zdania:

EGZAMIN NA STANOWISKO BOGA LUB BOGINI. OFERTY: SKRYTKA POCZTOWA NUMER 333, TERMIN ZOSTANIE WYZNACZONY W TYDZIEŃ PO PRZYJĘCIU ZGŁOSZENIA.

Poczta główna znajdowała się po przeciwnej stronie ulicy. Musiałem zdobyć się na odwagę, żeby wrzucić do skrzynki kopertę, snajperzy urządzali bowiem polowania na mieszkańców miasta. Dlaczego mieliby darować mi życie? Nic nie wiedzą przecież o EGZAMINIE. Spakowałem torbę podróżną i znalazłszy w jednym z pokoi białą łaskę, pozostawioną widać przez ślepego lokatora, ostrożnie wyszedłem na ulicę. Szybciej niż mógłby spodziewać się po niewidomym wyborowy strzelec, znalazłem się przy szklanych drzwiach urzędu i wrzuciłem list. Nie podawałem na kopercie adresu zwrotnego, podpisałem się jedynie imieniem na zgłoszeniu. Znow ogarnął mnie niepokój – a jeśli EGZAMIN jest nową pułapką, kolejnym podstępem wrogów, ma mnie wywabić z ukrycia i wystawić na odstrzał? Jeśli tak, próżna radość, nie będzie gry, panowania nad ludźmi, tylko nowa ucieczka, strach, od którego krew się gotuje w czubkach palców i nadgarstkach.

Skarciłem sam siebie – bóg nie powinien się bać! Mimo to ostrożnie rozejrzałem się po sali pocztowego bufetu. Przysiadłem tam na chwilę, by całą rzecz ponownie przemyśleć, no i nie ryzykować wyjścia na ulicę przed zmrokiem. Dopiero o tej porze snajperzy zasypiali na stanowiskach i mieszkańcy miasta mogli wyruszyć po zakupy, do znajomych czy pozałatwiać sprawy, z którymi nie można czekać do zakończenia zamieszek.

Postanowiłem zaryzykować. Gdybym zdał EGZAMIN, mógłbym istnieć bez zagrożeń, chorób, a i władza kusiła mnie, tak samo jak możliwość uwolnienia się od drepczących po piętach prześladowców. Ukryty w chmurach, wysoko nad szczytami, patrzyłbym sobie na elegantów z koncernu loteryjnego, od czasu do czasu płatał im figle, na przykład schodząc na ziemię, by wygrać parę miliardów i rozdać je malarzom i poetom na wódkę.

Odpowiedź otrzymałem jeszcze tego samego dnia. Koperta bez znaczka leżała pod drzwiami pokoju. Ale skąpiradła z tych organizatorów konkursu! Będę z ich powodu pewnie ścigany przez pocztę, pomyślałem i wyobraziłem sobie listonosza z automatycznym pistoletem w garści, wrzeszczącego: „złodzieju, płac za znaczek!”.

Roześmiałem się, choć w całym domu cuchnęło trupem i kiedy otworzyło się szeroko usta, ów odór wdzierał się w płuca z pełną mocą, dusił niczym gaz z nieszczęsnej instalacji. Czyżby listonosz nie zauważył gospodarza? A może wszedł przez dach? Tak, pewnego dnia człowiek przestaje panować nad swoimi arteriami, tysiącem nerwów, rurek i rureczek, a jeśli

w tym stadium nie zostanie ukryty przed oczyma innych, rozwiera się jak kwiat bagienny, syfony szczątkami roślin i zwierząt.

Rozpocząłem... odwrót. Oczywiście nie znajdę na to lepszego określenia, wokół wciąż trwała wojna, aczkolwiek moim przeciwnikiem nie był w tej chwili uzbrojony mężczyzna, lecz smród, jego paraliżujący obłok. Wepchnąłem list do kieszeni, nie otwierając go nawet, choć nie mogłem doczekać się rozpoczęcia EGZAMINU, kiedy wylosuję pytanie i zacznę przygotowywać się do odpowiedzi. Zbiegłem na parter kuchennymi schodami i jakiś czas szedłem ulicami, podbiegając co chwila, żeby jak najszybciej minąć zaułki zagrożenia, gdzie mogliby czaić się snajperzy, którzy nie cierpią spać na dachach i wolą udawać żebraków, snując się niczym złe sny wokół domostw, aż nocą kogoś dopadną pozłacaną kulą; podobno nasz przywódca, nie wiem tylko której ze stron, dał najlepszym strzelcom w nagrodę drogocenne naboje, a za zabicie setnego buntownika złotą kulę, wreszcie za tysięcznego platynową. Mignęło raz koło mnie takie roziskrzone nieszczęście, cofnąłem się w porę, słysząc groźne, inne niż dawniej bzyczenie. Ale tamtego wieczora nikt nie stanął na mojej drodze, szeleściły tylko liście, jakoś wcześniej opadłe, zdawało mi się, że jeszcze lato rozdmuchuje świty i również groźnymi jak pioruny promieniami przeszywa na wskroś ludzi wychodzących rano na spotkanie z rozpędzonymi pociskami.

Tonąłem w tych szmerach niemalże po kolana, jakby masa listowia zwielokrotniła się w ciemności dzięki magicznym hasłom mych kroków, słyszałem melodię graną stopami w rytm serca albo wbrew niemu, szybciej, coraz szybciej... Ile to kilometrów przeszedłem! Musiałem przemierzyć całe miasto, zatrzymałem się wszakże dopiero przed budynkiem letniego teatru. A byłem pewien, że zamieniono go na więzienie, nie pamiętałem tylko, jakie stronnictwo pozwoliło sobie rywalizować z owym nieudolnie prowadzonym iluzjonem, gdzie zrywała się kurtyna, aktorzy mylili role, a dyrektor, oszalały z rozpaczy, zaczął na ulicy dzieci, aby robiły mu publiczność. Od lat tam nie byłem; jakoś nie przemawia do mnie tragiczna muza, na przedstawieniach zazwyczaj objadałem się cukierkami i orzeszkami, no i podczas antraktu wychodziłem do bufetu na zimne piwo, gdyż połączenie słodczy landryn z gorzkawą solą orzeszków przyprawiało mnie o mdłości.

Teatr wydawał się opustoszały, przed głównym wejściem leżało parę porzuconych mundurów. Pozostawili je tu pewnie dezertrzy, przechodząc na stronę któregoś z rewolucyjnych oddziałów. Ominąłem ostrożnie mokre szmaty, poskręcane, jakby ktoś pastwił się nad nimi, nim odwrócił się od przeszłości pełnej komend i rozkazów. Skrzywiłem się obojętnie. Nie nadawałbym się na żołnierza, żandarma, czy innego funkcjonariusza w uniformie; ze skórzanym pasem na biodrach czułbym się jak ołowiana zabawka, cóż więc się stanie, jeśli takiego właśnie boga potrzebują ludzie i ich portfele? Przepadnę na tym EGZAMINIE! Jeszcze coś takiego mi się nie zdarzyło; koledzy ze studiów zakładali się tylko, czy zdobędę maksymalną ilość punktów, czy też popełnię jeden błąd na sto zadań. Ale stawka jest przecież warta kompromitacji, tłumaczyłem sobie głośno. Wokół teatru ani żywego ducha, cisza prawdziwie niebiańska, nie wiem dlaczego wyobrażam sobie zawsze niebo czy jakiś inny eden całkiem bezdźwięcznie, najłżejszy szmer nie zakłóca spokojnego oddechu zbawionych, a może oni wcale nie muszą już oddychać i odczuwać zmysłem słuchu, prawdopodobnie wystarcza im jakaś inna forma istnienia w cieple bądź bezzmysłowa rozkosz ustanowiona według boskiej recepty.

Takie oto myśli przychodziły mi do głowy, kiedy stałem przed szklanymi drzwiami, patrząc na strzępy starych plakatów; wtem zapaliły się różnobarwne światła i teatr otworzył się przede mną, nawet posadzka lśniła, jakby dopiero co ktoś ją oczyścił i polakierował. Usłyszałem zwykły dzwonek, który zaprasza widzów na spektakl. Ruszyłem ku widowni i gdy zająłem miejsce pośrodku sali, w siódmym rzędzie, przeznaczonym dla honorowych gości oraz reżysera, rozsunęła się kurtyna.

Na scenie stało olbrzymie lustro. Moje w nim odbicie nie spodobało mi się ani trochę –

opuchnięty, łysiejący od uszu ku czubkowi głowy – kto widział tak łysieć – facet w średnim wieku, nadaje się w sam raz na akwizytora papieru toaletowego w serduszka; gospodynie domowe mają zaufanie do takich mężczyzn o owalnej, sympatycznej twarzy dymisjonowanego urzędnika, zaczepiają mnie w kioskach, sklepikach z tanią żywnością, prosząc o rozmielenie pieniędzy lub coś równie banalnego, nie odmawiam kobietom, nie mógłbym potem spojrzeć w lustro i powiedzieć sobie dzień dobry, choć robię to od lat, żeby choć przez moment mieć wrażenie, iż wreszcie zdobyłem przyjaciela, który uśmiechnie się do mnie przy goleniu, zaś przez uprzejmość zaczeka cierpliwie w łazience, aż następnego dnia ponownie rozpocznę tę długotrwałą operację, pokonawszy wstręt do ostrych przedmiotów.

Już chciałem krzyknąć, by zasłonięto tę obrzydliwą maskę, karykaturę boskiego obrazu mężczyzny, nie przyznaję się do tej głupiej gęby, oszukujecie mnie, podstawiliście jakiegoś typa, co zgodził się udawać mnie za małe pieniądze, daliście mu gwarancję, że nie zbliżę się doń na tyle, by zdzielić go pięścią, kopnąć czy plunąć w twarz, och jak miło byłoby spuścić się takiemu na łeb, co ja też wygaduję, stoję przecież przed niewidzialnym egzaminatorem, na pewno zna moje myśli, obawy i pragnienia, ów bóg bogów, najsilniejszy w panteonie, prawzór krytyka bądź sumienia. Pewnie pokręci złośliwie iluzoryczną łepetyną i wyrzuci mnie na ulicę. Tak, robi to na życzenie siedzących wokół mnie ludzi, przecież tylko wydaje mi się, że tu nikogo nie ma. Publiczność zebrała się licznie na EGZAMIN, rozmawia i komentuje moje odpowiedzi, trzeba to było przewidzieć, jedna osoba nie podejmie decyzji, kto ma włączyć całym tym marnym i głupkowatym ludkiem, pojąłem tę grę, zgromadzeni słyszą mnie jak szept duszy, nie widząc odbicia w lustrze. Mamy równe szansę, ale i ja wcale nie spodziewałem się znakomych warunków, proszę, podajcie kartki z pytaniami, jakoś sobie poradzę. Niech mi się tylko uda, a obiecuję cud i dotrzymam słowa, zetnę w proch loterie, wszelkie totalizatory, nikt was nie będzie mamił wygraną, powiem jak należy: każdemu garść okruchów i na tym koniec.

Zgadzałem się, w pierwszych zdaniach wypadłem jak tani polityk do wynajęcia, nie gnijcie się przede mną, powinienem już oblać ten egzamin, ale Najpotężniejszy daje mi ponownie szansę i już nie muszę przemawiać do tłumu, obiecywać, kłaść dłoni na zawszonych głowach, których nie widzę i szeptać skłamanym błogosławieństw. Nadeszła pora wyboru symboli władzy. Lustro poczęło matowieć, przybierając barwę zabrudzonego mleka, zmywano nim ulicę z rozdeptanych niedopałków, teraz uliczni dziadkowie należą sobie do drucianych kubków prosto z polewaczki tego prostego trunku, usiądą z nim w dworcowej poczekalni, siorbiąc i chrząkając, tu właśnie zdobędę pierwszych wyznawców. Pójdą za mną starcy i zasuszeni włóczędzy, dziwki wydalone z burdeli za niechlujny wygląd, może głuchoniemi, nie potrafiący wyobrazić sobie muzyki egzotycznych rajów, wyłysiałe psy z przytułków, ocalone przed spaleniem żywcem, no i oczywiście lorny i nony ognisk domowych za swymi garami i pieniędzmi do rozmielenia.

Wtem na scenie pojawił się kosz z teatralnymi rekwizytami. Miałem pewność, że ożywie je dotykem niczym ów starożytny rzeźbiarz zakochany w swym dziele, ale potem przestało mi podobać się to porównanie, wołałem zostać bogiem nowej generacji, który zastałby świat już stworzony albo przynajmniej zaczęty, doprowadzone do połowy dzieła, poprawiać zawsze łatwiej niż wypowiedzieć pierwsze słowo.

Wszedłem na scenę i zacząłem przebierać w koszu; odrzuciłem talię kart i srebrny sztylet, gitarę i żelazne rękawice. Potrzymałem przez chwilę czarny flet, żeby go lepiej obejrzeć; w tym czasie pozostałe fanty zniknęły, nie chciałem tego, wstyd mi było wzywać pomocy – to ode mnie, zdającego EGZAMIN, będą wymagać rozwiązywania trudnych sytuacji. Zawsze w ten sposób sprawdzają kandydata, więc nie wolno mi okazać słabości.

Zaraz, zaraz! Może oni, kimkolwiek są, potrzebują właśnie boga-niedorajdy, nadali mi teraz tę myśl i mam podjąć decyzję, czy chcę być tytułarnym władcą dusz, pozbawionym faktycznie władzy, pretekstem kapłańskiej egzystencji? Nie będę żywym posągiem w

rytualnych szatach! Wypraszam sobie taką boskość, proszę mi dać dziedzinę, którą będę się zajmował, ludzi niekoniecznie pokornych i miejsce, skąd można im się przyglądać, wcale nie po to, żeby sądzić, niech te istotki same bawią się w aksjologiczne gry, nie dam im żadnych przykazań, tylko umiejętność, mnogość talentów, nadmiar nawet, niech wybierają tak jak mnie kazali, grzebią w tysiącach myśli i tkają z nich życie.

Powoli obracałem flet w dłoniach, a on bez udziału mego oddechu zaczął grać całym sobą, zmieniał kształt i barwy; nastroje wyrażał to mięknięc mi pod palcami, to twardniejąc, próbował otoczyć mą dłoń substancją, z której został wykonany, zjednoczyć się ze mną, ale wyjaśniłem mu energicznym gestem, iż jest jedynie narzędziem, instrumentem panowania nad formą, musi więc wykonywać moje rozkazy, a nie spoufalać się, przekroczyłby drań wszelkie granice i to on, wtopiwszy się we mnie, zostałby bogiem. Posłuchał i wreszcie umilkł, znów chłodny, pomrugał odcieniami czerwieni i czerni, nieruchomiejąc na moich kolanach. Teraz bardziej przypominał berło niż instrument i wydawał się nie mieć ochoty na igraszki. Majestatycznie uniesiony, oparł się ustnikiem o moje biodro, pomyślałem, że może wypoczywa po szaleńczej symfonii na moją cześć, która była też wzajemnym poznawaniem, pojedynkiem i rozwiązywaniem szarady.

– Masz szansę zostać bogiem – usłyszałem. – Twoje decyzje zostały ocenione na maksymalną ilość punktów. Grasz dalej?

– Tak – odpowiedziałem krótko, starając się nie okazywać uczuć. „Kto do mnie mówi? Skąd?” – Wciąż nie byłem pewien, czy nie zastawiono tu pułapki. A potem niesforne myśli uciekły w czas miniony i usiłowałem sobie przypomnieć, co sprzedawano latem na straganach w foyer, kiedy przejeżdżałem przez to miasto. Całe centrum, nawet filharmonię wkomponowano w merkantylny, tandetny pejzaż, no i nie pamiętam, czy w teatrze widziałem stolik z losami na loterię. Dlaczego to takie ważne? Obszedłem wtedy budynek dookoła, niezliczone napisy na murach i okrzyki dopiero zapowiadały rewolucję. Wychudzone dziewczyny i kolorowo ubrane wyrostki krążą w poszukiwaniu resztek jedzenia pozostawionych przez turystów, którzy żyjąc w przesycie, nie zjadają już całych porcji szaszłyków i kiełbasy.

Grupka chłopaków wzięła mnie za jednego z tych wakacyjnych krezusów i przystanąła w pobliżu mego stolika, niby obserwując popisy akrobatki tańczącej na linie. Nie był to zwyczajny cyrkowy występ. Organizatorzy imprezy wymyślili nie lada atrakcję. Linę podłączono do generatora i każdy fałszywy krok, dotknięcie jej bokiem stopy, chronionej tylko od spodu przez gumową podeszwę, groziły dziewczynie śmiercią albo dotkliwym poparzeniem. Usiadłem naprzeciwko estrady z całą tacą zarcia, miało mi to wystarczyć na dwadzieścia cztery godziny: kotlet z frytkami, gotowana fasola w trzech kolorach, hamburgery z surówkami i napoje. Głodomory przypatrywały mi się z taką nienawiścią, że zakrzusilem się piwem. Spostrzegłem pływającą w butelce ogromną zieloną muchę. Nie zauważyłem jej do tej pory, ponieważ wpatrywałem się w stopy tancerki, podziwiając niezwykłą zręczność i lekkość kroków. Chciałbym mieć w swoim edenie tysiące takich panienek, mógłbym oglądać ich popisy przez kilka godzin, nurzając się w wieczności jak doskonały pływak w oceanie łagodnym i ciepłym, ale niezbyt głębokim, tak pomyślanym przez stwórcę, by nurkom bez uszczerbku dla zdrowia udało się osiągnąć dna.

Na przeróbkę oceanów miałem też pomysł – ogromna masa wód mogłaby wpływać do środka ziemi i wytryskać gigantycznymi gejzerami po przeciwnej stronie globu, czyniąc część półkuli niedostępną dla człowieka. Już w pierwszych wiekach nowej cywilizacji powstałby mit o wodnym piekle i ktokolwiek z niedowiarków wybrałby się w pobliże kipiącego oceanu, zostałby przezeń pochłonięty, dostarczając dowodów na istnienie krainy potępionych, bądź powrócił do swych ziomeków z mrozącą krew w żyłach opowieścią o potworach, które wyłaniają się z wrzącej wody, by porwać śmiałków, a następnie gotować ich i pożerać. Przez cały okres rozwoju techniki wynalazcy mogliby się zastanawiać, jak tu wstąpić w wiry



gorąca, budowałoby łodzie i maszyny, żeby się ze mną spróbować w walce o zakazane morze, a ja podsycaliby żywiol, utrudniał, póki bowiem ludzkość ma o czym marzyć, co zdobywać, nie zaśnie na cały wiek. To mój sposób na odrodzenie populacji po upadku gatunku, na co mi klęski – pandemie, potopy czy zlodowacenia? Gdybym nie mógł już z człowiekiem wytrzymać, ześlę na plemiona i narody stuletni sen. I na nic zdadzą się prośby dzieci, rodziców, zakochanych. Wybiorę odpowiednią chwilę, a wszyscy zapomną, kim byli, chcieli zostać lub dokąd spieszyli. Śnić będą, że skamienieli w oczekiwaniu na coś ważnego, ale nie przypomną sobie, co to takiego, myśląc coraz wolniej i wolniej, bliżsi istocie kamienia niż kiedykolwiek ludzie powiedzieli o ludziach. Nim upłynąłby ten wiek, wody i powietrze oczyściłyby się same, a o mnie nikt nie śmiałyby powiedzieć, że pastwię się nad światem, gnębię jednako winnych i niewinnych, dobrych i złych, głuchy na modlitwy i obojętny na składane mi ofiary.

Kiedy snułem te rozważania, nad drzwiami po prawej i lewej stronie sceny zaczęły zapalać się numerowane światełka. Wiedziałem, że aby zdać egzamin, powinienem odgadnąć zasadę przyznawania mi punktów. Każda kolejna lampka mrugała innym odcieniem, ale ja wciąż czekałem na słowny kontakt z egzaminatorem. Starłem się wczuć w jego sytuację. Jaką cenę będę musiał mu zapłacić, jeśli obleję ten test? Jak ja sam ukarałbym człowieka, który śmiał stawić się na egzamin – wydziedziczenie starego demiurga, gdybym był owym Odwiecznym, Stwórcą czy jego potomkiem? Nasi przodkowie, patrząc na bieg własnego losu, nauczyli nas myśleć, że bóg rodzi boga, jakoś nie wypada, żeby śmiertelnik mieszał się w te sprawy, skandal i tyle, dlatego miałem skrupuły, ale światełek przestało przybywać, sprężyłem się i zaskrzypiałem jak prawdziwa stalowa sprężyna, by wreszcie usłyszeć:

– Decyduj! Co stawiasz? A co chciałbyś, żeby przeciwko tobie postawiono?

– Duszę. Tak, tylko to. Mój wróg niech ją utraci całkowicie... niech umrze mu ona jak ciało, ale dopiero po jego unicestwieniu. Dwa razy dozna poczucia znikania, powoli rozplynie się w ból, cierpienie bez źródła w cielesnych dolegliwościach, które ustanie dopiero z końcem świadomości.

– A jeśli to niemożliwe?

– Nie wierzę w zagadki bez rozwiązania. Tłum odrzuca boga, więc zabija go w sobie i rusza na poszukiwanie nowego. – Następne, tym razem purpurowe światło zablysło po prawej stronie. – Zagłada duchowej substancji, uznawanej za wieczną, zmieniałaby reguły gry. Jej uczestnik, mając alternatywę powtórnego wcielenia lub choćby bytowania w potępieniu, nie postawi wszystkiego na jedną szalę. Asekuruje się i ogląda na wszystkie strony, analizując wykonane ruchy. Dopiero brak równowagi, całkowita zagłada przeciwstawiona bytowi absolutnemu, może wyzwolić wszystkie siły, zmobilizować mocnych, a obezwładnić lichoty, którymi nie warto się zajmować...

– Wystarczy! Pora na następne pytanie.

– Ile ich jeszcze będzie? – spytałem zniecierpliwiony. Przywykłem do tradycyjnych sposobów sprawdzania moich możliwości. Test stu krótkich pytań albo zestaw trzech czy pięciu zadań z jakiegokolwiek przedmiotu nie sprawiał mi trudności, zaś ta nowa forma, rozmowa zmysłami i intelektem równocześnie, doprowadzała mnie do pasji, czułem się osaczony, zmuszany do walki i wymyślania wciąż innych, odkrywczych nawiązań, utrzymujących mnie w roli. Nie potrafiłbym już wyjść z teatru, żeby na nowo rozpocząć ucieczkę przed wrogami. Musiałem zadać to pytanie. MUSIAŁEM!

– Kto to wie... – zachrypiął mój rozmówca i zamilkł. W barwnych lampkach coś zatrzeszczało, zachrobotało i zgasło, a one same pomleczniały, wypełniając mglistą poświatą salę, jakby atakowały ściany, kurtynę oraz wszelkie inne bariery na drodze ku otwartej przestrzeni. Jak je powstrzymać?! Jeśli teraz wypełzną poza teatr, rozbiegną się po ulicach miasta i zaczną z nim żartować tak jak ze mną, masakra gotowa! Bóg nie może do tego dopuścić. Dawno już przecież postanowił, że nie będzie żonglował materią, prowokował jej

świadomych form, ale skąd ja o tym wiem, a wiem na pewno, nie kłamałbym na EGZAMINIE, tego mnie nie uczono ani sam bym nie wpadł na taki pomysł w żadnych okolicznościach. Nie zgodzę się pod presją nawet, że bóg to jeszcze jeden strzelec wyborowy, tylko zaczajony na dachu świata, chciwy krwi i dążący do celu nawet za cenę własnego upadku. Gdyby tak leciał w dół, ku twardym płytom chodnika, o czym by wtedy myślał i czego pragnął? Upadek z wysokości, odwieczne marzenia rasowych samobójców. Lot i szybki koniec. Nie dla mnie taka rozrywka.

Dziękuję z kurtuazją egzaminatorowi, śledząc eksplozję mglistych światła. Za chwilę dowiem się, czy zdałem EGZAMIN, czy pokonałem kolejny stopień wtajemniczenia. Flet lekko drży, może niepokoi się o mnie? Niepotrzebnie, mój drogi. Czyż nie wystarczy, że przystąpiliśmy do tej próby, odpoczywając od cudzej wzdgardy i pozostaliśmy w grze do ostatniego posunięcia...

## Ostrzenie noża

Nie kupiłem tego noża w sklepie, gdziebym odważył się wejść do strzeżonego lokalu z wszelkimi militariami, wyjąć dowód tożsamości, bo spisują tam każdego klienta, a jeszcze potem trzeba wyrabiać sobie pozwolenie, żeby dumnie nosić broń przy pasie w pochwie, choć tak właśnie robić podobno wcale nie wolno, ale od czego długa kurtka z błyskawicznie rozsuwającym się zamkiem, nim wróg podejdzie na odległość uderzenia, będę gotów do akcji. Skąd więc wzięłem długi, przekraczający wszelkie limity bezpieczeństwa, obosieczny nóż z błyszczącej stali, choć nie nowy, to mnie właśnie intryguje, mógłbym znaleźć ze sto odpowiedzi, ale skoro nie mam pewności... mogę najwyżej trochę pospekulować.

Załóżmy, że włóczyłbym się po targowisku, takim na wpół legalnym, gdzieś na peryferiach miasta, poza tablicą z jego nazwą; po co miałbym u diabła tam łązić, zapytałem sam siebie i zaraz zaczęło mnie nachodzić ze sto odpowiedzi. Po ziółka dla babci, starowina nie ma zaufania do sklepów herbarystycznych, woli dziurawiec zbierany przez wiejskie czarownice, sam dotyk ich pomarszczonych rąk dodaje mocy lekarstwu, nie wierzę w to, ale tak powiadają kobiety, które przychodzą na wieczór różańcowy raz w miesiącu, sam muszę je wpuszczać, bo moje panie, matka i siostra, boją się otwierać drzwi i cokolwiek bym nie mówił, nie dadzą się przekonać, iż nic im nie grozi.

Mam całe popołudnie z głowy przez te baby, poza latem i wczesną jesienią, spotykają się wtedy w ogrodzie naszego proboszcza przy wiklinowym stoliku, a babcia zawsze siada na wypłatanym krześle, bo nie lubi tych nowoczesnych fotelików z białego tworzywa, cóż, i ksiądz idzie z duchem czasu, choćby kiedy urządza swój dom. Jej przyjaciółki i tak najlepiej czują się u nas, zimą, kiedy pada deszcz, siostra podaje herbatę z konfiturami, a wiosną ja sam przyrządzam sok pomarańczowy z lodem, matka mnie do tego zobowiązała, kiedy miałem dziesięć lat i przekupiony przez ojca zgodziłem się przystąpić do pierwszej komunii. A tego roweru, który mi wtedy kupiono, nigdy naprawdę nie polubiłem.

Co za pomysł, chciałem się wtedy ponownie zbuntować, ale Costa, przyjaciel od pierwszej klasy, już wtedy pracował jako pomocnik kelnera w winiarni i obiecał nauczyć mnie podawania chłodnych napojów, ale opowiedział mi też o różnych sposobach zemsty za poniżenie, żeby dostać od ludzi tych parę groszy na papierosy i wino, trzeba biegać prawie, nosząc dzbanki i gliniane kubki na stoły. Pięcioletowa butla jest naprawdę ciężka, a nie wolno uronić ani kropli trunku i wlec ciężar przyciśnięty do piersi, uważając by nie wpaść na kogoś po drodze.

To właśnie Costa, paplać lubi, nie powiem, zdradził mi, że złośliwym klientom pluje się do zupy albo do czerwonego wina, tak oczywiście, by nikt nie zauważył, a jak ma się grype, anginę czy inną paskudną infekcję, łatwo zarazić paru gości, niech sobie pchorują, pomocnikiem kelnera każdy pomiata, nawet pomywaczki, kiedy się im odszczeka, bo jak długo można gryźć się w język, a one wtedy biorą tę najbardziej śmierdzącą szmatę i walą cię przez głowę.

Mój kumpel był jeszcze dzieckiem, a marudził tak samo jak pradiadek, bo wówczas żył jeszcze senior naszego rodu, chociaż nie chodził już, tylko siedział w fotelu na kółkach, przykryty kocem. Biedny Costa, nie miał już nawet dziadka, no i od kogo miał brać na fajki, a nie wypada stanąć bez peta przed szkołą dla pielęgniar, gdzie od roku chodziliśmy obaj popatrzeć na panienki, na inne wobec nich akcje nie mieliśmy jeszcze odwagi. No i tam, za parkanem, najeżonym jak wokół więzienia, gdzie wsadzono niegdyś Rico, mego kuzyna, który był bandytą, słyszałem od ojca, że należał do ludzi spiskujących przeciw prezydentowi, więc za tym ogrodzeniem, co miało chronić słodkie siostrzyczki przed natrętami takimi jak ja i Costa, zrobiliśmy To sobie po raz pierwszy. W maju, chyba w maju, dobre cztery tygodnie

po świętach Wielkiej Nocy, kiedy także po raz pierwszy wykiwałem rodzinę, proboszcza i wikarego, kłamiąc z miną niewiniątka, że niedawno spowiadałem się w katedrze i jestem czysty jak łza, a faktycznie byliśmy tam na ślubie kuzynki Ifigenii ze strony ojca, tylko że właśnie w pierwszy dzień świąt.

Staliśmy z Costą za krzakiem i porozumiewaliśmy się bez słów. Nie było nas widać od strony szkolnego boiska, ale i tak nie rozebraliśmy się całkiem, jak później nad rzeką, w uroczym zakątku, gdzie tata czasami chodzi na ryby. Najpierw przyjaciel dotykał mnie chłodnymi rękami, a potem te dłonie rozgrzewały się i zamieniliśmy się rolami, przerywając zabawę przed momentem kulminacyjnym, żeby zaraz zacząć ją od początku.

Zacząło się jednak za tym ogrodzeniem, poczuliśmy się tacy dorośli i straszliwie męscy, więc na następny raz umówiliśmy się dopiero za dwa tygodnie, niby mając dużo zajęć, a tak naprawdę bałem się i Costa chyba też, że może nam nie wyjść; wówczas jeszcze myśleliśmy, iż do miłości potrzeba tęsknoty, może to i prawda, ale latem robiliśmy to po parę razy dziennie podczas kąpieli.

Chociaż niewiele miałem przed przyjacielem tajemnic, nie wyjawiałem mu nigdy, do czego wykorzystałem jego opowieści i nasze wspólne doświadczenia. Przed kolejnymi świętami księża mieli więcej obowiązków, więc kółko różańcowe spotykało się u nas przez kilka tygodni. Pewnego dnia chciałem pójść do kina, mówiłem rodzicom, że uwielbiam kryminały i nie mieli nic przeciwko temu, żebym raz lub dwa razy podczas wolnych od szkoły okresów obejrzał coś sobie w kinie „Rolero”, lecz ja dopiero co zacząłem chodzić do „Paradise”, gdzie w każdą środę wyświetlano komedie erotyczne dla mężczyzn, którzy lubią towarzystwo kilkuletnich chłopców, byłem jeszcze za młody, żeby mieć tam powodzenie, ale ubierałem się w najlepsze džinsy i białe sportowe buty, a mama kupiła mi na lato świetne czarne koszulki bez rękawów, wyglądałem więc super i mogłem się w tym kinie pojawić. Niech przyzwyczajają się, że tu przychodzę, myślałem, choć nie miałem ochoty spotykać się ze starszymi facetami, tylko z Costą.

A te stare wraki, już wtedy myślałem o nich z obrzydzeniem, prawie z nienawiścią, pewnie chcieliby mi go odebrać! Juanita, moja siostra, też nie chciała zostać w domu z rozmodlonymi staruchami, już wtedy umawiała się z mężczyznami, a ja dziwiłem się ojcu, że nie każe Małej poczekać choćby do szesnastych urodzin. Te babsztyłe dokuczały jej zresztą, nazywając czarownicą, bo przyszła na świat w noc wiosenno-letniego przesilenia; co ma do magii data urodzenia, nie mam pojęcia, ale widać ma coś do ludzkiej głupoty.

Siostra nie chciała usługiwać jędzom, miała poza tym dobry słuch, więc zawodzenie cuchnących bab doprowadzało ją do szału. Była starsza i dlatego musiałem ustąpić, przebrać się w białe ubranie, jakie zawsze nosi się u nas podczas upałów. Nie umyłem jednak włosów, choć matka przypominała mi o tym we wtorek wieczorem. Niechby któreś z tych pokrak przyszło do głowy mnie dotknąć, pogłodzić po włosach, one to uwielbiają, i tak będę musiał kąpać się w pachnącej pianie i wieczorem na pewno nie dam się wyprzedzić ojcu w gonitwie do łazienki.

I wtedy popatrzyłem na pradziadka. Przeżuwał coś w pełnym świetle południa, wystawiony ze swym fotelem do ogrodu, a miał coraz bardziej niebieskawą cerę, nie widziałem czegoś podobnego u innych starców, może po ukończeniu stu lat zbliżają się w ten sposób do absolutu, mówiła siostra. Pamiętam, obchodziliśmy urodziny pradziadka jak jakieś rodzinne zwycięstwo, a ja nie rozumiałem, cóż radosnego w takim powolnym obumieraniu, nie można nawet pogadać z tym szacownym żywym meblem, skarży się, że mówię za cicho, choć sam ledwo mamrocze, niczego nie pamięta i zsikuje się na koc, jeśli pielęgniarzka nie dopatrzy prawidłowego wykonania podstawowej męskiej czynności.

Mówią, że jestem złośliwy. Nie zgadzam się z takim uproszczeniem mojej osobowości, ale rzeczywiście tkwi we mnie coś, z czym nie umiem i chyba nie chcę walczyć, pomysły, jak zrobić komuś kawał, przychodzą mi same i choć od wydarzeń, o których opowiadam, minęły

lata, wcale się nie zmieniłem. Może moje intrygi nieco wysubtelniały, a inne przekroczyły granice głupich żartów, lecz pozostałem sobą i z przyjemnością wspominam lata dzieciinne.

Nie było dnia, żebym czegoś nie wywinął, z miną niewiniątka obserwując potem ludzką wściekłość, bezsilność, że winowajcy brak, rozplątał się drań, a podejrzania bez dowodów nie mają wartości przed rodzinnym sądem, najbardziej surowym z trybunałów. Bo co by ze mną zrobili, gdybym został złapany na tym, że łączę w wymyślnym koktajlu odchody pradziadka i sok pomarańczowy?

Jak tu je zdobyć? Zbliża się piąta, a on ani na chwilę nie został sam. Poradziłem sobie z jego najprostszą ludzką potrzebą, gdyż podejrzałem, jak robi to pielęgniarka; nie przyszło mi to łatwo, musiałem ukryć się wieczorem za drzwiami sypialni naszego nestora i czekać, aż przyjdzie pora na toaletę. Opiekunce pomagała czasami Visce, kucharka, też już niemłoda, pamiętała pradziadka z jego najlepszych lat, a że sama miała wtedy osiemnaście, z sentymentem snuła opowieści, jak to pan żadnej spódnicy nie przepuścił i że ja pewnie będę taki sam, bo robię się coraz bardziej do niego podobny, babcia ma album ze starymi zdjęciami rodzinnymi, mogę sobie zobaczyć, jeśli nie wierzę. Ale ja nic a nic nie interesowałem się pamiątkami, nie przechowywałem nawet własnych fotografii, które robiono mi w szkole do legitymacji, a potem do książeczki wojskowej.

Rodzice pasjami chodzili na pogrzeby dalszych krewnych, nie przepuścili nikomu ze stryjecznych babć i wujków, no i zaciągnęli mnie raz ze sobą, żebym posmakował oddechu śmierci, pewnie takim chwytem, sprytnie to, chcieli mi zasugerować, jaki to będę nieszczęśliwy, kiedy zabraknie mi najbliższych, a ja zorientowałem się natychmiast, o co chodzi i świetnie się bawiłem.

Na stypie po cioci Hani objadłem się i tak opilem lemoniady, że w drodze powrotnej do domu ojciec dwa razy musiał zatrzymywać wózek, bym wyskoczył na chwilę w krzaki. Denerwował się, że długo nie wracam, a mnie po prostu rozbolał brzuch, może rosół ugotowali na kaczych kuprach, powiedziałem, bo mnie za drugim posiedzeniem popędzali, więc mama rozplakała się, jakże to ja mogę w ten sposób powiedzieć, wychowują mnie na porządnego człowieka, chodzę na religię i do kościoła, a zachowuję się, jakbym wcale nie kochał cioci Hani. Przypomniałem staruszkom, że wcale jej nie znam, bo od lat byli z nią pokłóceni i teraz pojechali tylko dowiedzieć się, co z testamentem; ciotka nie miała dzieci.

Ojciec o mały włos nie spowodował wypadku, wziął ostro zakręt i musiał zatrzymać się po raz trzeci, aby uspokoić nerwy. Podobało mi się wtedy na autostradzie, wokół ciemno, mgła, a do domu jeszcze jakieś trzydzieści mil. Zapragnąłem, aby zatarł się silnik albo wysiadły na raz gaźnik i chłodnica. Tata musiałby stanąć na poboczu, próbując uzyskać pomoc od przejeżdżających obok obcych ludzi, a to nocą niełatwe. Albo niechby wyrzucili mnie z samochodu do lasu, nie bałem się, powędrowałbym sobie do serca puszczy, zawsze o tym marzyłem, nie spać, tylko samemu walczyć o przetrwanie.

Dowiedziałem się później, że mąż cioci Hani bardzo się wzruszył, gdy kładłem na jej grobie wiązanekę, nie była duża ani ciężka, rodzice oszczędnie gospodarzyli naszymi funduszami, ale za to bardzo efektowna, z mieszanych białych kwiatów, gdzieś tam tylko przetykanych zielonymi gałązkami, wydawało się, jakby to wstążki zakwitły, pachnące jedwabne kokardki ze ślubnego bukietu kuzynki, może więc odejście to jakaś nieznaną formą wesela i wcale nie postąpiłem źle, szczerze radując się na tym pogrzebie, ciocia może wszak spotkać na tamtym świecie kogoś bardziej sympatycznego od wujka, niechby tam nawet mnie lubił, ja trzymam się z dala od dusigroszy, a słyszałem, jak rodzice rozmawiali, iż pożałował żonie na dębową trumnę.

Testamentu jednak nie kwestionował, a tracił w nim na rzecz mojej matki sporo cennych pamiątek oraz domek za miastem, który bardzo mi się podobał. Rodzice zgodzili się, żebym spędził w nim tydzień wakacji z Costą i wtedy ślubowaliśmy sobie nie zdradzić naszej przyjaźni ani z kobietą, ani z mężczyzną. Przez jakiś czas nie wierzyłem w szczerłość

własnych słów. Najwięcej wątpliwości przeżywałem w kinie. Co mnie może powstrzymać przed zdradą?

Dawnymi czasy ludzie przysięgali na jakieś tam świętości, a cóż ja mógłbym dać w zastaw kłamstwu bądź prawdzie, może ten mój nóż, ciekawe, po kim go mam, czy trafił już w czyjeś serce, zabił, był ukrywany albo sam miał świadomość, iż trzeba się schować, nie dać wytropić, upolować, potem zostałoby mu przecież bytowanie w ciemnej szafie z eksponatami zbrodni, mógł więc umknąć i spotkać mnie niby to przypadkiem, przykleić się, jak to czynią skarby dzieciństwa, więc tak już pozostało.

A jeśli dostałem go od Costy, a nie kupiłem od zapitego typka na targowisku? Jeśli to prezent święty, zdobyty za drinka postawionego facetowi, który nie miał już kwita, tak barman nazywa pieniądze, jakby istotnie ozdobione barwnymi nalepkami flaszki ktoś mu zostawił na przechowanie i wieczorem przychodził niczym do lombardu po odbiór swej własności, wtedy mógłbym wymagać od mego noża prawdomówności, poprosić na przykład, żeby podyktował mi poczet swoich właścicieli, moich szczęśliwych poprzedników, którzy mieli zaszczyt trzymać tę rękojeść z rogu jelenia, szorstką, nieprzyjemną, gdy się ją bierze pierwszy raz, ale za to fascynującą przed pojedynkiem, wiadomo, od pewnego chwytu zależy wszystko, porowata powierzchnia rączki razi zakończenia nerwów, uspokaja, prosi o zaufanie i czujesz się wtedy niepokonany, mało ci jednego przeciwnika. Nóż jest stary, pokryty czarnym osadem przy samej rączce. Na dobrą sprawę mógł należeć do pradziadka, miało się tyle kobiet, to i bronić ich czasem było trzeba.

Czas bawił się ze mną w kotka i myszkę. Czy słysząc już pierwszy dzwonek do furtki? Przesłyszałem się, ale i tak pora działać. Zamknąłem drzwi na balkon, wtaszczywszy najpierw fotel z pradziadkiem do pokoju. W ogrodzie ktoś mógłby mnie podpatrywać! Odkryłem koc, którym opatulano starca w zimie i latem, wyjąłem z kieszeni słoiczek i zacząłem pracę. Sparaliżowany pradziadek nie mógł nawet poruszać ramionami, drżały mu tylko palce rąk, gdy masowałem szybko pomarszczony, siny członek, wcale się nie brzydziłem, będę oczywiście tak samo wyglądał za sto lat, skoro jestem taki podobny. Trwało to może osiem czy dziewięć minut, nim zdobyłem potrzebną mi przyprawę do koktajlu. A na początku chciałem tylko trochę uryny!

Nie umyłem rąk, tylko pobiegłem prosto do kuchni. Moja rodzina przesadnie dbała o moralność, to znaczy pilnowała zawzięcie, abym jak najpóźniej dowiedział się prawdy o bocianach i choć przeczytałem to i owo w encyklopedii, ukryć jej przede mną nie mogli, wciąż sądziłem, że każdy kontakt męskiego nasienia z ciałem kobiety natychmiast spowoduje zapłodnienie, cieszyłem się więc na myśl o tych starych babach, które po moim wyczynie urodzą dzieci równocześnie z pojawieniem się na tym padole wnucząt lub prawnucząt, chichotałem po kątach, przybierając poważną minę w drzwiach salonu, tam bowiem odbywało się tym razem posiedzenie strażniczek dobrych obyczajów. Żeby Costa widział mnie w tej chwili! Ale by mi zazdrościł!

Ustawiłem szklaneczki wokół talerzyków z ciastem i nalewałem napój, trochę drżały mi ręce, ale wszystkim staruchom trzęsą się łapy, więc mnie o nic nie podejrzewały. Było ich dwanaście, cały komplet, jak łyżek i łyżeczek, i mama zaproponowała, bym podał drugą porcję tego samego, a ja rozdziawiłem gębę, myśląc jakby tu uzyskać od pradziadka trochę nieodzownego składnika. Lęk nie chciał mnie opuścić, bałem się ponownie wejść do tamtego pokoju, pielęgniarka mogła czatować za drzwiami i złapać mnie w trakcie zabawy, musiała się zresztą zdziwić, jakim to sposobem pradziadek sam wrócił z ogrodu. Zdobyłem więc brakujący surowiec od siebie w łazience, sprawdziwszy najpierw trzy razy, czy drzwi są dobrze zamknięte.

Staruchy miały teraz do wyboru nasienie moje lub pradziadka, wzdrygnąłem się na samą myśl, ilu to będę miał potomków; komu to zdarza się tak młodo, będę rekordzistą i powinienem czuć się dumny jak byk z wzorowej hodowli.

Stanąłem w drzwiach i przyglądałem się, jak pijąc, marszczą suche szyje niczym stado przedpotopowych gęsi. Na ten widok ręka sama wędrowała mi za pasek spodni. Olbrzymi rododendron, a z drugiej strony paproć, zasłaniały mnie całkowicie. W tej kryjówce, jakby umyślnie stworzonej dla mnie przez domowe dobre duchy, chowałem się potem przed gniewem ojca. Między bujnie rozkwitłymi roślinami starczyło mi schowanka na jakieś dwa lub trzy lata, aż wyrosłem tak, że nie mogłem już się tam zmieścić, wyższy od mężczyzn z mojej rodziny, nawet od Rica, który zginął wśród sobie podobnych, wykonując rozkaz pana prezydenta, od kuli dobra śmierć, aż za dobra dla bandyty, mówił ojciec, kiedy poruszano przy nim ten temat.

Kiedyś, choć nie lubię pamiątek rodzinnych, zabrałem zdjęcia kuzyna z albumu i położyłem je na poduszce obok fotografii prezydenta. Obaj byli czarnowłosi i smukli, tylko władca nosił wąsik, krótki i bardzo gęsty, a Rico czesał się gładko i natychmiast likwidował zarost. Dopiero gdy dziecinnym sposobem domalowałem kuzynowi brodę i wąsy, podobieństwo stało się oczywiste.

Pokazałem ten collage Coście, ale nie spodobał mu się, przyjaciel mówił, że nie rozumiem sytuacji, a ja mu odpaliłem, w końcu płacę za gin, który razem pijemy i mam prawo do szczerości, jak możesz stary, polityka wcale mnie nie obchodzi, lubisz czy nienawidzisz prezydenta, ważne co stało się między nami, krzyczałem prawie, coś mnie napadło, a było to dzień po moim r ó z a n i e w y m sukcesie, urwałem się z kościoła i spotkaliśmy się na plaży.

Costa mruczał, że niby zmęczony, no i powlokłem się do domu sam, znudzony jak wszy na zdechłym psie, skąd mi się wzięła ta myśl, nie w formie jestem ostatnio, poszedłem zaraz do pradziadka, ciekawy jak mnie przyjmie, czy będzie się bał, a może poprosi o jeszcze, nie ma głupich, powiem, trzeba poczekać na następne posiedzenie bab z kółka, szkoda, by tak drogocenna substancja marnowała się dla obcych.

Przygotowałem więc odpowiedź, na spotkanie z doświadczonymi facetami trzeba się uzbroić, wciąż wyobrażałem sobie te setki kobiet zdobyte przez mego przodka, iluz będę miał kuzynów, pomyślałem, z przyjemnością poszukam w ulicznym tłumie rodzinnego podobieństwa. Idąc za wybranymi facetami, poznam nowe rodziny, zabawa mnie czeka bez końca. Kto by się spodziewał, że przez tego starucha przeżyję tyle wspaniałych chwil, bo przypuścimy, że odnajdę ciotecznego prawnuka w pułkowniku wojsk reżimowych albo w wysokim oficerze policji i sam poczuję się jak państwowy dostojnik, ależ Costa by mną wtedy pogardzał, gdzie więc mam szukać powinowactwa, może wśród handlarzy koki, ale to tylko inna forma ministerstwa, mawiał mój przyjaciel, a ja obruszałem się, więc opowiadał mi o rewolucjonistę, który zwyciężył i natychmiast założył bank swego imienia w stolicy republiki bananowej, mało tego, we wszystkich dawniej postępowych gazetach ogłosił reklamy firmy, opisując korzyści, jakie osiągną akcjonariusze i zwyczajni klienci, a potem były wybory i zdobył oczywiście mandat do parlamentu, tylko na afiszach jacyś dowcipnisie przykleili dawnemu bożyszczu plaster na lewym policzku albo koło wargi wypalonego do połowy peta.

Ale nim jeszcze zadomowiłem się na ulicach, w knajpach, musiał zdarzyć się ten świąteczny poranek, czerwcowe ciepło walczące z wodą, zawsze brakuje jej w mieście na początku lata, potem ludzie uczą się jakoś mniej pić i kąpać, a fontanny znów pryskają na przechodniów, lubię usiąść w ich zasięgu, zostało mi to z dzieciństwa, brodziłem wtedy w kałużach i wcale mi to nie szkodziło, choć nie zmieniałem butów i skarpetek przez cały dzień.

Tego właśnie dnia, nazajutrz po tym, kiedy dowiedziałem się, jaki koktajl najlepiej babciom smakuje, zastałem pradziadka samego w pokoju. Pielęgniarka i cała służba była w kościele. Chyba pan doktor nawet by nic nie pomógł, starsi ludzie lubią umierać jakby zasypiali i trudno ten stan na pierwszy rzut oka zauważyć, ja też dałem się nabrać, zażartowała sobie ze mnie Władczyni Przejść, takie nadałem jej imię, zastanawiając się tylko, czy dla każdego został przygotowany taki sam tunel, bo gdyby tak było, na co ludziom

prawo, dobro i zło, na co miłość, skoro zostaną w końcu pogodzeni?

Mądrzy twórcy wiary upodabniają wieczność do prowincjonalnego trybunału, który jest sprawiedliwy, ale tak względnie, wielkodusznie, jak sędzia myślący podczas procesu przeciw zabójcy o swoim ogródku, czy aby róże i sałata udadzą się w tym sezonie i czy groszek pachnący obrodzi we wszystkich kolorach.

Na nocnym stoliku pradziadka stały kwiaty z naszego ogrodu, ale nie ten bukiet był ważny. Stary trzymał rękę pod kocem, zaciśniętą na swoim kutasie, a płyn, który być może w agonii z niego wypływał, zdążył już zaschnąć. Na szczęście palce jeszcze nie zeszywniały i mogłem, doprowadziwszy do porządku piżamę nieboszczyka, rozprostować je i położyć jego dłoń na oparciu inwalidzkiego wózka.

Tylko własnych myśli nie potrafiłem uspokoić. Czyżby senior rodziny odszedł z mojej winy, bo na sam koniec nauczyłem go czegoś, o czym nie miał pojęcia przez całe życie, a teraz pomyślał sobie, że niepotrzebnie utrzymywał całą masę kobiet: żonę, kochanki, córki i wnuczki, skoro zaspokojenie jest takie proste. Ponad stuletnie serce nie wytrzymało tego odkrycia, a nerwy podrażnione nad wyobrażenie sprawiły, iż odzyskał zdolność poruszania rękami, kto wie, może nawet próbował wstać z tego fotela, jednak stymulacja nastąpiła za późno, wszak siedział dziesięć lat w bezruchu.

Nie powiedziałem oczywiście nikomu o moim odkryciu, czemu tylko ja mam wystraszyć się odkryciem trupa, rodzina myślała zresztą, że śpiewam w kościelnym chórze, zwykle stałem z boku w przedostatnim rzędzie, gdzie padał cień i nie zauważano, czy się tam naprawdę znajduję.

Costa oficjalnie już nie uczestniczył w nabożeństwach, jego świątynią stała się sala winiarni; tam się modłę, gdzie mi płacą, mówił i śmiał się zdrowymi ustami młodego byczka, a nosił te dzbanki od stolika do stolika nawet w niedzielę przed południem, kiedy starszy kelner miał wolne. I jakby na złość wszelkim zakazom spotykaliśmy się przed otwarciem lokalu, ale to zaczęło się tydzień po pogrzebie pradziadka, gdy i ja postanowiłem zmienić swoje życie, patrząc na nóż. Jeśli miałem go przy sobie, czułem się jakoś raźniej, nawet stojąc przy grobie pradziadka zaciskałem palce na cudownej rękojeści; przyjaciel śmiał się, bo długie przedmioty kojarzyły mu się tylko z jednym, a ja wzruszałem ramionami, kiedy o tym mówił, nie dostrzegając związku między gorącym, nabrzmiętym organem a chłodnym ostrzem. I na zapleczu tej knajpy, gdzie wolno mi było przychodzić po papierosy z przemytu i kości dla psa, Costa tłumaczył mi, wchodząc i wychodząc, myjąc ręce, nakładając fartuch, kto by tam zliczył nieskończone kuchenne czynności, tak samo podziwiałem przecież matkę za jej ruchliwość, wtedy opowiadał mi i wyjaśniał, że nóż ostrzy się tak jak trzeba głąskać kusia, żeby się dobrze sprawował, gdy go potem przyjaciel weźmie w usta.

Na uroczystości żałobnej nie płakałem, wciąż wyobrażając sobie całe stado pogrobowców pradziadka, które pojawi się w najbliższej przyszłości, nie śmiałem nikogo zapytać, kiedy to może się stać, a w encyklopedii ojców Brytanianów przeczytałem tylko informację o ciąży słonia i uspokoiłem się, że mam czas, nim pojawią się wujkowie, zdążę jeszcze wymyśleć, jakim sposobem obserwować ich dorastanie i rodzinne podobieństwa.

Nie chciałem, by traktowali swego ojca, bo czułem się nim w zastępstwie pradziadka, jak obcego, jakoś się do nich zbliżę, szkoda, że nie jestem pełnoletni, mógłbym trzymać do chrztu paru maluchów. Takimi nieślubnymi dzieciakami nikt nie chce się opiekować, wyświadczyłbym przysługę starym matkom, myślałem, ale dobre chęci minęły jak przelotny deszcz, tymi słowy kwitowano zwykle w rodzinie mój zapał, siostra zwłaszcza nie daruje mi upadku, ale na szczęście sam jestem wobec swego sumienia bardziej tolerancyjny, nie dręcę się długo, może to cudowny wpływ Costy, sam czuję, że się zmieniam, odkąd się spotykamy. Gdyby nie był mi tak bliski, siostra nie patrzyłaby na niego z taką nienawiścią, bo choć zawsze coś jej przynosi, kwiaty leśne, które zbiera, żeby poustawiać je na stolikach w winiarni, albo cukierki anyżowe, sam zgadł, jaki smak jest uprzywilejowany w naszym domu,



nic o tym nie mówiłem, bo mieliśmy bardziej interesujące tematy, na przykład dziewczyny, no i ciągle umawialiśmy się na podglądanie zakonnicy w kąpielni, lecz czy Costa nie wstawiał kitu, gadając, że wychodzą nad jezioro o północy, żeby ktoś na nie chociaż spojrzął zza krzaka, nie wiem do dziś. W każdym razie wszyscy z rodziny byli przeciwko Coście, a kiedy powiedziałem, że też będę pracował po południu, matka zakazała go wpuszczać.

Widywaliśmy się tak czy owak, może nawet częściej niż przedtem, zimą robiliśmy te rzeczy w starym samochodzie porzuconym na naszej ulicy jakiś rok wcześniej, siedzenia były już zerwane i Costa przyniósł z winiarni dwie paczki starych gazet, żeby było na czym przysiąść. Miałem już swoje pieniądze, szczuny z dzielnicy musiały mi się opłacać, żeby nie stało im się nic złego, wpadłem na ten pomysł w kinie i dobrałem sobie paru łebków na obstawę, zbieraliśmy datki albo ciastka, małolaty zarabiała na mnie. Kto chciał przejść kasztanową alejką, musiał zapłacić, a innej drogi do kościoła nie było.

Spodziewałem się publicznego potępienia, aresztowania, ale nic takiego się nie stało. Szanowano mnie raczej i bano się, a właściciel cukierni kłaniał mi się pierwszy, cóż, rośłem wtedy bardzo szybko, wyglądałem na dorosłego i silnego. Noża nie musiałem w ogóle wyciągać, bo i tak wszyscy wiedzieli, że go mam, tak jak wiele lat później, kiedy otrzymałem czarny pas, choć wcale nie uczyłem się bić we wschodnich stylach, Costa to załatwił, sam nie wiem z kim. Dziwiłem się, że tak mnie polubił. Nie było za co – przestałem płacić za wino w knajpie, buliłem tylko za papierosy, bo paczki były policzone i mój przyjaciel miałby kłopoty, gdyby zaczęły ginąć.

Szybko robiłem karierę, podczas gdy on mozolnie wspinał się szczebel po szczeblu w knajpianej hierarchii, tak systematycznie i regularnie, że przyjmowałem za oczywiste jego kolejne awanse: starszego kelnera, kierownika sali, potem, szefa kuchni i na koniec właściciela tej speluny, potem hotelu... Ale kiedy zmawialiśmy się przeciw zakonnicy, które prowadziły hospicjum i szpital dla dzieci w naszym mieście, byliśmy gówniarzami i o prawdziwym gangu ani mi się nie śniło, bo wystarczały mi opłaty za przechodzenie przez park.

Nie potrafiłem jeszcze wydawać pieniędzy. Do zwykłych dziwek nie chciało mi się chodzić, raz, że Costa mi wystarczał, dwa, iż wszyscy kumple je różni, a ja nie chciałem robić tego co oni, tylko jeśli pozostanę inny, lepszy, najlepszy z wszystkich, będę dostawał szmal nie pracując, mówiłem matce i zgadzała się ze mną, bo cóż mogła zrobić, byłem najsilniejszy i kłamię najobrzydliwiej w mieście, kiedy wpadłem w szal, co nie przeszkodziło mi pisać wierszy dla babci, proszę, kto to dedykuje swoje najsubtelniejsze myśli staruszce, której płatał wstrętne figle i wyrzucał psom ciasto z malinami przez nią upieczone, bo miał uczulenie na te owoce, obojętnie, gotowane czy świeże.

Costa lubił, kiedy miałem wysypkę, wyobrażał sobie, że kocha się z facetem chorym na jakąś zarazę przenoszoną przez miłosne kontakty, gdyby ją złapał, należałby do wyklętych, których wszyscy omijają na ulicy. Nie wiem, dlaczego tak mu zależało, żeby być obcym, przeklętym, mówił, że zazdrości mi matki, która tak wspaniale potrafi nienawidzić, gdyby taką miał... no i nie powiedział, co by wtedy zrobił, przerwano nam, chyba ktoś przechodził koło wraku, a nie chcieliśmy zdradzić naszej obecności, umilkliśmy i temat sam się zmienił, tak jak nadchodzi świtanie i wtedy zaproponowałem, żebyśmy poszli do Cyganki, niech nam powróży i przy okazji da każdemu po razie, stoi taka zdzira koło parku w moim rejonie, możemy z nią pogadać, czy by nie chciała, ona na pewno jest zarażona, bardziej odrażającej pindy nie widziałem, skóra łuszczy się jej na łapach, ciekawe czy na dupie też.

No i w wielkanocny poniedziałek, kiedy gnojki leją wodą kogo popadnie, spotkaliśmy tę Cyganke. Wyjąłem z kieszeni srebrną monetę z wizerunkiem świętego męża, więc roześmiała się i wzięła nas na chatę, do jarmarcznego wozu przy cyrku. Mała cwaniaczka! Okazało się, że firma tej jędzy splajtowała, nikt nie chciał oglądać tresury psów ani żonglerki, wygwizdano wszystkie pokazy na lotnym trapezie, choć aranżer numeru polecił zdjąć siatkę

ochronną, żeby dostarczyć widzom emocji. Tak nam opowiadała wróżka i dziwka w jednej osobie, kim jeszcze była, żeby Trójcy dopełnić, nie umiem powiedzieć.

Nie byliśmy z Costą gnojkami, co tchórzą przed każdą próbą, ale tam szliśmy z duszą na ramieniu. Poprzedniego dnia rozesłano po naszym osiedlu wezwania na komisję wojskową i musieliśmy koniecznie coś zrobić, żeby nas nie powołano. Ale Costa nie chciał pytać Cyganki o sposób na ten kłopot, rozłożył zwyczajnie karty, tak jak mu kazała, i usiadł na skórzanej poduszce.

Babsko miało na nas chrapkę. Mizdrzyło się i wdzięczyło, nim cokolwiek usłyszeliśmy. Nie zwykła kłamać. Tak się reklamowała. Prawdę można zauroczyć i nawet szatana, rzekłbym jej, gdybym wierzył, że warto szukać porozumienia z ludźmi. Wykrzyczałbym jeszcze więcej, cały swój żal, rozpacz, skoro trzeba tu być szczerym, poezja nie kłamie, bo straciłaby sens, oszukiwać ludzi można prozą, a wszelkie formy pośrednie niech mają znak między plusem a minusem, nieznaną logice, status plotki, której nie można sprawdzić, przeliczyć w równaniu, bo nie da się jej podstawić pod żaden schemat, aby sprowadzić następnie do wartości wymiernej.

O tym to myślałem, gdy na stole przykrytym obrusem tak brudnym jak ścierka pucybuta, który solidnie przepracował dzień, rozstrzygał się los Costy. Patrząc na tę szmatę marzyłem, że będę miał wielką forszę i tyle służby, że każdy z moich ludzi wypełniać tylko będzie jeden rodzaj obowiązków – na przykład mieszać dla mnie drinki albo sprowadzać dziwki.

Pożalowałem tego wyglądu z wróżeniem, gdy Cyganka, patrząc na mnie jakoś dziwnie, powiedziała Coście, że zdradzi go najlepszy przyjaciel. Może chciała nas skłócić, ale on roześmiał się i jakoś ze mną nie skojarzył tej przepowiedni, pewnie do kogoś innego był bardziej przywiązany, dziwne, pierwszy raz w życiu byłem naprawdę zazdrosny. Wróżka ścisnęła moją dłoń pomrukując, by wsadzić ją sobie za chwilę pod spódnicę. Kazała Coście ściągnąć spodnie i zaczęliśmy bawić się w trójkę o wiele lepiej niż przy wróżeniu. Nie miała zresztą złudzeń co do mojego losu, śmiałem się z niej, skąd ma tak dokładne informacje o facetach, czyżby z tego wozu cyrkowego podglądała nas przez lornetkę; kiedy o to zapytałem, długo patrzyła mi w oczy.

A jak już zrobiłem jej dobrze, powiedziała, co zobaczyła w fusach, bo ten najgłupszy sposób wróżenia sobie wybrałem. Pierwsze zadanie pamiętam do dziś: „Zginiesz od noża. Mały”. Od noża...

Nie chciała zdradzić, kto mnie zabije, w przepowiedniach nie podaje się imion, wykręcała się, ale prosiłem tak długo, aż opisała wygląd mego wroga i Costa śmiał się, że ten portret najbardziej pasuje do mnie samego, a następnie przejął inicjatywę i spytał, czy moglibyśmy dowiedzieć się, jak będzie wyglądał nóż.

Nikt nie zadał jej nigdy tak zabawnego pytania, odrzekła, dlatego odpowie nam gratis, choć jest z nami całą godzinę i na stole powinien pojawić się kolejny papierek. A potem wyszeptała dokładny opis mego własnego noża.

Od tamtej pory często go ostrzę. Robi się skutek tych zabiegów coraz cieńszy, zdaje mi się czasem, że wydłuża się, pęczniąc u nasady rękojeści. Wciąż nikogo nim nie zabiłem, ale nie rozstajemy się, bo to przecież Coście, a nie mnie wróżono, że zostanie zdradzony przez najlepszego kumpla.

## Na trzy czwarte

Karnawał zapowiadał się mroźnie. Daremnie byłoby ogrzewać szyby piezoelektryczną zapalniczką, dużą i niewygodną, i tak po paru sekundach szkło na nowo pokrywało się szarobiałymi kwiatami, to kurz osiadał wraz z parą na oknach i pozbawiał zimę jej nieskazitelności, formy minionego czasu, za którą może i tęsknili świadomi przeszłości mitomani, w każdym razie śmialiśmy się z nich, a nikt tak naprawdę nie wierzył, by chodniki były kiedyś czyste, a niebo bezchmurne; błękit od lat nie udawał się nawet farbiarzom tkanin, aczkolwiek zamawiano materiały w tym kolorze dla kapryśnych noworodków, ponoć łagodzi on wczesne tęsknoty za nieosiągalnym, nie wiem, nie sprawdzałem, a nie urodziłem się takim geniuszem, żeby pamiętać pierwszy rok życia.

Ale czy do tego potrzeba specjalnych zdolności? Na co przyda się komu wspomnienie spacerów w wózku, kaszek z sokiem i innych nieprzyjemnych rzeczy, barwy przestają mieć znaczenie wobec prawdziwych zagrożeń, trzeba więc odwrócić się i powiedzieć:

– A co mnie obchodzi karnawał! – Głosem gniewnym i zdecydowanym plunąć niczym dobrze przetrawioną rzygowiną, taką, którą można by już donosić w sobie do rana, ale ten wściekły nocny autobus, może taksówka czy też przypadkowo zatrzymany wóz zatrząsł jakoś mocno i trzeba było szybko wysiadać głową naprzód, w takich sytuacjach biegli użytkownicy linii życia albo po prostu spryciarze tylko wychylają się przez okienko, drzwi lub inny otwór, doceniając samoistną regulację życiowych odpustów i dopustów; przed pierwszym razem przydałby się jakiś domowy trening, nim wyjdiesz na miasto, warto próbować we własnej toalecie, choć w orgii zalet trawnik wydaje się bardziej wyrafinowany, przynajmniej ma się publiczność, komentarze i niezliczone interpretacje stanu, w którym człowiek znalazł się zupełnie przypadkowo.

Miasto było już odświętnie przybrane, żadnemu drzewku nie darowano kolorowej girlandy, witrynie sklepowej kilku przynajmniej neonów. Dobrze, że przez okno tego nie widać, chłód okazał się niespodziewanym sprzymierzeńcem i nawet odgłosy zdaje się tłumić; wierzyć się nie chce, aby przez ulice nie przewalał się taki tłum jak w zeszłym roku, cóż, jest ciszej, powtarzam sobie i wiem, że mam rację, jakbym sam się do tego przyczynił, może moja muzyka dochodząca z głośników poustawianych w najważniejszych punktach domu, tam, gdzie zazwyczaj gromadziły się cudze głosy, przegnała je precz, na śmietnisko, nad rzekę, a mnie otoczyła puchem dźwięków i pomogła w walce z telefonem.

Mam na niego parę sposobów, bez obawy, skutkują i w karnawale! Można włożyć drania między dwie dobrze nabite pierzem poduszki, związać je mocno sznurkiem i wywiesić pakunek za okno. Albo przyciszyć tak, aby dźwięk, który zazwyczaj zrywa człowieka na równe nogi, przypominał szczebiot przemarzniętego ptaszka. Kiedyś wymierzałem też natrętnemu aparatowi karę aresztu. Wybór miejsc uwięzienia mam niemały: zamrażarka, lodówka, łazienka, kuchenka mikrofalowa, wewnątrz kanapy gościnnej i przypominająca karcer czeluść starego kaflowego pieca.

Mimo protestów kabla telefonicznego, który przy przenoszeniu aparatu udawał, że nie może się już bardziej naciągnąć, brak elastyczności to przecież najlepsza wymówka, świąteczne dni przetrwałem bez fałszywych życzeń, acz z czasem wydawało mi się, że poduszki na kanapie podskakują podrzucane hałaśliwym impulsem, a ostatniej jesiennej nocy, kiedy jak zwykle wypatrywałem groźnych oznak czyjejś natarczywości, lody, ułożone starannie według smaków, wypełzły z nieszczelnie zamkniętej chłodziarki, kabel rozpychał się widać i naruszył jej hermetyczność. Zebrałem brunatną maź do miski i wystawiłem pod drzwi domu, niech podwórkowe zwierzęta skorzystają, może spodoba im się smak słodkiego mleka i na chwilę wrócą do krótkiego dzieciństwa, oczywiście tak, aby nie przyznać się do

tęsknoty za bezpiecznym schronieniem, to byłaby porażka, gołe gardło wystawione na łaskę lub śmierć, ale cóż szkodzi szybko pochleptać, oblizując raz po raz pyszczek, w delektowaniu się znajdując chwilę ucieczki.

I kiedy znów zadzwonił telefon, tym razem stojący zwyczajnie na biurku – nie znalazłem w porę nowej katuszy – odruchowo podniosłem słuchawkę. Psia krew! Wujek Antoni!

– Gdzie bawisz się w środę?

– ?

– A w czwartek?

– Nieee wiem...

– Przejrzałeś zaproszenia?

– Oczywiście!

Przyszło mi do głowy, że i wujek zaprosił mnie na jakieś nudne jak flaki... bez oleju party. To dobre porównanie. Miękką tłustość oliwki mogłaby uratować najgorsze pseudorozrywkowe pomysły, obronić przed plugawym rozpasaniem, zapewniając izolację, samotność czy jakby inaczej nazwać ciszę bez komunikowania się z kimkolwiek.

– Słyszysz mnie? – nie poddawał się wujek.

– Znakomicie.

– Co się dzieje z twoim telefonem?! Dzwonię od trzech dni.

– Nic. Może wychodziłem.

– O dwudziestej trzeciej? Z kim idziesz na Sylwestra?

– Cśś... tajemnica.

– Nie rozumiem... – Antoni złościł się coraz bardziej. – Myślałem, że jak w zeszłym roku... no wiesz, poprowadzisz nasz bal, zajmiesz się bufetem. Marysia...

– Chyba nie będę mógł.

Na myśl o kuzynce Marii dostałem dreszczy. Owa bezpierzna istota w sukniach opiętych jak dobrze napompowana dętka może tańczyć sobie z kimkolwiek, byle dała mi święty spokój, a to skojarzenie z kołem od roweru skąd mi się wzięło? Pływaliśmy razem podczas wakacji? Nie przypominam sobie. Może pomyślałem o jej przygarbionych plecach, czyżbym zwracał uwagę na tak nieistotne sprawy, ale ona nosiła rzeczy w takiej ogromnej torbie i pod jej ciężarem omal nie upadła, to stary sposób na mężczyzn, tylko niezbyt skuteczny, spodziewa się taka, że faceci jeden za drugim rzucają się nosić te bagaże, aby nawiązać znajomość albo ją podtrzymać po podróży w tym samym wagonie. Potem przeżywa zawód i obiecuje sobie następnym razem ruszać w drogę tylko z torebką i małym neseserem, ale jak tu zostawić w domu wszystkie najlepsze stroje, kiedy mogą się przydać podczas najkrótszego choćby wypadu, nigdy nie wiadomo, kogo się spotka.

Do północy odmówiłem przyjścia na bal paru jeszcze osobom, które z pewnością obraziły się czasowo i nie zadzwonią wcześniej niż za rok. Zrobią to z poczucia obowiązku, bo jakże to nie wykorzystać stu darmowych rozmów, świątecznego podarunku od urzędu telekomunikacyjnego, każdy abonent w dowód naturalnej spolegliwości powinien wykorzystać tę setkę, obdarzając swym miłym głosem znajomych i kolegów, byłe sympatie, dziwki i księdza proboszcza. Sąsiadka aż anginy dostała od tego gadania, ma telefon przy oknie, a w naszej kamienicy sam geniusz szczelności nie uchroni energii od nadmiernego upływu szparami, dziurami w stropach i w dachu. Zeszłej zimy zdobyłem się na dziesięć rozmów, niczym katarynka złożyłem życzenia osobom, których nazwiska zaczynają się na litery: A, K i Z, tak sobie wybrałem losowo, jakbym grał w totka, choć niczego tak nie nienawidzę jak gier, na sukces człowiek powinien zapracować, wydrzeć powietrzu, ziemi i niebu w sam raz tyle, ile pragnie, ile potrzebuje i sobie wymarzy. W tym roku postanowiłem milczeć, choć wiedziałem, że będę musiał ponieść konsekwencje, przed pocztą nie wykręcę się wyjazdem, chorobą czy złym humorem. Telefonistka może zapytać złośliwie, czy aby na pewno telefon jest mi jeszcze potrzebny skoro od pół roku wykorzystałem tylko piętnaście

impulsów i to zawsze wtedy, gdy padał deszcz. Owszem, ci chrzanieni kablarze prowadzą taką statystykę, pewnie już się domyślili, że wzywałem taksówkę, aby suchą nogą dotrzeć do najbliższego sklepu z farbami olejnymi, kiedy nie miałem ochoty na szkicowanie węglem.

O, tak, dobre chęci to najważniejsza sprawa! Zawsze można się nimi wykryć, kiedy człowiekowi na czymś nie zależy. Chciałem, naprawdę zrobiłem wszystko, żeby ci pomóc, ale wiesz, jak to jest, czasem nic nie wychodzi, zrozum i wybac. Doskonale karnawałowe alibi. Na drugiej szali kładę zazwyczaj chorobę – żadna ochota nie wygna jej z bolącej głowy, kolana czy gardła. Poprzedni karnawał przesiedziałem, poza Sylwestrem, w domu, wszystkim mówiąc, jaki to jestem przeziębiony.

Stymulowanie chrypki świetnie mi wychodzi, więc dano mi spokój nawet z konkursem. Teraz nie będzie już tak łatwo! Aby spełnić obowiązek, powinienem wziąć udział w tych artystycznych zawodach, namalować bohomaż przedstawiający któryś z karnawałowych motywów – taniec w korowodzie, uliczną farsę, pary zmierzające do zacisznych hotelików, łódzie wiozące przebierańców, które wyłaniają się z mgły. Zamknąć się w tym temacie i spełnić oczekiwania dobrych sąsiadów; dostaniesz nagrodę, mówią, a twój obraz aż do następnego sezonu będzie wisiał w ratuszu, potem może zostanie sprzedany bogatemu kolekcjonerowi i znowu zarobisz, burmistrz podzieli się chętnie groszem z pokornym i usłusznym artystą.

Wielka szkoda, że konkurs nie jest anonimowy. Mógłbym udawać pokrzywdzonego przez jury, przyznać się do nadesłania dziesięciu prac we wszystkich możliwych kategoriach, opowiadać o obrazach, których w życiu nie namaluję za żadne pieniądze ani honory, o portretach wielkich tego świata i stylizowanych pocztówkach zamówionych przez miasto. A tak każdy szpicel może łatwo dowieść mi kłamstwo, użyć mej broni jak obosiecznego ostrza, nie, najlepiej udawać amnezję, nie pamiętałem terminu nadsyłania prac albo... to jest myśl! Będę grał pominiętego przez organizatorów, zapomnianego, skrzywdzonego! A potem przez cały rok święty spokój! Regulamin nadesłano nawet niedouczonej studenciakom, proszę państwa, a o mnie zapomniano! Mam prawo obrazić się i jeszcze przez parę lat ignorować wszelkie konkursy karnawałowe. W końcu mam praktykę i nazwisko... nie ze mną takie numery!

Nie ze mną! Wiem, kiedy podejść do drzwi, żeby nie otworzyć niepotrzebnie, może nachodzić mnie ktoś okropny, gnida parszywa, gdzieś wygrzebało toto mój adres i myśli, że sprawi mi radość parzenie kawy byle komu, mogę w ogóle jej nie mieć ani herbaty też, tylko słone paluszki i wodę mineralną, butla otworzyła się mi jakoś przed tygodniem, nie mogła mieć przecież pojęcia, jako przedmiot martwy, o odwiedzinach, które mogą mnie czekać w karnawale; niepisany zwyczaj pozwala nachodzić ludzi w dzień i w nocy o tej porze roku, byle wypełnić sobie karnet odwiedzin obowiązkowych, ja tam zawsze go fałszuję, a na gości mam sposób, trzeba udawać, że wyjechało się na wyspy egzotyczne, włożyć w drzwi kartkę z odpowiednią notatką, pogasić wszystkie światła, zasłonić okna i nie nastawiać zbyt głośno radia. Czy o czymś nie zapomniałem? Oczywiście, sąsiedzi! Nie wtajemniczam ich w moje manewry, mogą więc mnie wsypać, gdyby w okolicy pojawił się szpicel z ratusza.

Trzeba jak najrzadziej wychodzić z domu, nie częściej niż raz na tydzień, zgromadzić zapasy jeszcze jesienią, bez chleba można się obejść, wystarczy ryż czy makaron, na co tam w danym roku ma się apetyt; kiedy, pamiętam, po raz pierwszy w sklepach pojawiły się barwione na sto kolorów kaszki dla dzieci, nakupełem tego cały worek i gotowałem sobie na mleku w proszku codziennie inną pastelową wyzerkę, a że całość była dość mdła, dodawałem pieprzu, mielonej papryki, cebuli i curry, czego się zresztą pikantnego dało. I wtedy zaczęło dziać się coś wspaniałego: pod wpływem przypraw kaszki zaczęły zmieniać barwy, co nigdy by się nie stało, gdybym dosypał cukru, barwniki okazały się niezbyt odporne na pikantne składniki, po wystygnięciu potrawy przechodząc w zgniłą zieleń o metalicznym połysku; zrobiłbym majątek, gdybym zaczął szantażować producenta tej trucizny albo rozpowszechnił

wieść o jej zgubnym działaniu wśród troskliwych mamus i tatusiów, udawszy się na zebranie Cnotliwych Rodzinek przy Towarzystwie Zwalczającym Seks, zapraszano mnie kiedyś stamtąd na bal dobroczynny, gdzie eksperci mieli nauczać, i to za darmo, jak obronić się przed orgazmem podczas miłosnego zbliżenia. Na myśl o tym szkoleniu dostałem ataku śmiechu i działo się ze mną parę innych miłych rzeczy, w pamiętniku zapisałem nawet parę zdań o orgazmie seryjnym, który udało mi się wtedy osiągnąć po raz pierwszy, teraz już wiem, jak się do tego dochodzi bez zażywania środków podniecających – trzeba się obśmiać, jedynie naśmiać tak, że aż brzuch boli i nie móc przestać, rechotać żabim głosem albo rzeć jak szkapa pociągowa, kiedy pijany furman działa z nią zamiast z karczemną dziwką, co też mi do głowy przychodzi, nigdy nie widziałem konia w tej sytuacji, pewnie nie mam więc prawa o tym pisać, samca ani samicy, ani pary tym bardziej.

Nie podglądałem zwierząt w dzieciństwie, tropiłem od razu ludzkie ustronia, no i pewnie dlatego wolę wakacje od karnawału; kuzyn Lutek zabierał mnie na wydmy, a tam zboczeńców do wyboru, grupki kilkuosobowe, parki i onaniści, patrzyłem więc i przez lornetkę na ich wyczyny, i gołym okiem też, gdy kuzyn fotografował co lepsze pozy. Zaopatrywał się na te wyprawy w przeróżne obiektywy, klisze najlepszego gatunku i dziwacznie posykurując pstrykał zdjęcie za zdjęciem. Nie pozwalał mi zabierać niczego do picia i jedzenia, abyśmy w razie wpadki nie byli zanedo obciążeni i mogli prędko umknąć, toteż kiedy wybierałem się na plażę z rodzicami, ćwiczyłem uparcie biegi po piachu, zamiast taplać się na brzegu jak inne dzieci, zbierać muszelki i lepić pałace ze zmieszanego z kałem i obumarłą roślinnością mułu. Wybór formy odpoczynku należał zresztą do mnie, a mama go akceptowała, drzemiał spokojnie pod kolorowym parasolem. Nie musiała się obawiać, czy aby nie pochłonie mnie warczący potwór zwany przez niektórych morzem. A ja czułem się tak pewnie na nogach, że pokonywałem bez odpoczynku kilkanaście kilometrów kłusem, w pełnym słońcu, dla utrudnienia założywszy łaźienkowe kapcie z gumy; wszyscy myśleli, że boję się nadepnąć na kawałek szkła albo ostry kamyk. Nie zaprzeczałem, utwierdzając rodzinę w przekonaniu, iż dmucham na zimne, a ciepłe podgrzewam, tak czasem mówię o sobie, przekręcam przysłowia i slogany, ludziska się śmieją i proszą o więcej, niestety, wyczerpał mi się repertuar, powiadam, odwracam się więc zgrabną woltą i odchodzę do domu albo gdziekolwiek chcę.

Jakże cudowną szansę dała człowiekowi natura, pozwalając mu się poruszać, bo co to by było, gdyby każdy miał stałe miejsce jak roślina albo był machającym uszami polipem rafy koralowej, a jakby już rozpoczęła się dyskusja, któżby ją zakończył! Ani się zdrzemnąć, gdy sąsiedzi rozpoczynają kłótnię o wysokość rachunków za prąd; jak trudno je sprawiedliwie rozdzielić, wszyscy wywodzą się przecież z tego samego rdzenia, trzonu i liczniki można zainstalować tylko w ich żywym ciele, obciążając je jeszcze bardziej, nie do wytrzymania, ale czy nie gorzej płacić za kogoś, skąd na to brać, skoro cały o r g a n i z m zarabia jednakowo, występuje w tym samym cyrku, w tym samym tańcu.

Niech to szlag! Znów jakieś dziecinne fantazje, a kwestia tańca pozostała nierozwiązana. Każdego karnawału powinno się, oczywiście na samym początku, przejść kurs najnowszych podrygów, wziąć zaświadczenie, że się już umie poruszać na parkietach najnowszej konstrukcji i iść tam, gdzie tłum gęsty, napoje drogie, a kobiety... Skierowania na pięć różnych kursów spopieliłem wczoraj na starym talerzu. Ani myślę dostać zadyszki na mrozie i potem chorować na zapalenie płuc, lecząc się na dodatek samemu, bo panie i panowie doktorowie też chcą się bawić, choćby w dokuczanie chorym. A akwizytorzy tańca na pewno jeszcze w tym tygodniu będą mnie nachodzić, każdy ma listę mieszkańców i sprawdza, czy dana osoba pojawiła się już na kursie u konkurencji. Temu, kto już go zaliczy, muszą dać święty spokój, proponując co najwyżej supergrzecznie i nieśmiało taneczną sesję dla wtajemniczonych, zawodowców lub prymusów kursu zasadniczego. Za tę imprezę płaci się niewiele, a wygrać można niezłą sumę, ponieważ w trakcie pokazów odbywają się przeróżne

konkursy – od maratonu tanecznego po strzelanie do pustych butelek. I kiedy moi rówieśnicy tęsknili, by zostać dopuszczonymi do tych rozrywek po osiągnięciu pełnoletności, ja dążyłem w przeciwną stronę – przerobiłem metrykę o dwa lata, więc organizatorzy karnawałów dla dorosłych umieścili mnie w spisie z chłopakami, których miałem wtedy za skończonych gówniarzy i nawet nie grałem z nimi w „gołębie kupki”.

Tę zabawę lubiło całe nasze pokolenie. Zaczynaliśmy zaraz po szkole, a kończyliśmy wieczorem, jak już cała gruchająca populacja poszła spać w ruiny albo pod okapy szerokich dachów starego miasta. Należało się ustawić w pięć czy sześć osób na pierwszej lepszej ulicy, gdzie przylatuje duże stado gołębi. Przewodnik, zwany często koryfeuszem, zabierał ze sobą worek pokruszonego chleba i wabił nań ptaki, żeby przelatywały nisko nad głowami pozostałych chłopców. Liczyła się ilość „kupek”, jaką każdy zdołał zgromadzić na włosach i ubraniu. Aby gołąb załatwił się nad głową, trzeba było patrzeć w górę i umiejętnie manewrując ciałem, podążać za skrzydlatymi łakomczuchami. Raz jednemu z chłopaków udało się zebrać dwadzieścia osiem fajtnięc na białej kurtce i to był rekord absolutny, sam nigdy nie zbliżyłem się nawet do dwudziestki, choć jako dziecko wydawałem się ludziom nader ruchliwy. A kiedy ktoś z młodszych łebków wynalazł sposób, jak wyraźnie zwiększyć wydajność gołębi, byłem już za stary, by grać; żaden zespół nie przyjąłby mnie nawet na koryfeusza. Otóż co te dzieciaki wymyśliły: zamiast, jak to ustalono przed laty, podawać gołębiom czerstwy chleb, zespół całymi nocami przygotowywał z niego kulki nafaszerowane tabletkami przeczyszczającymi.

Żałowałem, że nie wpadłem na ten pomysł dawno temu, ale potem dotarły do mnie żelazne argumenty wujka Antoniego. Młode pokolenie gra niesportowo, mówił, nie sprawiłby mi przyjemności udział w takich zawodach, a w ogóle jak można dręczyć biedne ptaszki, jestem przecież wrażliwym człowiekiem, powinienem oburzać się na tych gówniarzy, nie zaś gapić się na ich wyczyny przez okno najlepszej kawiarni w mieście. Wypominał mi to „najlepsze” miejsce, stary sknera. Niby dlaczego nie miałbym właśnie tam przesiadywać w poście, lokal zupełnie pusty, bardzo to lubię, wydaje mi się wtedy, że zarezerwowałem całą salę, wydałem mnóstwo pieniędzy i mam prawo do najlepszej obsługi, takiej, która nie przeszkadza w rozmyślaniach i bezszelestnie roznosi dania oraz chłodne napoje.

Często pieką mnie wargi. Najtęższy mróz pali zamiast wywoływać dreszcz, a upał wysusza język, jakby pokryto mi go płonącym olejem. Nie mówię jednak o tym wujkowi Antoniemu ani nikomu z rodziny. Zaraz przypisałiby mi jakąś okropną chorobę i nie obroniłbym się przed współczującymi gestami, zwłaszcza workami starych leków zasypano by mnie tak skutecznie, że mógłbym otruć się na cudzy koszt, albo wydać na powitanie karnawału kolację dla wrogów, dodając do ich ulubionych dań szkodliwe specyfiki. Tyle naczytałem się o starożytnych trucicielach, a mam przecież większe możliwości, nikt nie musi mnie uświadamiać, do czego służą te a nie inne krople bądź tabletki i zawartość groźnie wyglądających ampułek przeróżnej wielkości. Bez trudu mogę się też dowiedzieć, jak prędko działają na człowieka różne preparaty, nie sprawiłoby mi więc kłopotu planowane z dnia na dzień podtruwanie. Koniecznie muszę to wypróbować na roślinach.

Najczęściej zapraszają mnie ciotki. Aż przykro słuchać o atrakcjach, jakie szykują, nudziłbym się jak stuletni baobab, myślą, że zwabią mnie na ciasto drożdżowe i rosół z kruszonką, zaraz, coś mi się pokreśliło, jakie to danie je się z tym cudem ludzkiej pomysowości kulinarnej, może rybę faszzerowaną?

Nie wiem. Od lat, poza karnawałem, nie chodzę na prośzone wizyty, czasem tylko, kiedy idę wynieść śmieci, dopadnie mnie czyjś osobisty herold lub heroldzina. Muszę wtedy podpisać w karnecie, że otrzymałem zawiadomienie o rodzinnej uroczystości, podczas której chce się ze mną spotkać conajmniej dwadzieścia osób; wszystkie one chętnie otrzymają potwierdzenie mego przybycia, a gdybym sprawił zawód, komornik mógłby ściągnąć ode mnie zwrot kosztów podróży dla tych ludzi, niby większość mieszka w naszym mieście, ale

niechby na liście znalazł się ktoś, kto przyleciał z drugiego końca świata specjalnie wynajętym samolotem, a cała reszta miała rachunki od taksówkarzy, zostałbym bez grosza na całą zimę.

Wyobraziłem sobie smutny poranek, kiedy zabraknie mi na śniadanie szklanki anyżowej wody mineralnej, zobaczę pusty stół, na którym nikt nie położył lśniącego noża i bochenka chleba, prąd wyłączony i to palące zimno, nie ma go czym ugasić, przegnać, oddech zamarza na brzegu pustej szklanki... Czy wujek Antoni okaże się tak namolny, że naśle na mnie herolda? A gdybym udał szaleńca i konsekwentnie warczał na widok owego posłańca? Jak wymusiłby na mnie podpis?

Chciałem zdjąć z półki tom baśni i sprawdzić, dlaczego dzielnym rycerzom tak trudno było przekroczyć zaczarowane granice. Potrafiłbym może zastosować podobną blokadę: mentalną, ogień, mgłę, las żądał ogromnych owadów czy po prostu ostry smród. Albo hałas? Zwalić winę za te dźwięki na kogokolwiek: nieznośne dzieci, złośliwe domowe duszki, kto mi zabroni w nie wierzyć, niech to zrobi jawnie!

Nawet w karnawale każdy ma prawo do własnego wyznania, choćby wymyślił je na godzinę przed zapadnięciem najdłuższej nocy w roku. A ze swego życia wolno uczynić baśń, skreślić dowolny wątek eposu lub dopisać, zamienić się rolami z kimś tak samo znudzonym, by nareszcie mieć poczucie, że nie wypełnia się tylko przepisanej funkcji, nie realizuje tandetnego scenariusza czy archaicznej recepty.

I miałem to wszystko szczegółowo wygarnąć pierwszej osobie, która zadzwoni z idiotycznym zaproszeniem na kawę, odesłać do wszystkich diabłów gości, co-sami-się-zaprosili albo dali się nabrać komuś, kto chcąc zabawić się moim kosztem, podrobił osobistą kartę pocztową na moje nazwisko i porzysłał ją na adresy wybrane z książki telefonicznej; właśnie zbliżała się siedemnasta, jakże nienawidzę typów, które przywłóczą się o tej porze, ale porządki znów musiałem odłożyć na później. Telefon! Osiem sygnałów za pierwszym razem, dziesięć za drugim. Chyba kobieta? Nie będę złośliwy, niech dowie się, że już się umówiłem i poświęci energię innemu facetowi. Dziewięć...

– Halo?

– Gdzie ty się podziewasz? – Wujek Antoni!

– Nie wychodzę z pokoju.

– Brakuje mu jednego kandydata. O północy muszę zamknąć listę.

– Niech wujek pójdzie do baru. Pewnie niejednemu zabrakło na drinka.

Chłuba naszego rodu od paru sezonów organizuje główną uroczystość noworoczną: zaślubiny dwunastu młodych par, które w uroczystym pochodzie mają symbolizować kolejne miesiące roku. Niezwykle przejmuje się swoją misją, kiedyś przylazł do mnie z fotografiami nowożeńców, abym pomógł poukładać ich w pary, zaklinał się, że mam na pewno szczęśliwą rękę do kojarzenia małżeństw; udałem zupełną bezradność, czy mi uwierzył, trudno powiedzieć.

– A może ty? – usłyszałem.

– Co ja?

– Masz już swoje lata. A kobiety zgłosiły się w tym roku... nie pytaj!

– Nie zamierzam. Wolę sam wybrać sobie żonę. Kiedy zechcę.

– Ha! W ten sposób możesz narazić się na odmowę! Znasz chyba przywileje małżeństw sylwestrowych? Tyle razy mówiłem... Nawet Marysia się zdecydowała, właśnie wczoraj...

– Trudno. Zostaniecie z ciotką sami.

– Posłuchaj! Tak nie można żyć. Dlaczego wszystkim odmawiasz? Istniejesz tak na trzy czwarte, a mógłbyś...

– W zupełności wystarczy mi jedna czwarta. Szkoda tylko, że na tę miarę nie wymyślono jeszcze tańca. A może to i dobrze?

– Dobrze? – Antoni zakrztusił się czymś i niepokojąco zakaszłał.



– Pewnie. Podobno śmierć przychodzi do nas tanecznym krokiem. A tego rytmu nie zna, bo ludzie też nie potrafią go zatańczyć. Stanie jak wmurowana, gdy jej zaproponuję partnerstwo... na jedną czwartą.

– Czego od niej zażadasz? Wiecznego życia? W to już nikt nie wierzy.

– Może. Albo tylko jeszcze jednej szansy. Dobranoc, wujku. Życzę szczęścia Marysi.

## Ciepłe pokoje

Nie wiecie, kto to Albin Anuel? Racja, możecie go nie znać. Nie pokazuje się tu jakiś czas, dłuższy czas, gdybym gdzieś znalazł starą recepturę, jak mierzyć przemijanie, na pewno bym wam powiedział, kiedy ostatnio spotkałem tego gościa. Bywał tu często, siadał w kręgu, zdejmował na chwilę maskę i opowiadał nam część swojej historii. Jeden z nas musiał obieć krąg piętnaście razy, no i póki nie wykonał tych okrażeń, Albin mógł mówić, nie ryzykując utraty zdrowia. Teraz powietrze robi się coraz lepsze, wystarczyłoby kilka posiedzeń, żeby dobrnąć do końca, ale nasz opowiadacz się nie pokazuje. Mógł umrzeć, powiadacie? I to się ludziom zdarza, na szczęście tylko raz na całą karierę, choć podobno niektórym udaje się zmartwychwstać i wtedy po raz drugi czeka ich wątpliwa przyjemność ustawiania oddechu, sztywnienia palców; kiedy drętwieją mi dłonie myślę, że to już, ale potem wschodzi słońce i znów mogę splatać liny.

Piękny to zawód nadawać kształt włóknom czerwonej konopi, jeden znam tylko zawód bardziej szlachetny: opowiadacz ciekawych historii. Czy Albin Anuel jest profesjonalistą, tego nie wiem, nikt ze splataczy nie śmiał zapytać o to ani nawet o przeczące sobie fakty opowieści, baliśmy się, aby mistrz nie odszedł, zostawiając nas samych, bez zakończenia, milczących w niepewności.

Potrzeba nam głosu. Kiedy wsłuchujemy się w jego brzmienie, zdaje się ono przenosić na linę, pracujemy szybciej i jeżeli opowiadacz jest naprawdę dobry, wykonujemy podczas jego występu całodzienną normę, a potem możemy sobie iść... Patrzeć na kolorowe wiatry w dolinie, oczywiście ostrożnie, przez posrebrzaną szybkę, żeby nie stracić wzroku; pić przedestylowany wyciąg z kopalnych korzeni, ale to jest możliwe tylko wtedy, gdy wszystkie wyprodukowane w ciągu tygodnia liny zostaną sprzedane. Jeśli są dobre, nie ma sprawy. Ale gdyby wisiały z nich postrzępione włókienka, musielibyśmy poprawiać cały rzut i na przyjemności nie starczyłoby już czasu. Zresztą opowiadający partacze nie śmia pokazywać się w dolinie, obojętnie jaki temat by spieprzyli. Pozostaje im wskoczyć do pudełka, okryć się całą posiadaną watą i spać, póki trąby nie wezwą wszystkich na kolejny cykl.

Chyba że ktoś już całkiem do niczego się nie nadaje, wtedy zamykają go szczelnie w pudełku i zaklejają wieczko dla pewności, sącząc przez szpary nasenny eliksir. Porządkowi robią to zawsze w nocy, żeby nie widzieli ci inni, którzy nadają się choćby do zamiatania po wyplataczach i splataczach.

Albin Anuel wiedział o tych metodach eliminacji, ale potrafił ukryć swą słabość i trwać w przypisanej mu roli. No bo co dyskwalifikuje opowiadacza? Może być kulawy, sparaliżowany albo ślepy – ruch, kolory i kształty łatwo sobie wyobrazić. Ale głuchy? O, nie! Tylko nie to. Kiedy narrator straci słuch, głos robi się brzydki, metaliczny, chrzęszczący, stary i nieprzyjemny; zamiast podniecać i mobilizować, będzie niepokoił i drażnił.

I tak nieszczęście spotkało samego Albina Anuela! Opuściły go dźwięki. Ale żaden z nas o tym nie doniósł, zatykaliśmy tylko uszy podczas dwóch ostatnich jego przejść i nie odbiło się to na kształcie lin, a że tempo pracy nie podlega kontroli, siedzieliśmy sobie nad nimi do kresu dnia, donikąd nam się zresztą nie spieszyło, w ruchu łatwiej znieść chłód, choćby poruszały się tylko palce.

Dziwne to zjawisko, ale ostatnio noce robią się cieplejsze niż dni, wyraźnie to wyczuwamy po powrocie do pudełek. Gdyby można powiedzieć o tym Albinowi! Ułożyłby na poczekaniu taką historię, że dech by wszystkim zaparło. Każdą niesamowitą sprawę umie wyjaśnić, wymyśla nowe kraje i bogów, pamięta imiona wszystkich swoich bohaterów, na życzenie opisując ich jeszcze dokładniej niż wymaga akcja.

I kiedy mówił o tych ciepłych pokojach, kobiety prosiły, żeby im zdradził, jak ubierano się

w czasach pałaców i ogrzewanych komnat, a on roztaczał na naszym pagórku obrazy tak skomplikowanych strojów i materii, z których je uszyto, że wszyscy kiwali głowami, nie mogąc uwierzyć, jak to kiedyś ludziom wiele było potrzeba do szczęścia.

Może właśnie przez te dodatkowe wątki Anuel nigdy nie mógł na dobre rozpocząć głównego, zdaje się, że wyjaśnił nam tylko zasady działania tych pokojów, słuchaliśmy z niedowierzaniem, ile to wysiłku ludzie potrafili włożyć w tę ideę, jakie mieli pomysły i osiągnęli efekty. Co bardziej praktyczne osoby, a nie brak takich wśród wyplacaczy, burzyły się, żądając zmiany tematu opowieści. No bo po co komu ciepłe pokoje, skoro w dzień można rozgrzać się przy pracy, jakie to było marnotrawstwo drogich surowców i wody, nie dziw, że dla nas już ich nie starczyło. A po zmianie klimatu narosło tyle dzikiej waty, że bogaci raz na miesiąc albo i częściej mogą nakładać sobie świeżą i cieszyć się jej aromatem, póki nie nasiąknie potem i moczem nocnego lenistwa, no bo komu chce się otwierać pudełko i wychodzić zeń na łup żerującym po zmroku miniaturowym gołąbkom-wampirom, które lubują się w kaleczeniu brzucha, pokrywając ciało ofiary mikroskopijnymi rankami.

Te żywiące się ludzkim tłuszczem potworki potrafią dodziobać się do tkanki przez najgrubsze ubiory ze stalowych nitek, a jak kogoś spieszącego za potrzebą dopadnie złożone z paru sztuk stadko, nieszczęśnik może to spotkanie ciężko odchorować. Ptaki są tak zmyślne, że aby osłabić ofiarę, zanurzają dzioby w żywicy drzew czarnej pomarańczy, która, gdy dostanie się pod skórę, powoduje chwilowy paraliż. Wprowadzona do żył potrafi nawet zabić, ale gołąbki nie są tak krwiożercze, by do tego zmierzać. Pozostawiają więc podziobanych, nieprzytomnych ludzi na otwartej przestrzeni i gdyby nie nocni strażnicy, patrolujący każdy zamieszkały rewir, wielu nie obudziłoby się już nigdy.

Najbardziej trzeba uważać podczas podróży i przy przeprowadzkach, meldować się na każdym postoju w komisariatach, by w razie czego wiedziano, kogo należy poszukiwać. Od kiedy jednak w paszportach wprowadzono rubrykę na szczegółowy opis pudełka, porządkowi mają znacznie mniej pracy. Podróżni i wędrowcy zdobią miejsca odpoczynku znakami ułatwiającymi ich odnalezienie i chronią się przed kradzieżą na tysiąc sposobów. Pułapki na intruza, guziki umieszczone na wieczku pudełka, które parzą obcego, nauczone rozpoznawać właściciela, wyjące węże i gdaczące żółwie, każdy to zna przynajmniej z opowiadania o bogaczach. Gdyby Albin Anuel chciał zająć się tym tematem, miałby jeszcze większe wzięcie jako opowiadacz, ale on kocha tylko te swoje dziwne pomieszczenia, w których, powiada, jest tak gorąco, że można spać bez ubrania i nawet podziwiać swoje ciało w lustrze, wreszcie moczyć się w pachnących wodach, a na koniec wezwać takiego fachmana, co naciera mięsień po mięśni, żeby usunąć zmęczenie, pałac do snu kolorową lampę, czego nie da się robić w pudełku.

Owe ciepłe pokoje mają istnieć jeszcze gdzieś na krańcach świata i Anuel obiecywał, że pewnego dnia, kiedy zbierze odpowiednią sumę, wyruszy na poszukiwania. Jeśli uda mu się odnaleźć choćby kilka, wróci tu i zabierze z sobą chętnych, by osiedlić się tam z przyjaciółmi; w ciepłych pokojach musi być bardzo przyjemnie zasypiać w otoczeniu bliskich osób, wsłuchując się w ich oddech; człowiek jest wtedy pewien, że one żyją i na pewno nic się im nie stanie do rana. Nasze pudełka są bardzo niefunkcjonalne, zgoda, nauczyliśmy się z nich korzystać, ale ileż to osób zginęło przez nieostrożność, upychając do wnętrza zbyt wiele waty albo przytraskując jej pasemka wieczkiem, co powoduje uszkodzenie mechanizmu otwierającego.

Informacji o tych wypadkach nie podaje się do publicznej wiadomości, firmy produkujące pudełka obaliłyby zaraz Radę Starszych albo wywołały jakąś wojnę domową. Nie dziwicie się więc, że zbieracze dzikiej waty nasłali na Anuela zbira z okutą żelazem pałą, niektórzy powiadają, że to właśnie od uderzenia nią stracił słuch. Pomyślcie, gdyby ludzkość wróciła do ciepłych pokoi i udałoby się utrzymać w nich wysoką temperaturę, zmieniłoby się wszystko – zamiast producentów pudełek i zbieraczy waty w Radzie zasiadaliby właściciele pokoi, a skąd

mamy wiedzieć, jacy oni są? W co wierzą, a w co kazaliby nam wierzyć? Ile trzeba by pracować, żeby dostać miejsce w ciepłym pomieszczeniu i czy można by samemu dobierać sobie na noc towarzystwo? Mieć stały, wyznaczony przez właściciela punkt, czy też codziennie go zmieniać? Czy wolno byłoby stamtąd wychodzić i wracać o dowolnej porze?

„Co to to nie! Nie wiercie temu przybłędzie! Chciałby was namówić, abyście wyrzekli się wolności, jaką daje pudełko! Twój dom jest wszędzie, gdzie je postawisz, na placu wśród tysięcy innych bądź na odludziu, tylko ty decydujesz, gdzie zatrzymasz się na noc, czy chcesz, żeby twego bezpieczeństwa pilnowali porządkowi, czy też sam potrafisz się obronić. Nikt nie ma prawa zaglądać do twego pudełka! Każdego złapanego rabusia, który próbowałby podważyć cudze wieko, czeka kara śmierci bez prawa apelacji. Stare kodeksy głosiły nawet, że poszkodowany lub jego rodzina, gdyby zmarł na skutek naruszenia hermetyczności pudełka, mają prawo wybrać sposób wykonania wyroku spośród trzech przewidzianych procedur: pożarcie przez drzewo mięsne, utopienie w sadzawce katowni lub zwyczajne powieszenie”.

Takiej to treści apele rozpowszechniali przeciwnicy idei ciepłych pokoi. Owszem, można tu mówić o idei, w różnych miejscach świata czekają na Anuela ci, którzy chcieliby przed snem rozmawiać, budzić się w promieniach słońca, nie narażając się na napaść gołębi. Zdecydowanych samotników, którzy nie interesują się nawet płcią przeciwną i oddają Radzie jajo lub nasienie do wykorzystania, zamiast kopulować gdzie popadnie i z byle kim, opowiadacz potrafił przekonać do swego pomysłu, mówiąc, że można będzie wynająć sobie cały pokój, jeśli zajdzie taka potrzeba. A gdy niedowiarek pytał, kogo na to stać, narrator zapewniał, iż zasada działania pokoju jest dziecinnie prosta, każdy może go samodzielnie skonstruować i ustawić choćby na innych pomieszczeniach, ktoś musi tylko kierować całością, tak jak na placach pudełek. Potem niektórzy brali Anuela za oszusta, który nic o historii ludzkiej nie wie, tylko przetwarza rzeczywistość w idealny obraz, powiększa pudełka, nadając im jakieś niewiarygodne własności.

„Ten szalenciec gotów utrzymywać, że można zbudować także poruszające się pokoje, dajesz oto, człowieku, znak i takie pudełko biegnie za tobą, gdzie zechcesz. Ludzie, to tylko odwrócenie faktycznego stanu, każdy z was nosi swoje schronienie, ale wielu skrycie marzy, by było odwrotnie! Przestańcie roić, weźcie się do roboty, cech na was liczy, jesteście potrzebni, trzeba się tym cieszyć, urodziliście się w swej roli i każdy ma miejsce, nigdy jeszcze ludzkość nie żyła w takim porządku i sprawiedliwości”.

I tak oto przedstawiano Albina Anuela w całym znanym mi świecie, choć jako wypłatacz nieczęsto ruszam się poza płaskowyż, tylko podczas urlopu w towarzystwie kogoś z was. Coraz mniej ludzi oficjalnie siadało w kręgu opowiadacza, który zaglądał tu mimo wszystko i obiecywał przed kolejnym ścinaniem konopi odnaleźć zagubione przez ludzkość pokoje, przyniósł nawet obrazek przedstawiający takie pomieszczenie, pamiętam, że widniała na nim też kobieta w strojnej sukni, długiej do ziemi i pewnie bardzo niewygodnej, siedziała sztywno na jakimś podwyższeniu, trzymając pieska na kolanach. Pokój musiał być naprawdę duży – wszędzie poustawiano kolorowe kwiaty, figurki i wiele innych niepotrzebnych rzeczy, z którymi rozstaliśmy się wiele pokoleń temu.

Więcej szczegółów pamiętam, ale dobrych parę razy ścinaliśmy już konopie, a Albin Anuel nie powrócił. Wiem, że lubicie historie z zakończeniem, smutnym lub wesołym, lecz zamknięte i rozwiązane, spokojne jak wnętrze nocnego pudełka. Nie umiem jednak kłamać, nie wyjaśnię więc, czy opowiadacz trafił na ślad ciepłych pokoi i śni tam teraz wygodnie, czy całkiem stracił głos i nie może już o nich mówić. A może uwięziono go w pudełku, którego nie da się otworzyć, takiej kary nie ma wprawdzie w żadnym kodeksie, gdzie jednak podziali się ci, którzy giną z ulicy albo pozostawiają otwarte pudełka na placach, tracąc prawo do ich własności?

Gdybym umiał na to pytanie odpowiedzieć, też pewnie zniknąłbym jakiegoś dnia, a wam

powiedziano by, że przeszedłem na emeryturę i mogę teraz spełniać swoje marzenia o podróżach i wędrownkach, bowiem kasa wypłataczy przyznała mi jeszcze specjalną nagrodę.

Cóż, a może istotnie ciepłych pokoi wcale nie ma ani nie było i Albin Anuel je wymyślił, żeby nas zaniepokoić, skłócić czy odciągnąć od pracy, nie wiem wszak czy słyszeliście, że grozi nam niewiarygodna nadprodukcja lin, bo za siedmioma górami i lasami założono konkurencyjny cech.

## Trans (II)

– Siniore Alighieri, to znowu pan?

Słowa Lucii zlały się w gwałtowny potok dźwięków z ostatnim uderzeniem kołatki, który piskliwie odbijał się od sąsiednich kamienic. Stojący przy drzwiach mężczyzna zgarbił się jeszcze bardziej i otulił płaszczem, choć noc była wyjątkowo ciepła.

– Mówiłam panu, że jest coraz gorzej...

Płomyk lampki zamigotał na potwierdzenie tych słów, lecz bardzo nieznacznie, bowiem bezwietrzny wieczór nie zezwalał na płasy owej gamie szelestów, jaka gromadzi się pod drzwiami o zmroku, udając niespodziewanych gości, co to przychodzi z muzyką i winem wypełnić czas aż do świtu, gdy ochota na śpiew ustępuje jękom wypędzanego ze schronienia słońca.

– Ona nie może pana przyjąć. Panienska Beatrycze... bardzo źle się czuje. Lekarz nie wychodzi z jej pokoju. Może pan sam zapytać. Wywołam doktora na parę minut... nie chce pan? Siniore! Tak nie można. Proszę nie nalegać, bardzo proszę. Wolno panu oczywiście korzystać z salonu i biblioteki, jak zwykle, zaraz podam coś do picia, owoce i ciasta. Nie powinniśmy stać w przeciągu, jeszcze się przeziębimy, w środku jest bardzo przytulnie, sam pan wie. Nie to nie! Ale ja pójdę sobie, zamknę drzwi i otworzę dopiero rano. Niech pan nie myśli, że nie mam nic do roboty. Od kiedy panienska przyszła na świat, zajmuję się nią bez przerwy. Nie mówię, bywało to i przyjemne, ale i ona ma swoje... dobrze już dobrze, wiem, że pan nie pozwoli jej krytykować najbliższym nawet osobom, każdy ma jakiś ideał, który wolno widzieć na tym... no jak to wy artyści nazywacie, podwyższeniu czy jak? Ale w żadnym wypadku nie może pan tam wejść, silne wzruszenie mogłoby jej zaszkodzić. Jest taka delikatna, wyczuwa znakomicie narastanie ciepła i ochłodzenie, nawet domowe kłótnie, a teraz naprawdę potrzebuje spokoju. Radziłabym panu wrócić do siebie, poczytać trochę, przecież pan to lubi, albo w ogóle wyjechać z miasta na jakiś czas. Ludzie stali się bardzo nerwowi, siniore, a pan ma nie tylko przyjaciół. Wystając tutaj naraża się pan na nieprzyjemne spotkanie z Czarnymi, naprawdę, w takiej sytuacji najlepiej zmienić ulice, jakimi się chodzi, znaleźć sobie nowych znajomych i spotykać się z nimi w karczmach, zdejmując zawczasu oznaki godności stronictwa, nie zaszkodzi poruszać się bez wypisanych jak na twarzy poglądów. Ja to mówię, jak znam życie, mało to chodzę na targ, do krawca, szewca, a to do kwiaciarki po bukiety, panienska bez nich ani rusz... i teraz biedulce doktor zabronił nawet wstawiać róże do pokoju, co dopiero mówić o ogrodowych fiołkach i innych roślinach, racja, już wczoraj słyszał pan o tym, siniore Alighieri.

Lucia mogła paplać tak godzinami, ale sama uważała siebie za małomówną, więc kiedy dostała chrypki, zasłaniała usta chusteczką i szybko wracała do rozlicznych obowiązków. Tym razem miała jednak znakomitą okazję, by prawić morały – jakby na to nie patrzeć – szanowanej osobistości i nie zamierzała zmarnować tej szansy. Tak, na początku ów dumny człowiek wcale nie zauważał starej piastunki, zaledwie raczył jej coś odpowiedzieć na powitanie, pędził prosto do panienski, żeby czytać z nią wiersze i rozmawiać, o czym oni tak mogli poważnie, całkiem poważnie, jak panowie z Rady, Lucia nie podsłuchiwała, skądże, gdzieżby tam dociekała tajemnic, których panienska sama nie chce jej powierzyć, to byłoby w złym smaku, przekupka jakaś mogłaby tak czynić, kręcąc się albo w ogrodzie, albo w pokojach, ale niańka z tradycjami zawodowymi od dziesięciu przynajmniej pokoleń nie splami dziedzicznego imienia, a myśleć może sobie co chce, tego nie powinno się nikomu zabraniać, a pan Bóg niech pozostawi ludziom tę dziedzinę na własność. W przeciwnym razie porobi się jakoś tak, jak u sąsiadów panienski – dom należy do skłóconych osób równo po połowie, a jakoś trudno te części wyznaczyć, no i to pewnie stało się przyczyną sporu; gdyby

Lucia była bogiem lub boginią, podobno kiedyś ludzie wierzyli w coś takiego, że bóstw po tym świecie kręci się bez liku, ale tak naprawdę to śmieszne, bardzo zabawne, gdyby jednak, gdyby, zrobiłaby z człowiekiem szczegółowe rachunki: co jest jego własnością, a co przynależy do stwórcy. Ile kłopotów potrafiłaby rozwiązać! Cóż, piastunek nikt o takie sprawy nie pyta.

Na przykład tyle razy mówiła panience, że niezdrowo wybiegać na deszcz, choćby tylko do ogrodu po żołądź, one poczekałyby na słońce, poza tym do zabawy powinny być suche, nie żeby każdy trzeba osobno wycierać i układać w koszyczku. O tej porze roku przeziębienia bywają niebezpieczne, a panienka ma skłonność do przewlekłych katarów, za chwilę lekkomyślności płaci czasem wysoką cenę, musi leżeć w łóżku, ale wtedy naczyta się różnych ksiąg, *siniore Alighieri* zawsze coś przyniesie i tak mija zima, potem wiosna, tylko Lucia ma przez te kaprysy więcej roboty. Ale kto urodził się do pracy, pewnie przy niej i umrze, nie odpocznie sobie za życia, a po śmierci jaką może mieć z tego przyjemność? Zmęczenie odczuwa się tylko fizycznie, w żywych nogach, rękach, we włosach nawet, które kleją się od potu, a palce nie mają siły ich rozczesać.

Jakże dusza mogłaby czuć się znużona, kiedy jest w niej ów boski element, przyprawa, jak to mówi sobie Lucia, czymże wszak innym okaże się w końcu życie, jak nie gigantyczną kuchnią, w której dodaje się do oddechu i bicia serca rozmaitych ingrediencji, czy to z wolą boską czy bez, w każdym razie opuściwszy ciało duch musi zmieniać i pożywienie, tak jak wychodząca za mąż do obcego miasta dziewczyna uczy się gotować nowe potrawy, a nuż zjadą znakomici goście z Bolonii, trzeba koniecznie poznać obyczaje tego państewka, a one zawsze biorą początek w kuchni. Łagodne nacje wolą sterty ciasteczek i owoców morza, wojownicze nie odbędą się bez pikantnych zup i pieczeni. Dusze pewnie też są takimi smakoszami, a ich upodobania zapisano w rajskich księgach, w to nie wątpi sam pan *Alighieri*. Kiedy Lucia mu o tym opowiada, on uśmiecha się i oblizuje wargi jak po wypiciu doskonałego wina; i w tej kwestii objawił całkiem inny niż dotąd gust; woli korzystać ze szklanych pucharków, zamiast, jak to czynili przodkowie, maczać wargi w srebrnych czy złotych naczyniach. *Siniore* wsłuchuje się w nowe dźwięki, nieznane piosenki, jakby nie wystarczały mu muzyka ludowych świąt i opowieści o rycerzach, krzywi się, gdy panienka chce właśnie dworskich a nie innych historii posłuchać. Szkodzą jej te stare fabuły, tak jak dzieciom opowieści o czarownicach i skarbach, tyle tylko burknie i zaciska wargi ów częsty tu gość, a może wcale tego nie mówi, tylko Lucia sobie dopowiada, potrafi to doskonale, z echa odległych szeptów wyczuje sytuację, w milczeniu słyszy koncerty, nawet kazanie lepiej przeżywa w pustym kościele, kiedy sam Bóg przemawia do człowieka.

I teraz stara niania wie, na co czeka dumny gwelf, ale pozwoli mu pozostać w progu, w sieni czy gdzie on tam chce, niech sobie marzy, że naprawdę zwiedza z panienką wszystkie te dziwne krainy, które wcale nie istnieją ani nikt ich nie tworzy, po co wymyślać takie rzeczy i opowiadać je jeszcze ludziom, jakby nie mieli dość starych baśni, na czas choroby *Beatrycze* Lucia może ją zastąpić, choć nie ma tak bujnej wyobraźni.

„Nie będzie się pan z nią nudził, *siniore Alighieri*, może tylko nie dotknie jej ręki jak to lubi robić panience, witając po kolei każdy paluszek, przeraziłby się pan dziś tej rozpalonej dłoni, sam mając chłodne ręce, takim marzycielom nie rozgrzewają się tak szybko”.

– Przepraszam, zamyśliłam się, *siniore*. Martwię się o panienkę, zawsze była taka delikatna, a te, no wie pan, sfery, o których ona opowiada, może zmęczyły ją, gdy odwiedzała je co noc, potem też kiedy pan przychodził, ona bardzo przeżywała, powtarza sobie często całe zdania, nim je panu podyktuje. To bardzo ciekawy pomysł pisać tak razem książkę, jakby państwo tak sobie rozmawiali światami, układali jeden na drugim, żeby dzwoniły, ocierając się powierzchnią o powierzchnię. Panienka dobrze to ujęła, kiedy drażąc cytrynę na letni napój, wyjmowała pestki, a potem rozdłubywała je warstwami. Powiedziałam, że cebula została podobnie pomyślana przez boga-ogrodnika, a na to *Beatrycze*, że jestem starą poganką

i ją psuję, taką poważną dziewczynę, ale mrugnęła wesoło; pan ją zna i taką nie całkiem poważną, kiedy nie wpatruje się w sfery, umie się wtedy cieszyć, wolałabym, żeby taka już została, ale nikt nie potrafi zachować tej rozkosznej pory życia, gdyby wynaleźć taki balsam, eliksir, który zatrzymywałby nie tylko starzenie, ale rozwój, to dopiero byłby raj dla nianiek, nie trzeba by żegnać się z dorastającymi podopiecznymi, na zawsze pozostaliby oni w ukochanym wieku dojrzewania, a nawet w dziecięcym rozkwicie, dodajmy na to pani Maria albo Giovanna uwielbia pięcioletnich chłopców, bo tak rozkosznie pomrukują przed snem do swoich lalek, niechby więc tacy pozostali, jeśli sami nie są ciekawi, co się im w skończonej formie przydarzy...

Nie całą prawdę można powiedzieć mężczyźnie. Lucia wie, że dziewczynki byłoby trudniej przekonać o korzyściach płynących z trwania w niepełnej postaci, nie do końca kształtnej, ale za to chłonej rytm i przestrzeń, spostrzeżenia i prawdy jak w ostatnim etapie pęknięcia skóry, kiedy wąż wyślizguje się ku potędze, z szybkiego, wijącego się ze zbyt dużą utratą energii malca przeobrażając się w wesołego prowokatora zabaw i szaleństw. Gdyby Lucia polecała dzieciom zabawki, dla panienek wymyśliłaby takiego właśnie, niejadowitego ale groźnie wyglądającego węża, który byłby jak żywy, koniecznie śliski, a poruszałyby się przy każdym dotknięciu i syczał, gdyby ośmielił się doń zbliżyć ktoś obcy. Albo parzący liść – jesienią dzieci znoszą tyle tego paskudztwa do przedsionków, rozrzucają podczas zabawy i kto ma po nich sprzątać? Jeśli maluch parę razy chwyciłby ufnie rozpalony, gorący ogonek złotego liścia, przestałyby zaśmiewać dom, oparzeliny bardziej dotkliwie bolały młodych o cienkiej skórze, tak jak i rany, stare drzewa przyzwyczyły się już do tego, że ludzie wycinają im na korze serduszka, inicjały i inne nedorzecznosci.

Szkoda, że panienka dawno odrzuciła zabawki. Inne w jej wieku sięgają jeszcze po miniaturowe naczynka bądź mebelki, kręcą wstążki na palcach i godzinami mogłyby słuchać bajek, a ona tak spoważniała, że nie chce nawet przytulić się do Lucii i opowiedzieć jej o sinioire, przyjemnie byłoby z ust Beatrycze coś o nim usłyszeć, a nie te dziwne opisy tortur, jakim poddaje się grzeszników w czeluściach piekła.

„Nie przyznawaj się nigdy, drogie dziecko, że we wczesnym śnie tamtędy przechodzisz, zaglądasz choćby do przedpiekła, nawet czyścica nie pozwól widzieć swoimi oczyma, ludzie mogliby zrobić ci krzywdę, bo kto to ma takie konszachty z diabłem, że ten wpuszcza go za życia do swego królestwa?”

Wiele razy powtarzała te słowa stara piastunka, gotowa zastąpić Beatrycze jako przewodniczka po krainie potępionych i cierpiących, ale sinioire krzywił się i wzgardził towarzystwem Lucii, więc w końcu do tego nie doszło. Wymyślili sobie z panienką, by o tych miejscach mógł opowiadać jakiś potępiony poeta i niezwykle im się spodobał ten wątek, wywołali więc na niby z piekła starego mistrza, którego pieśni o ucieczce boskiego potomka ze spalonego miasta panienka przeczytała z dziesięć razy, znała całe fragmenty na pamięć i dla zabawy zbierała czasem w kuchni całą służbę, żeby przy publiczności w ojczywym języku recytować te frazy, póki rodzice nie zabronili tego dziwactwa, odtąd więc tylko sinioire i Lucia byli słuchaczami Beatrycze. Pełni podziwu dla jej talentu nie wymieniali jednak fachowych uwag, gwelf nie zniżyłby się do dyskusji z niańką, choć często był uzależniony od jej pośrednictwa, kiedy panienka źle się czuła i opis kolejnego kręgu przekazywała poprzez Lucie. Nie przyznawał się nawet przed sobą, że lubi tę formę kontaktu jako czystą, nie skażoną choćby marzeniem o Beatrycze-kochance, zepsułby wszystko, gdyby wyznał jej te pragnienia lub próbował ziścić. Nie musiał nic mówić, by Lucia zrozumiała sytuację, i tak ochraniała talent panienki przed jej cielesnością, zaś sinioire coraz rzadziej je widywał, informowany jednak skrupulatnie, co dzieje się w jej domu każdego poranka, popołudnia i wieczora. Obdarzony, jak i Lucia, doskonałą pamięcią, w nocy spisywał zasłyszany tekst wers po wersie. Kiedy odczytywał go potem, żeby sprawdzić szlachetność brzmienia, słyszał głos Beatrycze i widział obrazy, o których mówiła. Jednak przynajmniej raz w tygodniu spotykali



się tak jak dawniej, nie poruszając w ogóle tematu Księgi, co ją we dwoje, a właściwie w trójkę tworzyli.

Na ten dzień, kiedy Lucia stanowczo zatrzymała sinióra na progu, przypadł właśnie ów nietwórczy, zwykły ludzki wieczór. Tydzień wcześniej i dwa pan Aligheri także nie widział Beatrycze, wyjeżdżała na wieś, a potem zaczęła niedomagać, przeziębila się czy zmęczyła za bardzo, w każdym razie nie wstaje od tej pory i jako dobrze wychowana panienska nie przyjmuje w przepeconym neglizu przyjaciela czy kawalera, wszystko jedno, zawsze to mężczyzna. Siniore powinien rozumieć takie drobnostki. Nie będzie mu się tłumaczyć subtelności kłopotliwej dla kobiety sytuacji, w męskich oczach trzeba być zawsze doskonałą, jakże przewodniczka po niebiańskich ostępach mogłaby mieć przyspieszony oddech i wilgotną skórę zamiast nieskazitelnie czystej jak firmowa porcelana powłoki; po śmierci także powinna pozostać krystalicznie różowa, szpetne wybroczyzny zdarzają się tylko złym babiszonom, a najczęściej wariatom albo zmarłym podczas rozpustnej uczty, ale co to za myśl, panienska w sam raz choruje tak ciężko, trzeba szybko przegnać złe przeczucia, żeby nie wypowiedzieć ich w złą godzinę.

– Czy to naprawdę pana obchodzi, siniore? A może chce pan się tylko upewnić, czy dostanie jutro znowu swą porcję słów?

Gdybyż Lucia mogła zrozumieć to wszystko, co przed chwilą wypowiedziała! Znowu mówił za nią ktoś inny, może niewidzialny, kto tędy przechodzi z polecenia panienski albo siły, której jeszcze nikt nie nazwał, pełno pewnie jest takich duchów pogranicza, istot nie do końca pomyślanych lub wcielonych przez stwórcę. Słowa dusiły starą kobietę tak jak kaszel panienskę. Lucia słyszała go we śnie i podczas przechadzki po rynku. To niemożliwe! Krzyczy gdzieś w środku ta przeciwna, jasna strona, uwięziony lęk, który zawarł się w twierdzy jak oblężony przez wroga lud.

To nie może się stać! Trzeba dokończyć książkę, choćby siniore miał tu stać latami. Weźmie do ręki pióro i będzie mnożył twe kręgi, Beatrycze, dzielił na warstwy i zakątki, bowiem i w wyobraźni każdy musi mieć swoje miejsce, wróg i przyjaciel, człowiek mały i dostoyny, tak jak w wielkim przestronnym domu, gdzie dla nikogo nie brakuje krzesła ani powietrza, tylko zamiast złotych monet dźwięczy muzyka, którą wita się tu gości jak treścią sprawiedliwego wyroku.

### Trans (III)

Pan Marek postukał się palcem w czoło, wybałuszył oczy, jak zwykle w takich sytuacjach, po czym obciągnął wyblakły sweter i rzekł poważnie:

– Oni, wie pan, wszyscy mają kręcka. Jedni od denaturatu, inni piją ruskie perfumy, a cała ta banda brudzi tylko wokół sklepu.

– Widziałem – odparłem obojętnie, wkładając do kieszeni kurtki dwie butelki piwa „Jeziorko” oraz torebkę orzeszków ziemnych solonych w kraju. Te w puszkach, zdaniem pana Marka, pochodzą z przemytu i w ogóle są przeterminowane, więc dlatego ich nie bierze z hurtowni, po co mu kłopoty, ze sprzedaży piwa i cukru wyżyje z rodziną, pracując te dwanaście godzin na dobę.

– Smakuje panu „Jeziorko?” – zapytał z dwuznacznym uśmiechem. Pomyślałem, że chce mnie namówić na jakiś droższy gatunek, pewnie na zapleczu zalega parę skrzynek. Nie ma głupich! Od wielu miesięcy przestałem już wyczuwać różnicę między znakomitymi markami zachodnimi a rodzimym sikaczem, jednak stęchły smak miejscowego „Jeziorka” rozpoznałbym nawet w najgłębszym delirium. Cóż, nie było mnie wtedy stać na nic lepszego.

– Niezbyt – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Ale jestem lokalnym patriotą i popieram tutejszy browar.

Sprzedawca zakrzuszył się ze śmiechu przeżuwaną dotąd z namaszczeniem godnym byczka-medalisty kanapką. Zazwyczaj rechotał z byle powodu, opowiadał dowcipy z brodą i cieszył się, gdy podziwiano jego elokwencję. Miałem ochotę powiedzieć mu jakiś komplement, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Chciałem tylko dowiedzieć się nareszcie, gdzie mieszka Wiktor, zwany Kozą od długiej, splątanej i siwej brody, niezmiennie mokrej i cuchnącej pianą „Jeziorka”. Człowiek ów interesował mnie od pewnego czasu i nie umiałem oprzeć się wrażeniu, że podziela moją fascynację, gdy przypadkiem spotkaliśmy się w sklepie.

Dziwne, ale nie natknąłem się na tego staruszka w żadnym innym miejscu, choć pilnie wypatrywałem zniszczonego płaszczka w jodełkę i w parku, gdzie gromadzą się o świcie spragnieni pijaczkowie, i w ogródku taniej piwiarni, nie mówiąc już o bibliotece, targowisku i przychodni rejonowej. Nigdzie ani śladu Kozy! Nie prowadziłem zresztą systematycznych poszukiwań, po powrocie z zakupów siadałem w najcieplejszym kącie, marząc o lecie. A gdy nadeszło niespodziewanie, myśl o legendzie, którą chciałem urealnić niczym najpiękniejszy sen schwytyany w siatkę na motyle, uciekała nad rzekę, na pokłady płynących nią ku morzu okrętów.

– Dziwię się panu – zaczął znowu sklepikarz – dlaczego pan tkwi w tej okropnej dzielnicy. To przecież koszmar mieszkać po sąsiedzku z tymi mętami. Sami złodzieje i renciści alkoholowi.

– Tez ludzie – mruknąłem. – Wszystko mi jedno. Niczego nie posiadam, cóż więc mogą mi ukraść? Ani samochodu, ani drogiego telewizora. Biedak jak i oni. A książek nie czytają.

– Pewnie nie – zgodził się pan Marek i lekko zerknął na zaplecze. Doskonale znałem ten odruch. Zbliżała się burza rodzinna.

Małżonka mego rozmówcy musiała dostrzec, że zagadał się z klientem, miast przygotowywać następne partie towaru do sprzedaży, grzebać w kartonach, wypisywać ceny i ustawiać na półkach słoiczki z konserwową marchewką. Kiedy towarzyska wymiana zdań trwała zbyt długo, pani Basia, potrząsając dumnie blond fryzurą, wkraczała bojowo na oficjalny teren wymiany towaru na gotowiznę i patrząc srogo na małżonka, wydawała mu milczące polecenia.

– A poza tym – dodałem – stąd wszędzie blisko. Na Starówkę i na dworzec. Do tramwaju i

nad rzekę. To dobra, stara dzielnica. Znam tu każdy śmietnik i płytkę chodnika.

– Nie chciałby pan mieć własnego domku?

– Może kiedyś... – urwałem, bowiem do sklepu, jakby na moje życzenie, rześko wkroczył Koza.

Nie należał do stada obszcymurów, brał, tak jak i ja, towar do domu, niosąc go ostrożnie w czystej siateczce. Pachniał tanią wodą kolońską, ale paznokcie miał porządnie opiłowane. I jako jedyny nie był wypędzany surowym spojrzeniem na ulicę natychmiast po dokonaniu zakupów. Choć swoją drogą rozumiem panią Basie, w sklepie jest bardzo ciasno. Ale Koza mógł postać sobie przy ladzie jak długo chciał, zanim ja jeszcze dostąpiłem tego zaszczytu.

Przypadkiem dowiedziałem się, czym się zajmuje. Nie mogłem w to uwierzyć, ale kiedy sama sklepowa pokazała mi hafty i wyszywanki, musiałem zaufać zmysłom. Dostała te serwetki i obrusy miast zapłaty za piwo, a że spodobały się bogatszej klienteli, Koza od czasu do czasu pozostawia parę sztuk na sprzedaż, podobno schodzą lepiej od pospolitej gumki do majtek.

Owszem, dziwny to był sklep, ale nie takie rzeczy się wtedy widywało. Ja zaś wiedziałem, że tylko tu mogę spotkać Kozę, a niebawem nadejdzie dzień, kiedy porozmawiamy długo i szczerze. Treść tego dialogu drzemała gdzieś we mnie głęboko, szepcząc, że ujawni się w odpowiednim momencie. Kobiety? Nie, nawet na nie nie patrzył. Malarstwo? Poza swoim dzierganiem świata nie widział. Więc co?

– Pojechałbym na grzyby – westchnął pan Marek, kiedy tak staliśmy obaj przy ladzie, Koza i ja.

O jednego za dużo, jak mawia pani Basia, twierdząc, że do kontuaru zawsze musi być wolne przejście. Klient powinien widzieć towar w całej okazałości, opakowanie wśród innych torebek i puszek, żeby wiedział, czego potrzebuje. I oto cała filozofia handlowa pani Basi. Sprzedawca mechanicznie podaje artykuły, wcale nie musi ich znać ani zachwalać, ludzie i tak wszystko kupią.

– Chyba już tylko na gołąbki – skomentowałem bez przekonania. Lato skończyło się tak samo szybko jak nadeszło, a pan Marek wciąż nie miał czasu na leśny wypad. Zresztą odrobinę paliwa, którą by zużył, żona i córka wymawiałyby mu parę tygodni, gdyby odpowiednia ilość grzybów nie została znaleziona.

– Znam takie miejsce na prawdziwki – rozmarzył się sprzedawca. – Trochę daleko od drogi, ale przeleciałbym w parę minut. Nikt tamtędy nie chodzi. Grzyby się zmarnują...

– Pewnie zbiorą je dzieci ze wsi – wtrąciłem.

– Skądże! To najprawdziwsze uroczysko.

– Z czarownicami tańczącymi o północy? – zaciekawiał się Koza i nagle ośmielony, omiół wzrokiem ponętną sylwetkę pani Basi, która z ciekawością przysłuchiwała się rozmowie. Nigdy tego nie robił! Nie było zresztą szansy, by sklepowa mu odpowiedziała. Jeśli wymówiła coś więcej poza „dziękuję” i „proszę”, uchodziło to za przejaw nadzwyczajnego humoru Szefiny, jak zwracał się doń czule małżonek.

– Może... kto to wie! – Pan Marek miał wyraźnie ochotę się napić. Czasami zapalał mu się w oczach wesoły ogień trzpiota, z którym to konie kraść i polecieć na księżyc. Ale światło to szybko gasło, gdy trzeba było wracać do codziennych obowiązków.

Postanowiłem nie dopuścić, aby ulotniła się nagle atmosfera porozumienia między mną a Kożą. Zaczął właśnie w szczególności dla siebie sposób miąć siatkę. Jakby nerwy odmawiały mu posłuszeństwa. Może znudził się już rozmową o wszystkim i o niczym? Korzystając z wejścia kolejnych klientów, mrugnąłem do pana Marka i pociągnąwszy Kożę za rękaw, wprowadziłem ze sklepu.

– Chodźmy do baru – zaproponowałem.

– Piję tylko w domu – odrzekł bez przekonania i ruszył za mną ku rzece, gdzie na starym statku pasażerskim urządzono piwiarnię. Narzut nie był tam wysoki, ale kilka procent marży i

tak skutecznie odstraszało pospolitych pijaczków. Przychodzili tu więc mężczyźni jak na naszą dzielnicę majetną i dobrze w życiu ustawieni – ślusarze i mechanicy samochodowi, a po godzinach pracy także kierowcy i taksówkarze.

Usiedliśmy w salce pod pokładem, na zewnątrz było zbyt chłodno. Chciałem zapłacić barmanowi za oba litrowe kufle, które zamówiliśmy, ale Koza wyciągnął z kieszeni zmięty banknot i uiścił połowę należności. I wtedy zaczął opowiadać, przerywając na długie minuty, jakby nie chciał popełnić błędu, jednocześnie bojąc się ominąć jakiś ważny szczegół.

Od dziecka czułem, że pewnego dnia przydarzy się coś niezwykłego i choć wiodło mu się nie najlepiej, nie przestał w to wierzyć. Nie zdobył wykształcenia, mimo że bardzo tego pragnął. Ożenił się też nie z tą kobietą, którą kochał. O, przed tamtą nie musiałby ukrywać swego skarbu, ona może pomogłaby użyć go we właściwy sposób. Właściwie Koza był zadowolony z tego znaleziska, cóż, nie każdemu szczęście dopisuje na tyle, by na śmietniku, specjalnie się nawet nie starając, odnajdywał zabytkowy kielich. W pierwszej chwili pomyślał, że to rabusie, ograbiwszy kościół, ukryli naczynie za pojemnikiem na śmieci, nie bardzo wiedząc, co zrobić z drogocennym przedmiotem. Trudno dziś sprzedać rzeczy związane z liturgią, żaden ksiądz kradzionych nie kupi, toteż Koza postanowił pójść najpierw do proboszcza, aby się dowiedzieć, czy w jakiejś zaprzyjaźnionej parafii nie było ostatnio włamania. Oczywiście zabrał kielich z sobą; od początku czuł potrzebę odnalezienia jego właściciela i równocześnie chciał podzielić się niewidzialną zawartością – a był przekonany o jej istnieniu – z odpowiednimi osobami. Poruszał tak śmiesznie bródką, kiedy chciał podkreślić, że owa tajemnicza treść należy się tylko wybranym, iż ośmieliłem się zapytać, czy i ja mógłbym do nich przystąpić. Popatrzył na mnie z powagą i powiedział:

– Sprawdzę to dziś w nocy i powiem panu jutro w sklepie!

Patos tego zdania zupełnie nie pasował do sytuacji: siedzieliśmy przy piwie wśród kilkunastu innych facetów, którzy pociągali powoli z kufli, paląc papierosy do samego końca, aż dym żółcił paznokcie. Jeden gość wrzeszczał przez drugiego i dlatego pewnie żaden z ciekawskich szoferów nie podsłuchiwał naszej rozmowy. Dopiero by było, gdybym miał tu jeszcze uchodzić za poszukiwacza skarbów!

Proboszcz obejrzał kielich krytycznie, wzruszył ramionami i wydał opinię niekwestionowaną – nie trzyma oto w żadnym razie naczynia liturgicznego, gdyż byłoby ono pokryte odpowiednimi symbolami, nie zostało też wykonane ze złota, więc nie przedstawia większej w a r t o ś c i . Ktoś wyrzucił na śmieci jeszcze jeden niepotrzebny rupieć.

Koza poczuł się urażony tym werdyktem. Zdażył polubić swój kielich i gdyby osobnik całkiem świecki ośmielił się go obrażać, dostałby po uszach. Nie żeby księdzu uszło to płazem, nie ma tak dobrze, ale brutalną ingerencję należy w tym wypadku wyeliminować. Zemsta musi być wyrafinowana. Przeszanie się dawać w niedzielę na tacę i już. No bo czemu proboszcz odmówił przyjęcia tak pięknego daru? Może dlatego, że czasza jest odrobinę pogięta? Przed wizytą u kolejnego eksperta Koza postanowił ją naprawić. Wziął mały młoteczek i szmatkę, a że zawsze był zręczny, szybko wyprostował delikatną blachę. Obejrzał nawet efekty swej pracy przez szkło powiększające i zmartwił się trochę, gdyż spostrzegł nieznaczące zarysowania. Nie uszły one także uwadze obdarzonego bystrym wzrokiem kustosa Muzeum Rzecznego, który pozwalał hafciarzowi urządzać w przedśionku owego przybytku wystawkę prac. Opłacało się to obu stronom, gdyż turyści zagraniczni nabywali z przyjemnością makatki z wizerunkiem ratusza albo sylwetką żaglowca. Przyszłość przyjaźni Kozy z muzealnikiem stanęła jednak pod znakiem zapytania, kiedy i tu kielich oceniono jako bezwartościowy falsyfikat, zręcznie wprowadzicie podrobiony, ale z niewłaściwego materiału, starożytni Rzymianie byli przecież miłośnikami sztuki i dbali o każdy detal.

Koza trzasnął więc misternie rzeźbionymi wrotami i osłaniając kielich kurtką, bo właśnie zaczęło padać, pobiegł do domu. Odtąd coraz bardziej dbał o swój skarb, polerował go pastą do czyszczenia samowarów i platerów, którą pod nieobecność żony wyjął z kuchennej

szuflady; okrywał miękką ściereczką i na różne sposoby próbował wywabić brunatną plamę z nózki.

Pewnego razu zasnął przy blejtramie do wyszywania obrazów, wpatrzony w połyskujące kamienie, które zdobiły podstawkę i zewnątrz czaszy. Zaczęły migotać bardziej niż zwykle, a potem zgasty i Koza zapadł w dziwny sen. Widział w nim spragnionego człowieka wyciągającego ręce po ten właśnie kielich. Ów mężczyzna leżał w staroświeckim łożu z baldachimem, oddychał ciężko i majaczył. Obok posłania stała ruda kobieta z koroną w ręku, rozpędzając gorącym oddechem widmo naczynia. Chory zwijał się z bólu i krzyczał, błagał o litość, wreszcie zaczął modlić się w nieznanym Kozie języku. Nie był to angielski, niemiecki, ani też rosyjski, włoski czy francuski – te na pewno zostałyby rozpoznane po paru wyrazach bądź zdaniach, nie na darmo ogląda się telewizję. Modlitwa brzmiała monotonna i zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Koza chciał ją przerwać, ale nie wiedział, jak to zrobić. Nie mógł zatkać uszu, bowiem trwał w tym śnie jako aktywna jego część, konstruktywny element; czuł, że bez niego obraz prysłby w najmniejszej drobinie czasu, a wraz z nim uleciałaby w niebyt twarz cierpiącego mężczyzny, który tak pragnął napić się wina z kielicha.

– Dlaczego wina? – spytałem.

– To część rytuału – odrzekł jakby cudzym głosem Koza.

– Jak wyglądał ten człowiek? – zażądałem szczegółowego opisu.

I po paru chwilach już wiedziałem, kogo należy szukać. Nie miałem jednak pojęcia, czy w tej chwili jego dusza wędruje w kimś z miliardów ludzi i zdumiałem się, jak bardzo od tamtych spokojnych wieków rozszerzył się świat. Nie podbije go już mieczem wielki król, trzeba przymierzy, rokowań, zdrady, wojen na niby i wreszcie tych prawdziwych, które nie przynoszą rozstrzygnięcia.

Sen zakończył się ostrym dźwiękiem, to żona Kozy zamykała drzwi, wychodząc do pracy. Przeziębł się wtedy, siedząc w bezruchu całą noc, no i doprawił się jak rzadko. Przez całe dwa tygodnie choroby kielich nie ukazywał się w snach, stał sobie spokojnie na półce i dopiero po wizycie na posterunku policji znów się uaktywnił. Funkcjonariuszka odpowiedzialna za poszukiwania wartościowych przedmiotów także nie dostrzegła w znalezisku Kozy niczego godnego uwagi. Stwierdziła, iż w niektórych sklepach dodaje się takie buble klientom do dziesięciolitrowych butli wina, żeby poczuli się jak starożytni bogowie, ale ona się na tym zna i nie da sobie robić głupich kawałów. Niech no jeszcze raz zobaczy podobne szkaradziejstwo na swoim biurku, a zawezwie posterunkowego Michała, on znakomicie radzi sobie z natrętami, a kiedy zawiodą wszystkie cywilizowane metody, po prostu zamyka taki element na dwadzieścia cztery godzinki. Bez chleba i wody, tylko o zupie marchwiance.

Tak mawiał posterunkowy, który nie budził w nikim strachu, tak jak nasz proboszcz bożej bojaźni, a kustosz miłości do sztuki. To już taka dzielnica, skomentowałby pan Marek, gdyby znał tę historię. Ale nie widziałem potrzeby mu jej opowiadać.

Pragnąłem jak najprędzej zobaczyć kielich Kozy. Zaprosił mnie jednak dopiero na sobotę, tłumacząc mętnie, że i tak spotykamy się w sklepie, a wyszywanie jest bardzo pracochłonne. I gdy tylko opróżniliśmy kufle oraz przyniesione przez nas butelki „Jeziorka”, szybko się pożegnał, nie opowiedziawszy już treści snu, który nastąpił po awanturze w komisariacie.

Punktualnie o dziewiątej rano, kiedy już wyspałem się i ochłonałem, ruszyłem do sklepu z ostatnim banknotem w kieszeni kurtki. Nie zapomniałem także o butelkach na wymianę, które, włożone do ogromnej torby, postukiwały o siebie, jakby chciały uchwycić taneczny rytm. Przez prawie pół godziny stałem przy ladzie, udając, że przyglądam się jabłkom i cebuli. Przedtem nigdy nie kupowałem w tym sklepie owoców, więc teraz pan Marek mógł żywić nadzieję, że aby uprościć sobie sprawunki, będę robił je u niego kompleksowo, tak jak wielu innych, którym już wszystko jedno, co i jak jedzą. Ale ja nie wziąłbym przenigdy jabłek z takimi plamami ani zielonych mandarynek, umiem wy b i e r a ć najładniejsze okazy,

jakby to miało zrekompensować mi choroby i inne przykrości. Niektórzy sprzedawcy pozwalają mi grzebać w skrzyniach, inni gniewnie chronią swą własność przed dotknięciem kapryśnego klienta, a większość tylko patrzy groźnie, gdy zdemaskuję ich bezradność wobec ludzkiej ciekawości.

Koza nie pojawił się ani tego, ani następnego dnia. Przez cały tydzień kręciłem się wokół sklepu aż do południa, wciąż nie znalazłem przecież adresu, o który chciałem zapytać pana Marka. W sobotę wybrałem się po „Jeziorko” dwa razy – rano i po południu. I to nie przyniosło rezultatu.

Dopiero w niedzielę usłyszałem nieśmiało pukanie do drzwi. Otworzyłem niechętnie, bo właśnie miałem szykować sobie obiad. Sałatka grzybowa pachniała znakomicie, wystarczyło podgrzać serdelki, aby zasiąść do stołu, z którego mrugały do mnie bułki posypane nasionami słonecznika. W progu stała zwiędła kobiecina z siatką. Tę poznałem od razu – idiotyczny deseń: kolorowe baloniki na białym tle. Była wystrzępiona koło uchwytów. W niej to Koza zawsze nosił butelki. A jego żony nie miałem przyjemności wcześniej poznać.

– Mąż prosił, żeby to panu przynieść – powiedziała smutno.

– Dlaczego sam nie przyszedł? – spytałem, a ona rozszerzyła oczy ze zdumienia.

– To pan nie wie?

– Nie.

– On... – zasłoniła twarz dłońmi i umilkła. Musiała zostawić na dole otwarte drzwi, bo strasznie wiało.

– Wyjechał? Umarł? Proszę powiedzieć! – Byłem zakatarzony, więc chciałem jak najszybciej zakończyć rozmowę.

– Pan nic nie rozumie! – Rozpłakała się i zbiegła po schodach, a ja zwyczajnie zamknąłem się sam z sobą i dokończyłem przygotowywanie posiłku. Wciąż celebrowałem go tak, jakbym jadał z najbliższymi. Nasycony, rozgrzany piwem, przypomniałem sobie o siatce.

Była tam, gdzie ją zostawiłem. W przedpokoju na starym krześle. Udrapowała się na znajdującym się wewnątrz przedmiocie nad wyraz troskliwie. A kiedy zdecydowałem się wyjąć kielich i obejrzeć go przy świetle, rozstąpiła się niczym posłuszna wtajemniczonym brama baśniowego skarbcza.

Pozostawiłem Graala na stole wśród brudnych talerzy, butelek i szklanek po piwie. Nie obraził się na mnie, ale rozgorzał wszystkimi kolorami. Od jutra będzie mi służył swą złocistą głębością, ja spełnię każde jego życzenie, a piana „Jeziorka”, spływając po uświęconych brzegach, przyniesie nowe sny. Czy zdołam je opisać, czas pokaże.

Nie będę pytał mego gościa, co uczynił z Kozą. Pan Marek przecież i tak powie:

– Oni wszyscy mają kręćka...

## Winy prowincjonalne

Wiedziony dobrą i tylko dobrą myślą, jak nakazuje nasz święty zawód, zwracam się do Was, Czcigodni Ojcowie, abyście rozpatrzyli moją prośbę i przychylili się do słusznej moim zdaniem propozycji. Od lat wykonuję bez zarzutu obowiązki spowiednika najniższej kategorii, odpuszczając winy zaliczane do niej niezmiennie przez kilka pokoleń.

Mym zadaniem jest rozpoznać, właściwie ocenić i zalecić odpowiednią pokutę wszystkim grzesznikom prowincjonalnym, którzy przestąpią próg mego konfesjonułu i dysponują odpowiednią sumą, aby opłacić moje klęczenie. Pobieram za godzinę urzędowania stawkę perły i potrącam sobie procent według rozdzielnika; książka przychodów znajduje się zawsze na półce i każdy kontroler duchownych powinności może ją sprawdzić. Jak i inni mam pewne kłopoty z niepełnymi kwadransami, kiedy klientowi nagle zabraknie grzechów, ale zawsze można mu palnąć mówkę dydaktyczną, opowiedzieć jakąś historyjkę o ukaranym przez los niegodziwcu, co to nie chodził do spowiedzi i stracił mowę oraz pamięć równocześnie, jakże więc mógł wywiązać się później z religijnego obowiązku? Mimo wszystko radzę sobie, jak mnie nauczono w akademii, przestrzegam też surowego przepisu, że kapłan-pośrednik musi klęczeć na gołej posadzce, bez butów, skarpetek i kalesonów, szczęściem zimy coraz lżejsze, więc nieczęsto dostaję zapalenia nerek bądź pęcherza. Gdybym miał zresztą moczowe narządy nie w porządku, zdyskwalifikowano by mnie przed pierwszą spowiedzią. Cóż to byłoby za duchowy przywódca, który biorąc na swoje barki część cierpienia grzesznika, sikałby przed siebie na świętą podłogę konfesjonułu!

Toteż nie taję, że popieram stanowczo decyzję Uczonych Meżów, aby wśród nas pozostali tylko najbardziej zahartowani, twardzi i odporni na ludzkie gładzenie. Ileż to razy chciałoby się powiedzieć penitentowi, żeby wynosił się do wszystkich diabłów i nie zanudzał historią, która skończy się dokładnie według scenariusza, a została opisana w świętych księgach tysiąc razy. Cóż, etyka zabrania! Musimy składać pobożnie ręce i krzywić się z obrzydzeniem, jakbyśmy o takim prowincjonalnym uchybieniu słyszeli po raz pierwszy, a świat razem z nami.

Czcigodni Ojcowie! Wiadomo Wam, że mój okręg obfituje w szczególnie wątle, ale za to uciążliwe grzeszki. Wstaję rano i kogo to widzę w poczekalni? Pijaczynę, który opluwa chodniki z godną podziwu konsekwencją. Wyspowiada się, zapłaci tyle, co proch z najtańszej perełki, a oddaje gazy raz po raz, wątroba mu nawala, na takich ani kadzidło nie poradzi. A zaraz potem następny trefny klient – dozorca z naszego podwórka. Za mało czasu poświęca na sprzątanie, ma tego pełną świadomość, obiecuje poprawę, oczywiście nic z tego nie wynika, tylko ja muszę przez niego wstawać o piątej rano, pijaczka mógłbym przecież rozgrzeszyć awansem na kilka dni, on nie sprawuje urzędu, a tak zaczynam skoro świt i wysłuchuję ze szczegółami, czego to dozorca nie znalazł na ulicy: jego małe, małe i ciasne sumienie nie może sobie wybaczyć, że schował do kieszeni portfel ozdobiony inicjałami, co innego monety, te trzeba podnieść i spożytkować z czystego rozsądku, natomiast w tamtym przypadku można było znaleźć właściciela, choćby wywiesić ogłoszenie w kiosku, pani Lucynka zgodziłaby się na pewno, ale suma między czarnymi płatkami luksusowej skóry zdawała się tak ponętna! Nie wiedziałem więc, to jest... nie miałem pewności, czy nie należy odesłać dozorce do specjalisty od win średnich, ale patrząc na popękaną skórę na rękach mego grzesznika, a potem na zniszczone buty, zgodziłem się za całą, regularnie uformowaną perłę wysłuchać spowiedzi do końca. I kiedy następnego ranka w oczach dozorce zamigotało szczęście, a zgodnie z moim zaleceniem liście zostały tak dokładnie uprzątnięte, że do samego południa można było bez obawy szybko maszerować chodnikiem, wiedziałem, iż mimo wszystko nie zgrzeszyłem pychą, pomagając prostemu człowiekowi zrzucić brzemię.

Weźcie to pod uwagę. Czcigodni – służę właśnie tym niedoskonałym, skromnym i prostym umysłem, nie bacząc na pogodę, własne przekonania czy skłonności. Pracowity dzień, godzina po godzinie opisany w księdze, jest wystarczającym dowodem mej sumiennosci. Między szóstą rano a pierwszą po południu, kiedy mam najlepszą kondycję, nikt jednak nie przychodzi. Kręcę się po konfesjonale, ścieram kurze i poprawiam to sztuczne kwiatki, to świecę na lichtarzu, stać mnie tylko na jedną dziennie, ale to nie szkodzi, w mroku grzesznik bardziej boi się utracić duszę. Na myśl, że długość życia pozagrobowego w dużym stopniu zależy od mych wysiłków, klient skupia się i szczerze wszystko wyznaje. W takich chwilach czuję, że wybrałem służbę zgodnie z powołaniem i mówię:

– A teraz podziękuj sam sobie, człowieku. Za co? A za to, że zapewniłeś swej duszy przynajmniej sto lat życia w raju. Pewnie nie wiesz, że tamtejsze lata są wielokrotnie dłuższe od naszych, a władające jego złotymi kręgami duchy mogą jeszcze bardziej rozciągnąć czas, jeśli ktoś żył przykładnie na naszej planecie i nikomu nie czynił krzywdy. Wolno im także, ale w wyjątkowych wypadkach, odtwarzać dla wybranych najszcześniejsze chwile, jakie im pozostały w pamięci. Im bardziej czysta dusza wchodzi przez rajską bramę, tym większe szansę ma tego zaszczytu dostąpić. I zachować pamięć na długie, długie lata. A jaki los spotyka tych, którzy omijają dom spowiednika? Sam nie odważyłbyś się zadać tego pytania, człowieku. Ale zdradzę ci tę wielką tajemnicę. Takim potworom wymazuje się po śmierci, oczywiście stopniowo, najlepsze wspomnienia, aż w końcu pozostają same tylko obrazy klęsk i nieszczęść. Delikwent błaga, aby i to mu pozwolić zapomnieć, wreszcie nie posiada już zupełnie nic. Dobrego ani złego, przyjemnego ani bolesnego. Wcześniej utracił ciało, teraz całą zawartość pamięci poza obojętnymi obrazami, które go wcale nie dotyczą. Krąży po zaświatach wypruty z dodatnich i ujemnych znaków, doskonale zerowy, nie potrzebuje zmysłów smaku ani powonienia, języka nawet, gdyż i rozmawiać z innymi cieniami nie musi. A kiedy znudzi mu się oglądanie mdłych scenek, własny bezwład i samotność, może wystąpić o zbyt wczesne ostateczne unicestwienie. Zazwyczaj nie odmawia się nikomu tej łaski, z wyjątkiem może najgorszych zbrodniarzy. Nic to jednak przyjemnego zostać wessanym do wnętrza wielkiego słoja, w którym odwirowuje się boską substancję do ponownego wykorzystania. Ludzkie pierwiastki duchowe rozpadają się w pył i tak kończą zatwardziali grzesznicy...

Czasami wyobraźnia bardziej mi służy, Czcigodni Ojcowie, wtedy mowa trwa i dziesięć minut, a klient wraca do domu lub pracy podbudowany i przerażony równocześnie. Wymyśliłem tak groźny opis miejsc, gdzie to niby dusza udaje się po zakończeniu ziemskiej wędrówki, że moi ubodzy klienci z pewnością odejmą sobie i rodzinom od ust, byle tylko opłacić spowiedź. Z mego konfesjonatu wpływy do kościelnej kasy powinny się podwoić.

Ciągle robię także inne postępy – wczoraj przed południem ułożyłem sto modlitw indywidualnych, które liczą się przecież bardziej niż standardy z pierwszej lepszej książeczki do nabożeństwa. Już dziś towar ten znajdzie się w sprzedaży. Błagania prozą będę ceniał po pół perły, a pieśni dziękczynne po jednej. Niech płacą ci, co ich jeszcze stać na wdzięczność. Zastanawiam się nadto nad innymi tematami. Wiem, że muszą wiązać się ze spowiedzią i jej celem, napiszę więc parę setek pieśni pokutnych, niezbyt wyrafinowanych, mają však dotyczyć codziennych, pospolitych grzeszków i dawać odpowiednią dla nich ekspiację. Do tej pracy przystąpię zaraz po ukończeniu niniejszej petycji, Czcigodni Ojcowie.

Mam też osiągnięcia bardziej spektakularne, cenione z pewnością przez niebo i chciałbym o nich poinformować Wasze Wielebności. Grasował w naszej dzielnicy wyjątkowo złośliwy typek. Niby nie robił nic złego, ale siał złowrogi ferment w umysłach dzieci. Codziennie straszył je czym innym – deszczem księżycowym albo mgłą, która pochłania dziewczynki, jeśli nieopatrznie wyjdą na dwór w złą pogodę podczas pierwszej menstruacji; rychłą podwyżką cen gumy do żucia, cukierków i soczków owocowych, epidemią wściekliczny wśród komarów żyjących nad rzeką, która przepływa przez nasze miasto; tę ostatnią nowinę



rozgłosił w tradycyjną noc puszczenia okręcików z gazet na wodę, a rodzice dziwili się niezmiernie, że ruchliwe zazwyczaj potomstwo zdecydowanie straciło ochotę na tę zabawę, raczej niewinną i bezpieczną, bo nasza Duńka po ostatnich suszach jest bardzo pływka, a i toczy się mniej wartko po kamieniach ku Świętemu Wodospadowi.

Wiele jeszcze podobnych sytuacji sprowokował ów mężczyzna, ale kiedy przyszedł wreszcie do spowiedzi, miał głębokie poczucie winy, choć jego figle przyniosły więcej pożytku niż szkody. Dzieci siedziały w domach i odrabiały pilnie lekcje, nie hałasowały po klatkach schodowych w obawie przed demonem ciszy, który miał załęgnać się tysiącem wcieleń w piwnicach i studzienkach kanalizacyjnych, żeby pod nieobecność rodziców stukać w podłogę lub nawet pożerać najbardziej rozkrzyczane maluchy. Także ucieczki z domów przestały spędzać sen z powiek dzielnicowemu, tylko właściciel klubu młodzieżowego, gdzie dotychczas gromadziły się najbardziej aktywne nedorostki, narzekał na frekwencję w lokalu i żałował, że nie ubezpieczył się od bankructwa.

Nie byłem więc pewien, czy nie zdieram sobie daremnie skóry na kolanach, uznając pożyteczną dla społeczności działalność za lekką przewinę. A tamten gość gadał, więcej, obiecywał zaprzestać swego procederu od zaraz, żałował szczerze i namiętnie, oblewał się łzami i chciał natychmiast nabyć tonę czekolady, żeby obdarować nią dzieci z naszej dzielnicy jeszcze przed świątecznym jarmarkiem, kiedy to dziadkowie i babcie wydobędą z pończochy ostatni grosz dla wnuków, rezygnując z obiadów, byle tylko sprawić malcom przyjemność i nasycić nieokiełznany bez dobroczynnych słodczy dziecięcy apetyt.

Stwierdziłem, że nie ma potrzeby aż tak się kajać. Próbowałem uspokoić klienta, bowiem przed konfesjonałem czekało kilkoro nastolatków najwyraźniej pragnących zrzucić ciężar erotycznych rojeń na swego spowiednika. Wolno mi je rozgrzeszać, póki nie staną się czynem, gdyż wtedy automatycznie przechodzą do grupy grzechów średnich. Nie mogłem też dopuścić, aby młodzi penitenci rozpoznali swego wroga; w świętym przybytku doszłoby ni chybi do rozróby. Zażegnałem niebezpieczeństwo przez przeniesienie roli spowiednika. Upoważniłem jedną z dziewcząt, aby zamiast mnie wysłuchała po kolei wszystkich młodzieńców, a sam tymczasem uporałem się ze skruszonym opiekunem dziecięcej niewinności, jak go potem w żartach nazywałem. Obiecał odwiedzać konfesjonał co parę dni, aby w sobotę zasiadać do rodzinnego obiadu w czystym na duszy garniturku, tak to określił i zaśmialiśmy się razem na pożegnanie.

Później nie otwierał się już z taką ufnością, coś mu siadło na czubek nosa, a przypominał węszącego szczurka z gęstymi wąsikami u zasuszonej górnej szczęki, kiedy więc dowiedziałem się, że został szczęśliwym tatusiem, zrobiło mi się lżej na sercu. Nie poczuwałem się oczywiście do wspólnoty w owym dziele, inspiracji do czynu prokreacyjnego ani tym bardziej namowy czy nakazu. Pozostaję w poradach rodzinnych wstrzemięźliwy aż do przesady, nie jest bowiem obowiązkiem spowiednika „przyczyniać się do naturalnego przyrostu liczby penitentów”. Zapamiętałem ten cytat z Księgi Urodzaju i będę ulegał urokowi jego mentorskiego tonu przez całą zawodową karierę.

Zapytalibyście pewnie, Czcigodni Ojcowie, czego w mej pracy nie lubię. Wiecie, że jeszcze się taki nie urodził, który nie złorzeczyłby czasem swemu powołaniu. Świat potrafi obrzydzić najpiękniejszą misję, kiedy miesza politykę do spraw duchowych. Żeby nie być gołosłownym, przytoczę niedawną aferę fałszerzy znaczków pocztowych. Za to przestępstwo grozi u nas kara obcięcia czubka palca wskazującego prawej ręki. Naznaczeni w ten sposób przestępcy do końca życia witani są na poczcie nieufnymi spojrzeniami, a listy nadane okaleczoną dłonią często gubią się przy sortowaniu.

Mieliśmy wtedy wyjątkowo kapryśnego kata. Niechętnie wykonywał pospolite wyroki, choćby ścięcie toporem, a cóż dopiero owo skracanie palca, każdy może przecież sam to sobie zrobić, kazano mu i tyle, zejdzie do piwnicy, weźmie siekierę, poleje rękę dla dezynfekcji, wreszcie machnie raz a dobrze, zatamuje krwotok i ma wyrok z głowy. Ale nie,

to zbyt proste! Zwierzchnicy wymagali publicznego wykonywania wyroków. Żyjemy w samym środku świata, więc poczta przynosi krajowi, oprócz kolei, największe dochody. Musi być zatem chroniona jak centralny bank albo Wasza siedziba, Czcigodni Ojcowie, której adresu w ogóle nie podaje się osobom świeckim, a listy tam kierowane przechodzą przez kancelarie spowiedników najwyższego stopnia.

Miałem jednak napisać, co przydarzyło mi się w zeszłym roku, kiedy nasiliło się fałszowanie znaczków. Przed wiekami zaliczono to przestępstwo do win prowincjonalnych i jak dotąd dotycząca go ustawa nie została zmieniona, lecz wielu znanych prawników uważa, że należy zaostrzyć kary choćby dla zorganizowanych gangów fałszerzy. W przeciwnym razie zasypią świat swymi produktami, poczta splajtuje, a w naszym pięknym kraju bieda przyciśnie niejedną uczciwą rodzinę, której nie będzie już stać na droższe odmiany spowiedzi: nocną w obliczu nagłej bojaźni, dla cierpiących na bezsenność, w imieniu dusz przodków, które z powodu braku certyfikatu muszą oczekiwać w przedsionku raj, wyznanie połączone z zabawą o dowolnej treści – ta forma dotyczy nie tylko dzieci – i inne.

Będzie tak jak rok temu – wzbogaceni fałszerze utworzą kolejki pod drzwiami spowiedników i nie dopuszczą do nich uczciwych ludzi, którym zdarzyło się zbłądzić i teraz cierpią, albowiem dostęp do łaski utrudnia banda złoczyńców. Potrafią oni, to szczyt bezczelności, Czcigodni Ojcowie, użyć wobec spowiednika fizycznej przemocy. Wracalem do konfesjonału po spowiedzi domowej, której udzielam świątobliwym staruszkom, dawnym klientom mego wuja nieboszczyka, on to, jak wszystkim w naszej dzielnicy wiadomo, dosłużył się po pięćdziesięciu latach pracy najwyższego w naszym fachu stopnia i jeszcze w przeddzień wiekiustego połączenia się z Naszym Panem dokonywał absolucji. Chciałbym kiedyś dorównać memu wielkiemu krewniakowi.

Wysiadłem więc z taksówki pod drzwiami konfesjonału, a tu słyszę, że mam się wynosić, bo bez kolejki nie zostanę dopuszczony. Chciałem wyjaśnić, kim jestem i uspokoić zgromadzony tłumek, następnie zaś przystąpić do wysłuchań popołudniowych. Nie było mi to dane, choć z końca kolejki ktoś zaczął krzyżeć, że rozpoznał we mnie spowiednika i próbował przywołać innych do porządku. Miałem na sobie cywilny płaszcz, to prawda, ale masa osób mnie zna i aż dziw, że nie znalazłem więcej obrońców. Dwóch osiłków wepchnęło mnie do bagażnika taksówki, natomiast trzeci, grożąc nożem kierowcy, wręczył mu równocześnie podwójną perłę i kazał jeździć po mieście przez cały wieczór, póki spowiednik nie przyjmie pierwszych dwudziestu oczekujących.

Mniejsza o to, że wskutek tej pomyłki fałszerze pozbawili się możliwości szybkiego rozgrzeszenia i nie uratowali przed obcięciem palców – wszak większość katów woli przyjąć nasz kwit niż wykonać wyrok – ale zważcie proszę, Czcigodni Ojcowie, jakie straty poniosło nasze zgromadzenie przez całe trzy doby, gdyż obaj z taksówkarzem ukrywaliśmy się przed zemstą gangu w barach piwnych. Wiadomo, pod latarnią najciemniej.

Mój konfesjonał obrzucono zgniłymi pomidorami, jajami i ostrzelano z procy obierkami z ziemniaków. Policja, jak to ludzie świeccy, nie interweniowała, póki w okolicy budynku nie pojawili się podpalacze. Napełnili jajka z gumy, dziecięce zabawki dyngusowe, benzyną i spryskali nią cały ogród, zamierzając widać spalić mnie żywcem, jeśli nie pojawię się natychmiast i nie udzielę rozgrzeszenia oczekującym bandytom. Moje życie było zagrożone! Może jestem zarozumiały, ale ten wyczyn nastających na mnie fałszerzy należało zaliczyć przynajmniej do średnio ciężkich grzechów.

Nade wszystko cenię spokój, nie oskarżyłem więc nikogo, ale wzywano mnie na posterunek i musiałem osłaniać się tajemnicą spowiedzi, nie chcąc zdradzić zawitych okoliczności sprawy, co naraziłoby mnie na kolejne straty cennego czasu. Jak ludzie mogliby uwierzyć w nieomylność mego werdyktu, gdybym ogłosił, że fałszerze mnie nie rozpoznali?

Spowiednik powinien wzbudzać respekt samym pojawieniem się w publicznym miejscu, choćby wystąpił w stroju sportowym. Tę mądrą myśl wypowiedział pewnego razu treser

psów sodomskich, nowej bezpłodnej rasy, którą można wyhodować wstrzykując samcom w jądra odpowiedni preparat z pospolitych kundli. Żyje sobie taki piesek, uczy się różnych sztuczek i wcale nie zachciewa mu się suki, nawet gdy rozpala się wczesne lato, owa przecudna pora białych wieczorów, wczesnych zachodów słońca i tańca księżycy.

Raz do roku, najkrótszej nocy, jeżeli jest akurat widoczny, satelita rozpoczyna niespokojne wirowanie, kosmiczny płas ascendentów, łamie ludziom horoskopy i zakłóca bieg czasu. Legenda głosi, że kto wtedy włączy się w taneczny korowód, odgadnie ważną tajemnicę, być może nawet będzie miał wybór, którą z nich światu ogłosić: receptę na wieczną młodość, uniwersalne lekarstwo na wszystkie choroby, języki, którymi mówią zwierzęta czy jak żyć, nie wydając ani grosza. Pewnemu człowiekowi udało się wziąć udział w takim tańcu, potem przybiegł do mnie i spytał, czy popełnił grzech. Odparłem, że wolno wierzyć w ludowe podania, jeżeli nie zaprzeczają boskiej władzy nad nami, bowiem księżycowych tańców nie ma w spisie pospolitych grzechów. Klient upierał się jednak, abym na wszelki wypadek popracował z nim choćby godzinę.

To tylko przykład, że ludzie wciąż namawiają spowiedników do przekraczania uprawnień. Można pokazywać natrętom spisy win wraz z pokutnymi cennikami, nic nie pomaga; powoływać się na regulaminy, a klienci i tak oczekują, żeby je dla nich łamać. Obrażają się czasami, jak ów sklepikarz, który dolewał wody do wina, ale ponoć wyłącznie w soboty; zaklinał się na głowę żony, że przez pozostałe handlowe dni uprawia rzetelną wymianę dóbr, tylko przed świętem skubnie ludziom parę groszy, by w niedzielę samemu się zabawić. Dowiodłem temu cwaniakowi, Czcigodni Ojcowie, zaopatrzywszy się w czwartek w butelkę wina, że kłamie, tym samym znieważając mnie jako pośrednika wieczystej sprawiedliwości. Więcej, postępuje nielogicznie, ujawniając mi tylko część wina, a poza tym naraża na stratę energii i czasu, moja praca jest przecież ważna dopiero wtedy, gdy znam całą prawdę.

Wyskoczył zaraz na mnie z pyskiem, ot, taki prymitywny filozof, że całości nikt jeszcze nie ogarnął, nie urodził się taki, który tego dokona, nawet bóg może przymknąć oko na chwilę, kiedy zapatrzony w ludzkie podobieństwo zaśnie lekko, kosztując tej zakazanej stwórcy przyjemności. Taki mądrył się ów pajac, zarośnięty i brudny, grożąc jeszcze, że napisze na mnie skargę. Nie wyznał jednak, do kogo.

Miałem wiele podobnych przypadków przez te lata. Radziłem sobie, pokutując za niepoprawnych grzeszników w czasie wolnym, nieodpłatnie, rezygnując z życia rodzinnego i rozrywek. Nie dosypiałem i nie dojadłem, posiwiałem ze zmartwienia, a ostatnio zacząłem łysieć. Przedwcześnie!

Nikommu niczego nie wymawiam, w żadnym razie! Chciałbym tylko prosić, Czcigodni Ojcowie, o skromny awans. Nie chcę zostać naczelnym spowiednikiem miasta ani tym bardziej generalnym rachmistrzem grzechów. Są lepsi ode mnie statystycy. Wystarczy mi zupełnie udział w zwalczaniu grzechów średniej rangi, choć marzę oczywiście o tym, by zmierzyć się z sumieniem zwyrodniałego mordercy, gwałciciela albo kanibala, przygotowując ich na spotkanie z katem. Piękna to rola usłyszeć głos skruchy zbrodniarza na chwilę przed wykonaniem wyroku, uratować temu człowiekowi życie i otrzymać z rąk kata połowę stawki zwyczajowo pobieranej za ścięcie. A młodsi od mnie i bardziej odporni na ludzkie słabostki spowiednicy niechby zajęli się moją dzielnicą. Starczy tu roboty dla trzech, a nawet dla czterech rozgrzeszycieli.

## Niewidzialne tancerki

Czekałem na ten dzień. Zostawiłem rodzinę przy stole nad moim tortem urodzinowym, mrugnąłem do Mamy bardzo ale to bardzo porozumiewawczo, sprawdziłem, czy portfel z oszczędnościami spoczywa bezpiecznie w wewnętrznej kieszeni kurtki i na wszelki wypadek zadzwoniłem do Marcina, mego przyjaciela i rówieśnika. Umówiliśmy się, że spędzimy razem ten wieczór.

Po drodze nie rozmawialiśmy, nawet nie zapaliliśmy papierosa. Samotnie chyba żaden z nas nie odważyłby się pójść do klubu „Niewidzialne tancerki”, ale mieliśmy do siebie zaufanie i nie odważylibyśmy się wycofać w decydującym momencie. Klub jak klub – nie robił na nas oszałamiającego wrażenia. Stoliki z tapicerowanymi ławkami, kolorowe oświetlenie, mało gości, bo i cena biletu nie dla każdego. Parkiet był jeszcze pusty, cóż, zjawiliśmy się zaraz po otwarciu. Spodziewałem się całego tłumu śliniących się starców, bogaczy w przyciasnych garniturach i wszelkiego rodzaju innych, godnych pogardy typów, tymczasem naliczyłem wszystkiego trzech albo czterech młodych facetów, którzy na razie interesowali się tylko swymi kieliszkami.

Zanim zdążyłem poczynić inne obserwacje, przy naszym stoliku pojawił się ni to kelner, ni to organizator zabawy.

– Jaka muzykę panowie zamawiają? – zapytał.

– To wolno wybierać? Może jest tu gdzie szafa grająca? – zakpił Marcin. Nie umiałem tak jak on szydzić, wydymać ust ani żartować przy lada okazji. Pewnie dlatego podziwiałem go przez jakiś czas, ale to potem minęło, lepiej więc wspominać dobre czasy, kiedy miało się jeszcze przyjaciela.

– Wystarczy pomyśleć. Tancerki same...

– Telepatki! Znakomicie! – Marcin z drwiącym uśmiechem przerwał gospodarzowi lokalu.

– Można to i tak nazwać, proszę pana. Coś do picia, jedzenia?

– Oczywiście! Krwisty stek i butelkę czerwonego wina, nim zaczniecie swoje sztuczki. – Marcin dumnie wypiął pierś i przeciągnął się niecierpliwie. – Jestem diabło głodny.

– A dla pana? – zagadnął kelner.

– Nie wiem...Może... lody? – odpowiedziałem.

– Wolno zamawiać wszystko. Gość już nic nie dopłaca do ceny biletu.

– Szampana. Dobrze ochłodzonego – dodałem. – Dużą butelkę.

– Przyjemnej zabawy! – usłyszeliśmy jeszcze na pożegnanie. A potem światła sceny zaczęły migać, posykiwać i jęczeć niczym torturowane żmije, podobnych odgłosów nie zdarzyło mi się słyszeć ani przedtem, ani potem. Szampan, oczywiście za słodki, wszędzie podają mi słodkie wina, jeśli nie zastrzegę, że lubię cierpki smak, wydawał mi się tak słaby, beznadziejnie cienki, jakby dolano doń pospolitej kranówki, piłem więc szybko i kiedy wstałem, by ruszyć na parkiet, poczułem mrowienie od kolan aż po stopy. Zaraz jednak minęło i zacząłem mój ulubiony taniec, który Elaine wykonywała zawsze przed lustrem w przedpokoju, gdy nie miała zarezerwowanego miejsca w szkolnej sali ćwiczeń. Moja siostra Elaine...

Był to rytm w sam raz dla mistrzyni piruetów i wysokich wyskoków, tancerki lekkiej i doskonale wyćwiczonej, toteż po paru minutach musiałem zwolnić. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem stłumiony śmiech, a czyjaś bardzo szybka ręka podała mi kieliszek szampana. Potem przysła kolej na muśnięcia i dotykanie, niby przypadkowe, twarzy i ramion. Nie potrafiłem jednak rozpoznać, ile tancerek mi towarzyszy. Jedna, dwie, trzy? Raz po raz dolatywał mnie zapach perfum. Byłbym przysiągł, że zmieszało się tu kilkanaście aromatów, od bardzo słodkich do powiewów wiatru znad czystej rzeki, ziół i kwiatów

wkomponowanych w tysiące wyobrażeń o kobiecej świeżości. Spostrzegłem, że po drugiej stronie parkietu niezgrabnie podryguje jeszcze dwóch mężczyzn. Nie byłem pewien, czy nie prezentują się tak samo niezdarne.

A potem zbliżyły się jeszcze bardziej. Chwytały za ręce, raz mocniej, raz tylko za końce palców, ramiona, obejmowały w pasie. Na chwilę. Coraz głośniejsze śmiechy dawały poznać, że i tancerki znakomicie się bawią, moim pewnie kosztem, ale niech im będzie, wspomagają mnie zawodowymi oddechami, jakby pojemność płuc zwiększyła mi się kilkakrotnie, zegar ratuszowy bił już parę razy, a ja nie zszedłem z parkietu, żaden chłopak z dzielnicy nie uwierzyłby w ten wyczyn, gdzieżby taki astmatyk działał w klubie jak w maratonie tańca i poruszał się coraz szybciej, napędzany lekkimi alkoholami, podniecany muśnięciami w kark, w usta wreszcie, ale to tak dla żartu, bowiem wieść głosi, że żadna z tancerek nie oddała się mężczyźnie. Za karę utraciłaby tak ciężko wypracowaną niewidzialność.

Podobno człowiek przyzwyczajają się do niej i wypędzany z krainy ukrytych form nie potrafiłby już istnieć. Oddalona tancerka? Nie słyszałem o takim przypadku. Może siada nocą na parapacie rodzinnego domu, wykorzystując resztę niewidzialności, żeby pożegnać się z najbliższymi. A potem, odkryta dla całego świata, ponownie ucieleśniona, błąka się w tunelach kolejki podziemnej i zbiera niedopałki, żeby za nie kupować chleb u włóczęgów; nie, lepiej niech zginie z ręki właściciela klubu, pozbawionego twarzy trupa nie pozna żaden ze świadków, skądże przychodzą mi na myśl tak koszmarnie rozwiązania, Elaine była zbyt dobra, żeby miało się jej nie powieść, na pewno jest tu najlepsza, kieruje zespołem tancerek i tylko wtedy, kiedy całkowicie mnie onieśmiela, zbliża się do mnie na jeden pocałunek.

Jestem pewien, że to ty mnie podniecasz, Elaine, jak dawniej, miałem siedem, może osiem lat, a ty wieszalaś w przedpokoju płaszcz pachnący tylko tobą, teraz maskujesz swą woń tyśiącem perfum, ukrywasz się za zapachem koleżanek, ale i tak wiem, że tu jesteś, krążysz gdzieś w pobliżu kulis, tak, dopiero w tej chwili zauważyłem, że tańczę na scenie i nie liczy się wcale brak widzów, może i oni są niewidzialni, nabierają aktorów tego przedstawienia, dysponując nawet śmiechem, którego nie słyhać, zapachem, którego nie czuć. Wykapali się w doskonałej, ostatecznej łaźni, takiej jaką chciałby odwiedzić Marcin, nie zdradzam tu żadnej tajemnicy, wszyscy wiedzą, że śmierdzi jak cap, to z powodu takich cuchnących samców tancerki niemal balsamują za życia swoje ciała, wszak w podrygach zapachy intensyfikują treść, przenikają się wtedy niezdrowe odczyny kataru i płwocin, cały parkiet w nich tonie, aż śliskie podeszwy skórzanych pantofli tracą oparcie, czyniąc piruet jeszcze bardziej ryzykownym, ale niech świadkowie myślą, że to celowe utrudnienie. Tylko tancerki nie dadzą się nabrać, one także się potykają, słyszałem przecież ów jęk, który zagłuszono muzyką.

Wtem na moją dłoń spadło kilka kropel jakiegoś płynu. Gdybym był sentymentalny, pomyślałbym, że to łzy niewidzialnej tancerki, ale smak tego dziwnego zjawiska bardziej przypominał mi deszcz, pewnie dach klubu był nieszczelny.

W każdym razie tańczyłem dalej i jak żywe stanęły mi przed oczyma obrazy zabawy w chowanego. Rodzice nie lubili, gdy kryłem się w szerokim kloszu granatowego płaszcza Elaine, przepisowego okrycia kandydatek na tancerki. I teraz też zapragnąłem poczuć na sobie jego obezwładniające ciepło. Kilka razy powtórzyłem w myślach prośbę, ale w odpowiedzi zrobiło się raczej chłodniej, a światła mocno poczerwieniały. Ktoś narzucał mi obce, egzotyczne tańce. Któryś z mężczyzn siedzących przy stolikach? Nie! Nie mieli prawa wyboru muzyki, siedząc tylko przy stolikach, obżerając się tyśiącem potraw. W klubie wyznawano zasadę: kto zawiedzie się na tancerkach, może napchać się do woli. Zaserwują mu tabletki na przyspieszenie trawienia, a dzięki innym jeszcze specyfikom nie dostanie pospolitej sraczki, no i do samego świtu może siedzieć z talerzem, jako jedynym towarzyszem zabawy.

A jeśli to Marcin przesyła zamówienia tancerkom? Żeby mnie zmęczyć? Zna wszystkie

moje słabości. Ale nie widać go na parkiecie, pewnie odpoczywa po kolejnym daniu. Zawsze lubił jeść. Mięso z ziemniakami i surówką. Desery. Ciastka. Pochłaniał wszystko z rutyną smakosza – nożem i widelcem, łyżeczką, chińskimi pałeczkami. Według najlepszych towarzyskich zasad. Ale i tak niechętnie jadłem w jego obecności. Wolałem we własnym tempie i guście nasycić się owocami, choć rozumiałem, że taniec jest także formą spożywania, tyle że własnych sił i emocji.

Nie wiem już, czego wtedy najbardziej pragnąłem – zobaczyć Elaine czy ukryć się w jej płaszczu. Przypomniałem sobie dzień, kiedy oznajmiła rodzicom decyzję, że zostanie niewidzialną tancerką. Płakał dziadek z babcią, ojciec stał przy oknie i pomrukiwał bez związku, tylko ja i Mama zachowaliśmy spokój. Później w rodzinie pojawiły się bliźniaczki i niemy brat Jon, więc zajęliśmy się ich sprawami. A Elaine tańczyła, sposobiąc się ku spełnieniu misji; w domu bywała coraz rzadziej, a jeśli już przychodziła, zamykały się z matką na tajemne pogawędki. Dla mnie pozostał płaszcz, choć byłem świadom, że lada dzień nawet ta szmaciana namiastka Elaine zniknie gdzieś poza światem moich zmysłów. Tyle razy chciałem zapytać, czy tancerki potrzebują ubrań, bo jeżeli nie, mogła mi go zostawić do zabawy. A potem razem z siostrą odeszły jej rzeczy i nie było sensu o nie pytać.

Tropikalna kanonada bębnow trwała, narastając w nogach i płucach szarpiącym bólem. Nie wytrzymałbym dłużej tego szaleństwa, gdyby nagle nie umilkła, ustępując przestrzeni dostojnemu rytmowi z przeszłości. Nie pamiętam, jak się ten taniec nazywa, ale wiem, że często wykorzystują go filmowcy, przedstawiając sceny koronacji albo innych uroczystości dworskich. Muzyka królewska! Niech pozostanie ta nazwa, i tak nie znalazłbym lepszej w setkach słowników i encyklopedii.

I wreszcie dostąpiłem łaski – tancerki przyniosły lustra i otoczywszy mnie, stąpały powoli, kłaniając mi się co kilka kroków. Ruch luster pozwalał ustalić, w którym miejscu sali przebywa aktualnie tancerka. Czułem się zaszczycony tą namiastką widzialności, ale nadal nie potrafiłem policzyć tancerek, tak szybko się przemieszczały, ukazując mi moje odbicia w kolejnych figurach tańca; nie mogłem nadążyć za tym ruchem, ale nie zgubiłem rytmu, choć drżały mi kolana. I wtedy szepty zaczęły narastać. Odróżniłem parę chichotów, tłumionych westchnień i pojękiwanie dziewczyny ze skrecona kostką. Jej lustro pochyliło się nieznacznie, ale wirująca obok tancerka podtrzymała je, inne zasłoniły nakładające się błyski, a chwilowe zakłócenie kroku tancerek nie wpłynęło nawet na ruch palców moich stóp.

Chciałem zaproponować krótką przerwę, ale zanim zdążyłem wymówić słowo, senny, wolny płas zacisnął się wokoło gęstwiną świetlnych kół. Lustra zniknęły. Nie byłem zaskoczony tą zmianą. Elaine, a może Mama, wyjaśniła mi kiedyś, jak powstają te wirujące błyski. Tancerka zakłada przezroczysty pasek z żaróweczkami, które, zasilane jej własną energią, świeca kolorem, o jakim pomyśli. Później łączą się z iskrami innych dziewcząt, niczym fajerwerki wybuchają niegroźnym uśmiechem barw i kiedy nastaje świt, powoli gasną, stapiając się z pierwszym, płaskim i niskim cieniem dnia.

Ale wtedy na parkiecie nie ma już tancerek. Legenda głosi, że znikają pojedynczo, od najsłabszej, najbardziej wrażliwej na naturalne światło, która płacze kroki choćby muśnięta ogarkiem księżycy, kiedy dopala się on przed przejściem w nów, krzycząc, że powinniśmy zatrzymać to niesprawiedliwe krążenie, wypatroszyć wnętrza nasyconych planet i dać wolność satelicie, który rozgrzewa nas w chwilach rozbratu ze słońcem. Na koniec pozostają dwie, trzy wirujące pętłe barw. Jeśli mężczyzna wytrwa aż do tego momentu, ma ponoć otrzymać nagrodę. Marcin mówił, że jemu nie tak łatwo dogodzić – musiałby dostać tancerkę za żonę, jak to w starych bajkach bywało, ale zabrakło już smoków i ludożercy stroją się w balowe fraki, wydekoltowane suknie, ba, udają vegetarian, i choć jedzą sałatę, tak naprawdę żywią się śmiercią słabszych albo biedniejszych.

Nie rozumiałem tych wzniosłych słów przyjaciela. Czasem wstępował weń jakiś dziwny duch, ni to przewodnik, ni to łącznik ze światem ludzi; wtedy Marcin szeptał, krzyczał i

przemawiał, choć nie potrzebował do tego żadnej publiczności. Nie osiągnął jednak tego stanu w dniu, kiedy najbardziej go pragnął: podczas święta niewidzialnych tancerek.

W pierwszych granatach świtu przestały być ostrożne, jakby zdając sobie sprawę, jak prędko nastąpi rozstanie. Słyszałem:

- Mógłby być niewidzialny...
- A ja go znam!
- Nie chwał się!
- Jeszcze bliżej, prawie mnie masz!
- Dotknij! Jeszcze krok... i pół...

Niemal opętała mnie potrzeba sprawdzenia, czy tancerki noszą suknie...

Próbowałem dotknąć światła, wprowadzić w nie dłoń, gdy mnie do tej gry zaproszono. Na nic. Przez dłonie przepływały tylko jakieś strugi, dotykowe złudzenia, raz po raz zdawało mi się, że usiłuję przechwycić tęczę lub kaskadę, dźwięk tak gesty, że aż przeistoczony w materię. Przestałem odczuwać zmęczenie.

Wzywałem Elaine, najpierw w myślach, potem głośno. Perlisty śmiech odpowiedział mi kilkakrotnie, a potem tancerki chwyciły mnie za ręce i zawirowały tak prędko, że wokół rozjaśniło się jeszcze szybciej, niżby to sprawił realny, znienawidzony świt.

Do domu wracałem sam. Marcina nigdzie nie było, choć nawoływałem go sekretnymi sposobami dzieciństwa, udając kukułkę, a potem dzikiego gołębia w okresie godowym. Na progu czekała Mama. Nic nie mówiąc, podała mi kieliszek wytrawnego czerwonego szampana. Sprawdziłem później na etykiecie, że nazywał się Elaine.

Nazajutrz z klubu nadeszły zaproszenia na pięć kolejnych wieczorów. Bezpłatne. Musimy się z Mamą zastanowić, czy powinienem wykorzystać choćby jedno z nich. Gdybym je sprzedał, rodzina mogłaby żyć dostatnio przez parę długich miesięcy.

## Pióro

Marta przypatrywała się pracującemu Kamilowi. Nie wolno jej było rozpoczynać rozmowy, póki nie skończył wyznaczonego sobie limitu stron. Wciąż padało, nie miała więc ochoty na spacer, choć wokół domu kwitły lipy i mogła zanurzyć się w ich zapach aż do nasycenia, usmarować sobie nos złocistym pyłkiem albo biegając bosą po mokrej, ciepłej trawie, odczuwać młodzieńcze błogosławieństwo lata, którym cieszyli się tego wieczora jej rówieśnicy.

Czuła się zmęczona, wręcz udęczona wilgotnym upałem i dlatego wołała wyobrazić sobie zimę, ogień na kominku i gruby pled do okrywania nóg, puszysty i przyjacielski. Niebawem nadejdzie kolejny gorący poranek i trzeba będzie, aby nie obrazić cioci Alicji, wypić przesłodzone kakao, zjeść drożdżowy placek i miseczkę poziomek lub malin z ogrodu, gorzkich bo stanowczo zbyt często spryskiwanych środkami owadobójczymi przy okazji pielęgnacji róż, ulubionych kwiatów Kamila. Rozpleniły się prawdziwie w otoczeniu domu, złociste, blad różowe i te najpiękniejsze – wielobarwne. Marta nie znała nazw gatunków, nigdy nie interesowała się ogrodnictwem, nie zaglądała też zbyt często do szklarni, gdzie hodowano delikatne cytrynowce i podobne do ziewających pawi storczyki. Nie umiałaby powiedzieć, skąd wzięło się jej to skojarzenie. Pawie widziała tylko raz w ogrodzie zoologicznym.

Wujostwo, rozczarowani brakiem reakcji dziewczyny na subtelności roślinnego świata, próbowali mimo wszystko zapewnić jej podczas wakacji jakieś atrakcje. Alicja poniosła sromotną klęskę: ani gotowanie, przyrządzanie przetworów domowych, ani szycie na przedpotopowej maszynie nie zainteresowały młodej osoby, która sama znalazła sobie zajęcie, burząc w wyobraźni bezdzietnych małżonków błogi obrazek fikającego koziołki, psotnego dziewczątka, utrapienia i jednocześnie cielesnej formy tęsknoty za młodością. Marta dobrała się najzwyczajniej do obszernej, acz trochę zaniedbanej biblioteki Kamila, czytając co popadnie od świtu do późnego wieczora. A po kolacji czekała, aż wuj skończy pisanie. Nie zdradziła Kamilowi, co obserwuje – tempo jego pracy, a może skupienie, wyraz twarzy, z którego dobry fizjonomista odczytałby pewnie temat aktualnie tworzonej powieści.

Dziewczyna wiedziała, że Kamil nie będzie z nią rozmawiał, póki z wałka maszyny nie zsunie się kartka z takim a nie innym numerem. Po dwóch tygodniach obliczyła, że starszy pan pisze wieczorem szybciej niż przed południem, od śniadania do obiadu wystukiwał średnio pięć stron, zaś po zmroku nawet dziesięć. W ten sposób potrafił w ciągu dwóch tygodni dać czytelnikom nową powieść, a każda z nich była oceniana przez krytykę jako nowatorska i bardziej odkrywczą niż „kichnięcia piórem autorów młodego pokolenia”.

Artykuł, w którym podkreślono tę frazę, leżał wycięty z gazety na biurku Kamila przez kilka dni i Marta zdążyła spokojnie przetrwać wszelkie zachwyty nad jego talentem. Nie poruszała jednak tej kwestii w rozmowach, mniemając, że dla starszków historyczne miejsce domowego geniusza w dziejach słowa pisanego nie ulega wątpliwości. Z należnym szacunkiem przyjmowała też co wieczór kolejny tom z wykaligrafowaną dedykacją.

Teraz także czeka na młodą czytelniczkę powieść, o, leży na rogu stołu, przykryta czystą kartką, to ma być niespodzianka, choć codziennie powtarzana, traci swą atrakcyjność. Wujek wie, Mała, że szybko czytasz, potrzebujesz na dobę trzy książki średniej objętości jak trzy dawki leku podtrzymującego życie i tak będzie, dopóki nie zaczniesz tworzyć, ale zanim to nastąpi, musisz znaleźć własny sens, szyfr, w którym zamkniesz świat i otworzysz jego skrzydło tylko na życzenie niepospolitych umysłów, twoje widzenie jest jak stylowy cabinet z mnóstwem szufladek, one potrafią się obracać, wchodzić jedna w drugą i wymieniać zawartość magicznymi sposobami, w takim cacku ukryjesz każdy skarb albo kompromitującą



Tajemnicę, jeśli więc posiadasz to bogactwo schowane, ludzie podziwiać będą twoje zewnętrzne piękno i to im wystarczy, a kto zapuści się w labirynt szuflad, może nigdy z niego nie wyjść. Wnętrze pozostanie bezpieczne, tylko Twoje!

Takie ciepłe, życzliwe myśli jarzyły się w uśmiechu Kamila, kiedy odkładał pióro po dokonaniu szybkiej korekty. Nie wszystkie błędy wyłapywał podczas pisania, musiał więc uciekać się do tradycyjnych sposobów nanoszenia poprawek. Marta zachwycała się piórem, którym to robił – było ciemnowiśniowe, ze złotą nakrętką, nieduże, ale z pewnością bardzo drogie; wujek nie rozstawał się z nim nigdy w ciągu dnia, a na noc kładł do rzeźbionej skrzyneczki – przechowywał w niej też kilka ołówków i gumkę. Nie zamykał wieczka, tylko pozostawiał uchylone, jakby i podczas snu przybory do pisania mogły być potrzebne, może zresztą i tam, w krainie marzeń, nad którą człowiek nie panuje, pisał powieści, tylko zazdrosne majaki kradły ten jego dorobek, nie pozwalając mu się zrealizować na jawie. Ale dzięki temu żył jakby podwójnie w tej samej roli, nie pozwalał się z niej wyzuć nawet potrzebie odpoczynku.

Jedność i systematyczność osobowości Kamila wydawała się Marcie fascynująca, ona też chciała osiągnąć podobną harmonię i mieć świata tyle do powiedzenia, ale na razie wszystko przemieniała w bunt – rozpacz i zadowolenie, smutek i radość. Tym bardziej zaskoczyła rodziców wyborem miejsca wakacji, oferowali jej bowiem podróż na wyspy tropikalne, oczywiście bardzo cywilizowane, a ona zwyczajnie odmówiła i spytała, czy może pomieszkać przez te dwa miesiące z wujostwem, na pewno nie będzie się nudziła, towarzystwo rówieśników zdążyło jej obrzydnąć przez miniony rok. I dokonała dobrego wyboru, bo Kamil poświęcał jej, tylko jej, ostatnią godzinę przed snem, opowiadając przeróżne historie, nieistotne, czy prawdziwe, ważne, aby zachował się w nich klimat wyobraźni, elegancki styl i tempo, które podziwiała w jego powieściach. Czasem włączała się w potok słów wuja i współtworzyli parę dopowiadających swe myśli lub antagonistycznych narratorów; na tę zabawę miała ochotę każdego wieczora.

– To bardzo stare pióro – stwierdziła raczej niż spytała, spoglądając na drzwi, czy aby ciotka Alicja nie podsłuchuje. Podejrzewała ją o to od tygodnia. Starsza pani nie powinna znać wszystkich spraw, o których rozmawiają z wujkiem, o, stanowczo zbyt często wchodzi bezszelestnie do pokoju i pewnie z rozkoszą pozbyłaby się wakacyjnego gościa przed końcem sierpnia.

– Na pewno starsze od ciebie – mruknął Kamil – ale przyzwyczyłem się do niego. Zaraz... powiem ci dokładnie. Ma trzydzieści dwa lata!

– Musiało być bardzo drogie.

– Dostałem je w prezencie – oświadczył.

Zamyślił się, spochmurniał, jakby przypomniał sobie coś nieprzyjemnego, a potem zaczął bawić się główką złamanej fajki. Nie palił od kilku lat, odkąd zachorował na astmę.

– Od kobiety? – Marta była coraz bardziej zaintrygowana.

– Och, nie! Dał mi je... mój wróg.

– To wrogowie ofiarowali kiedyś prezenty? Ależ to musiały być ciekawe czasy! Już wiem! Wewnątrz ukryto bombę, ale ty naprawiłeś mechanizm pobierający atrament i używasz pióra jako dowodu własnego rozsądku i opanowania...

– Skądże! – Kamil roześmiał się głośno, a w kącikach jego oczu pojawiły się tak ogromne łzy, jakby przez lata czekały ujścia. – To było...

– Opowiesz mi?

– Tak... – Pisarz chwilę zwlekał z odpowiedzią, ale starczyło, by Marta zauważyła wahanie.

– Jeśli to dla ciebie nieprzyjemne...

– Nie, tego bym nie powiedział. Ale każdy ma wrogów i musi z nimi walczyć, najważniejsze, żeby umiał ich rozpoznać. Ludzie myślą się, biorąc intrygi za korzystne

propozycje, dają się podejść. Ja też nie zawsze byłem tak czujny jak teraz i wiele traściłem, bardzo wiele... od lat nie ryzykuję, wiesz? Oparłem się na wypróbowanych przyjaciółkach, znajomych raczej, przyjaźń to zbyt wielkie słowo... na nasze czasy.

– Kim był ten człowiek? – spytała zniecierpliwiona Marta. Nie lubiła morałów. Patrzyła na współczesnych z pogardą, ale nie chciała słyszeć tego samego od innych ludzi. Nawet od Kamila. A jednak pragnęła jak najprędzej dowiedzieć się czegoś o mężczyźnie, który go nienawidził, skrzywdził może. W tej chwili udusiłaby tego drania, przypiekała na wolnym ogniu albo poddała torturom w jeszcze mniej cywilizowany sposób. Jednocześnie narastała w niej ochota, aby tworzyć tak jak ów starszy pan, jasno i ciekawie. Postanowiła zająć się pisaniem sztuk teatralnych, najlepiej z piosenkami, niech zapełnią wkrótce listy przebojów, oczywiście nie wzgardzi propozycjami, by jej własne komedie i melodramaty zostały sfilmowane. Nie przerabiałaby cudzych wypocin, o nie!

– Deklarowałem mi przyjaźń. Pracowałem wtedy, bo nie miałem jeszcze zysków z książek, w redakcji. Właściciel pisma mi ufał, mogłem zatrudniać kogo tylko chciałem. Popełniłem mnóstwo błędów. Nie sprawdziłem dokładnie, co reprezentuje podlizujący mi się chłopaczek. Zepsuł robotę i miałem przez niego mnóstwo nieprzyjemności. Pospolita, niegodna uwagi historia, gdyby nie...

– Pióro?! – wykrzyknęła dziewczyna.

Wzięła je delikatnie i zdjęła nakrętkę. Ostrożnie przesunęła stalówką po białym papierze. Nieznaczne pęknięcia oprawki sprawiły, że wydawało się bardzo kruche. Złocenia pociemniały od atramentu, a liczne zarysowania kazały pamiętać o nieskończonych upadkach pióra, które nie zawsze widać było posłuszne, zsuwało się pewnie z biurka, wypadało z kieszeni na posadzkę, ale nie rozsypało się, nie okaleczyło, aby uwolnić się od funkcji, do jakiej zostało stworzone.

– Bardzo ceniłem przyjaźń. Wszyscy młodzi w nią wierzą. Poszukują symboli, wymieniają pamiętki. Wiesz jak to jest. Im bardziej komuś ufają, tym silniejsze bywa rozczarowanie. Poręczyłem za pewną osobę, choć miałem wątpliwości. Ale pióro dostałem wcześniej. Jakoś często gubiłem pióra; wysuwały się niepostrzeżenie z kieszeni, kiedy wyjmowałem chusteczkę do nosa, bilet na autobus czy papierosy. A kieszenie zawsze mi się myliły, co ma w jakiej być, pod koniec dnia drobiazgi były zupełnie pomieszane. Powiesz, że to dziwne, ale nie zdarzyło mi się zgubić klucza albo najdrobniejszej monety czy żetonu telefonicznego. Tylko pióra! Zostawiałem je w kawiarniach, kiedy zapisywałem pospiesznie jakiś wiersz, jedno wpadło mi nawet do klozetu na czyjaś czarna, wyjątkowo obrzydliwą kupę, nie próbowałem więc zguby wydobywać. A kilka najładniejszych zapewne mi skradziono.

– Znam to. – Marta, podchwyciwszy przyzwalający gest wujka, nalała do długich szklanek soku pomarańczowego, jedną z nich dopełniając wódką. Przy Kamilu nie ośmielała się próbować alkoholu. – U nas w szkole baby podprowadzają sobie kosmetyki. Nie można zostawić szminki w kieszeni kurtki.

– Widzisz, w tej redakcji było tak samo. Wystarczyła chwila nieuwagi i już nie miałem czym robić notatek. Z biurek znikwały połamane ołówki, wyszczerbione szklanki. Fusy po kawie nie zawsze wyrzucano... I na nie znalazł się amator, który nie bał się wypić ponownego odparu.

– A fe! – skrzywiła się Marta.

– Narzekałem na tę moją nieuwagę, pecha do piór czy jak to powiedzieć. Wiktor, bo tak nazywał się ów młody człowiek, widać to zapamiętał. Pewnego dnia przyniósł mi pióro zapakowane w pudełeczko i srebrny papier. Ucieszyłem się oczywiście, kto by nie przyjął z satysfakcją tak mało krępującej rzeczy, łatwo się zrewanżować za podobną drobnostkę. Na pudełku widniała nawet dedykacja dla mnie, bardzo ciepła i zgrabnie sformułowana, jak to potrafią lizusy. Wziąłem te słowa poważnie i zaprosiłem Wiktora do domu. A Alicja ostrzegła mnie, że nie powinienem wiązać się z ludźmi poznanymi w pracy. Kapelusz na

głowę i do domu! Tak mówiła.

- Ciotka ma czasem rację – chłodno dodała Marta.
- Zdarza się jej wyczuć wroga. Cóż, kobieca intuicja.
- To dlaczego ja jej nie mam?

Dziewczyna spojrzała zadziornie na wujka. Musiał być już trochę wstawiony, drugi, trzeci drink, nie liczył tego wieczora wypitych szklaneczek, a ona korzystała z zapasów soku pomarańczowego, otworzyła już trzeci litrowy kartonik i pewnie przez omyłkę naląła także sobie trochę przezroczystego płynu z karafki, ale Kamil chyba tego nie zauważył, może nie chciał, inny pożartowałby sobie z dziewczyny, upijesz się dziecino i tak dalej, ale nic nie powiemy cioci, położysz się cicho do łóżka, raz daruj sobie tę gorącą kąpiel, mogłabyś zasnąć w wannie, a wtedy wiesz dobrze, co by się stało, nawet nie chcę dopuścić tej okropnej myśli, swoją drogą nie powinnaś tak moczyć się całymi godzinami, to osłabia serce. Ale stary pisarz nie prawił Marcie morałów, starał się tylko tak pokierować rozmową, aby ponownie nie pojawiła się w niej postać ciotki Alicji.

W potajemnie spisywanym pamiętniku także o niej nie wspomniał. Od dwóch tygodni nie szczędził jednak kratkowanym kartkom zachwytu nad pewną młodą osobą, wyobrażał ją sobie w intymnych sytuacjach i opisywał je z dokładnością, jakiej daremnie by szukać w jego powieściach.

– Masz, ależ masz! – odrzekł zdecydowanie. – Instynkt zachowania gatunku wyposażył cię lepiej ode mnie. Przyroda przygotowuje kobietę, aby była zdolna bronić dzieci. Do tego nie potrzeba już mężczyzn.

– Głupstwa wujek opowiada! – zachnęła się Marta. – Od stu lat wmawia się kobietom takie bzdury, ale w to nie wierzą ani faceci.

– A skąd ty możesz o tym wiedzieć?

– Czytam stare romanse. – Dziewczyna podciągnęła nieco spódnicę, odsłaniając proporcjonalnie zbudowane uda.

Wuj mlasnął z podziwem i oboje zatrzęśli się tak silnym śmiechem, że kryształowe wazoniki i popielniczki zaczęły im wtórować swym jasnym dźwiękiem, jakby w pobliżu przejeżdżała stutonowa ciężarówka. Wciąż obracane palcami Kamila pióro jęczało niemal ludzkim głosem, gdy pozbawiano je nakrętki, a starszy pan powtarzał tę czynność do znudzenia, wpatrując się w kuszącą granicę między nogami Marty a linią obcisłej spódniczki.

– Po wrogach często zostają pamiętki – powiedział, by czymś uspokoić drżące ciepłym powietrze. – I nie wiadomo, co z nimi zrobić.

– Niektórzy oddają.

– Spotkanie ze zdemaskowanym przyjacielem samo w sobie jest przykre. Dlatego ludzie wolą spalić listy, niby przypadkiem potłuc wazonik albo zgubić rękawiczki ofiarowane przez wroga. W walce z piórem obrałem ten ostatni sposób. Ale widzisz, ono nigdzie nie chciało pozostać. Ilekroć udawałem, że zapominam go w kawiarni, wybiegała za mną kelnerka albo portier przechowywał je w szufladzie z papierosami, aż znów się pojawiłem. A że chodzę właściwie tylko do trzech lokali, nie miałem szans się go pozbyć. Raz wyrzuciłem pióro w autobusie, ale cóż, siedzący za mną pasażer podał mi je usłużnie.

– Nie mogłeś rzucić go pod pociąg? – spytała Marta.

– Widzisz... akurat nie. Kiedy byłem dzieckiem, rówieśnicy zabawiali się układaniem monet na torach kolejowych. I widziałem okropny wypadek z bliska, stałem niedaleko, nie będę ci tego opowiadał, w każdym razie od tamtej pory obchodzę się bardzo ostrożnie z pojazdami torowymi. Gdybym cisnął pióro pod koła lokomotywy...

– Okropność! Ale przecież tyle w okolicy rzeczek, strumyków, woda poniosłaby tak małą rzecz jak...

– Piórko? – uśmiechnął się pisarz. – Możliwe. Tylko po paru nieudanych próbach zdecydowałem się zachować pióro. Więcej, zacząłem nawet o nie dbać.

– Skąd taka zmiana? – Dziewczyna poruszyła się niespokojnie. Wierzyła w stałość uczuć i wszelkie wahania sympatycznych czujników odczuwała jako zagrożenie jak najbardziej osobiste. Kto nienawidził, a następnie polubił tę samą osobę lub rzecz, nie jest godny zaufania. Pewnego dnia może i ją, Martę, odepchnąć, skrzywdzić, wyśmiać...

– Zrozum, przez cała lata czekałem na sukces. Recenzenci milczeli, nie omawiali moich książek, choć ludzie kupowali je i czytali. Ale powieść, której konspekt napisałem tym piórem, a potem robiłem korektę, doczekała się uznania krytyków. Osiągnęła wysokie nakłady, a ja mogłem za zarobione dzięki niej pieniądze zabierać Alicję na wakacje do krajów, w których mówi się po hiszpańsku, a myśli w językach wymarłych narodów. Takie miała życzenie i chciałem je spełnić. A potem poddałem pióro ogniowej próbie. Pisałem równocześnie dwie książki, jedną od razu na maszynie z naszkicowanego ołówkiem planu, drugą tym piórem. I za tą ostatnią przyznano mi wysoką nagrodę! Kupiłem wreszcie dom i mogłem spokojnie pracować. Alicja zajęła się ogródkiem i przestała mnie wypytywać o pomysły na następne książki. Wiesz, za młodu często bała się, że zabraknie mi nowych fabuł i bohaterów, dlatego przed snem opowiadała mi niestworzone historyjki; gdyby miała twój styl, mogłaby sama pisać, a tak zmarnowała wysiłek wyobraźni, bo nie wykorzystałem ani jednego z jej wątków, choć wiem, że tego oczekiwała. Nigdy przedtem nie chwytła z taką ciekawością nadsyłanych przez wydawcę egzemplarzy autorskich! Nie poprzestałem oczywiście na jednym doświadczeniu. Przez następne lata ta historia powtarzała się jak lato po wiosnie, zima po jesieni. Pióro wyraźnie domagało się udziału w mych pracach, choćby tylko wykonania korekty, a w zamian dawało pieniądze i sławę.

– I nigdy nie zawiodło? – szepnęła z niedowierzaniem Marta. Wyżej już nie wypadało podciągnąć spódnicy, założyła więc nogę na nogę.

– Nie. Tymczasem Wiktor robił wszystko, aby mi zaszkodzić. Opowiadał o mnie znajomym niestworzone rzeczy, nawet Alicji nie przyszłoby to do głowy; w pismach artystycznych zamieszczał pod pseudonimem recenzje ośmieszające moje książki, słowem: plotkował prywatnie i publicznie. Zapomniał oczywiście oddać pożyczone pieniądze, a powierzyłem mu także maszynopis *Lata w piekle*, chyba sam diabeł mnie skusił.

– Ale odzyskałeś przecież tekst, czytałam...

– Zadałem sobie trochę trudu.

– Co zrobiłeś? – Marta wpatrywała się w Kamila z narastającą ciekawością.

– Wynająłem gościa zajmującego się odzyskiwaniem długów. Z początku nie chciał słyszeć o tak mało poważnym zleceniu. Teczka z paroma kartkami papieru! Cóż, przekonałem prostaka brzęczącą monetą. Do pierwszego wydania *Lata w piekle* musiałem dołożyć więc trochę grosza. Następne przyniosły już dochód.

– Ciekawe – powiedziała dziewczyna – jak taki człowiek wymusza zwrot pieniędzy lub kosztowności. Bije, szantażuje?

– Wolałbym ci o tym nie opowiadać. Wiktor miał dużo szczęścia. Zrzucony po schodach z pierwszego piętra, złamał tylko rękę. Żona tego drania wybiegła z mieszkania z maszynopisem, jak tylko usłyszała wrzask. Oboje zachowywali się ponoć bardzo pokornie i przepaszali mego pełnomocnika na kolanach, że musiał się fatygować z powodu takiego drobiazgu. Darował więc im zamówione przeze mnie środki przymusu, ale i tak za wszystko zapłaciłem.

– Nie miałeś ochoty koziołkować po schodach – zachichotała Marta.

– Ani szukać typków, którzy chroniliby mnie przed przygodami – odparł Kamil.

Upuścił kartkę blisko stóp dziewczyny. Aby sięgnąć po ów fragment kolejnego dzieła, musiał się do niej zbliżyć. I wtedy przekroczył dozwolone granice. Parę pocałunków. Nic dziwnego ani oryginalnego. Umówili się nazajutrz w mieście. Marta wyjedzie niby na spotkanie z przyjaciółką, która zadzwoniła wieczorem w pilnej sprawie, a Kamil do księgarni, czasem trzeba obejrzeć plody konkurencji. Obok księgarni jest mały hotelik, w SAM RAZ

DLA ZAKOCHANYCH PAR, ze szczelnie zasłoniętymi oknami i wielkim łóżem w każdym pokoju. Goście nie zwracają uwagi na odrapane tapety, stęchliznę i insekty.

W takim miejscu łatwo zgubić osobisty drobiazg. Na tę myśl Marta aż zatarła ręce. Musi zdobyć to pióro! Kiedy trzymała je w dłoni, po raz pierwszy w życiu nie potrafiła się opanować, śmiała się i płakała jednocześnie, a przez jej myśl przebiegały fabuły splątane jak słoneczne promienie pod powiekami, zanim otworzy się oczy i rozpocznie nowy dzień. A Marta pragnęła naprawdę nowego dnia i wiedziała, kiedy on nastąpi. Nastanie na białej karcie papieru pogodną opowieścią. Wzejdzie ona jak słońce i niczym zmierzch zgaśnie. A potem przemieni się w kalendarium lęków albo rewię szklanych figurek, które trzeba będzie nauczyć przeskakiwać ze strony na stronę.

Aby nauczyć się dawać schronienie tym ulotnym stworom, Marta była gotowa zrobić wszystko. Zostać wrogiem Kamila? Czemu nie! To też człowiek. Można go sprzedać, oszukać, upodlić. Dostał pióro od wroga, więc inny nieprzyjaciel je odbierze, zaczaruje na nowo i napisze powieść, jakiej ludzkość oczekuje od stu lat.

## Trans XIII

Było nas trzynastu. Akurat tyłu i już. Żadna następna osoba, która chciała do nas należeć, nie spełniła wymagań i wtedy uznałem, że trzeba zaprzestać naboru do Grupy. Pozostali mogli zostać tylko Obserwatorami i słuchać głoszonych przez nas nauk. Szli jednak za nami, raz z głębokim przekonaniem, innym razem z ciekawości.

Przemawiałem, gdzie tylko mogłem. Dwunastu sprzymierzonych otaczało mnie i powtarzało moje słowa, a każdy z nich obiecywał, że we właściwej chwili utworzy własną grupę, żeby szerzyć nasze przesłanie. Mówili:

„Rozejdziemy się na dwanaście stron świata – jasną i ciemną, głośną i milczącą, gorącą i zimną, płaską i górzystą, pustynną i wilgotną, wyludnioną i pełną miast. Nic nas nie zatrzyma, bowiem będziemy mnożyli się jak ptactwo i owady, zarażali prawdą jak zbawienną chorobą, która pomaga zwalczyć inne dolegliwości i raz na zawsze zbawia od bólu. Twoja myśl dotrze do zapomnianych przez królów zakątków i na wielkie place, gdzie gromadzą się prawdziwe rzesze ludzkie. Wszędzie, gdzie tylko powietrze sprzyja wolnemu głosowi, a umysły pojmują, czym jest Słowo. Wszędzie, gdzie człowiek już w pełni stał się sobą. A tam, na skrajach ludzkich posiadłości, w osadach niemych i dzikich, uczyć będziemy pierwszych wyrazów niczym matka i ojciec. Ochryple dźwięki będą nam nagrodą za trud nasz i one z kolei podążą dalej, poza nasze wyobrażenie, poza nasz dotyk i smak”.

Wierzyłem tym twarzom uśmiechniętym albo skupionym na modlitwie, choć może bardziej udawałem, że wierzę, dziś nie odtworzę już tamtych nastrojów, aczkolwiek każdy z dwunastu przyjętych do Grupy wypowiadał je z owym desperackim poczuciem ostateczności, które jednoczy zbuntowanych, a potem śmiał się szczęśliwie, kiedy nas słuchano i gromadziły się tłumy.

Byliśmy wszyscy ubodzy i Matka mówiła od czasu do czasu, żebym dał sobie spokój z głoszeniem prawdy, mam coraz więcej wrogów, a w domu brakuje dosłownie wszystkiego, każdemu w końcu nędza dopiecze i obrzydzi najlepsze pomysły, ba, nawet dobro, skoro ma ono w człowieku tkwić głodne i chłodne. Ale zaraz potem uciekała speszona na swoje miejsce i wieczorem patrzyła na mnie tak, jakby chciała przeprosić za brak wytrwałości. A kiedy wyruszaliśmy w kolejną wędrówkę, zegnała mnie ze łzami, nie wiedziała bowiem, która trasa okaże się ostatnia, może właśnie następna, choć, jak mi mówiono, powinienem w odpowiedniej chwili mieć przecucie końca i przygotować się nań dumnie, aby nie skompromitować Matki, misji i samego siebie. Żaden z Grupy nie pisał jednak słówka, że i ja mógłbym mieć tremę albo po prostu wystraszyć się tłumy. Wyznam więc to sam i raz na zawsze obalę legendę o niezłomnym przywódcy.

No i właśnie dlatego, iż bieda była naszą najlepszą przyjaciółką, często nocowaliśmy pod gołym niebem, jeśli ktoś zamożny nie udzielił nam schronienia. Jeden z nas, Tom, nosił więc nadmuchiwany okrągły stół, przy którym mogliśmy usiąść byle gdzie. Zdarzało się nam wieczerzać na leśnej polanie i to bywało przyjemne, ale i za miastem, pośród nędzarzy, których wypędzono, żeby nie psuli świątecznego wystroju dopiero co odnowionych dzielnic; w jaskiniach, gdzie kryliśmy się przed zdziczałymi sprzedawcami wody; ci to właśnie, niepotrzebni od zakończenia Wielkiej Posuchy, nagabywali mnie, aby modlił się o ciężki upał, gotowi byli za mną iść i szerzyć prawdę, gdybym tylko wypełnił ten warunek. Ale ja odrzuciłem propozycję oszustów i ruszyłem wzdłuż rzeki ku urodzajnym krainom, aby mieć wody pod dostatkiem bez niczyjej łaski. Nadto Al, najbardziej przedsiębiorczy z nas, po mistrzowsku łowił ryby, wchodził do rzeki po kolana i wyciągał pojedyncze sztuki spod kamieni albo rzucał w nurt linkę z haczykiem i wyciągał półmetrowej długości zdobycz, niektórzy powiadają, że pomagałem mu w telepatyczny, tylko mnie znany sposób, ale to

nieprawda, zawsze pozwalałem moim ludziom się wykazać; nie odbierałem im przyjemności, aby samemu błyszczeć.

Każdy członek Grupy zajmował się czym innym: Liza zbierała owoce i zioła, Kirk, zwany Wujem, doglądał osłów, które były mu posłuszne, jakby sam należał do ich rodu i został obrany osłim królem. Przyspieszały kroku, kiedy je ponaglał i nieraz dowiódł, że na osła tak samo można uciec przed prześladowcami, jak na rączym wierzchowcu, później tylko kłapouch musi sobie odpocząć i odczuć wdzięczność człowieka – ma doskonałą pamięć i będzie bardziej skory do wysiłku, kiedy zostanie pochwalony. Tę samą zasadę stosowałem zresztą wobec ludzi, nagradzałem dobrym Słowem spryciarzy i zupełnych nieudaczników, co okazało się sprawiedliwe, ponieważ często myłę się w ocenie ludzi; Matka twierdzi, że jestem naiwny i łatwowierny, ale rozumie, że tylko dzięki temu mogę wypełniać moją misję, powinienem jednak działać bardziej stanowczo, szybciej podejmować decyzje, radzi mi od dawna, refleks, tego ci właśnie potrzeba, synku.

Z mojej Grupy najbardziej lubiła Agatę, tę, która znając wiele języków, ułatwiała mi rozmowy z obcymi, nadto zawsze wiedziała, czym zajmują się i jakie mają poglądy ludzie u szczytu władzy. Potrafiła zebrać mnóstwo informacji i pomóc mi je wykorzystać. Za to nie była chętna ubóstwu, wkładała na prywatne okazje drogie suknie i wciąż prosiła o pieniądze na perfumy. Nie mogła dobrać sobie na stałe jednego aromatu, często więc wyrzucała nie opróżnione do końca flakoniki, żałując, że nie osiedliliśmy się w pierwszym lepszym mieście, gdzie w domu, obok wanny i wielkiego lustra, mogłaby ustawić buteleczki i flakoniki z wonnościami. Macierzyńska nieufność dotknęła natomiast piekarza Grega i jego kuzynki o dźwięcznym imieniu Mija, która nie pełniła w Grupie żadnego pożytecznego zadania. Miała tylko uśmiechać się słodko i smarować nam bułki serkiem albo konfiturami. Nie brała udziału w wieczornych sporach, które czasami zastępowały nam kolację.

Coraz częściej zdawało mi się, że dobrałem nieodpowiednich ludzi. W ich entuzjizm od dawna nie wierzyłem, kiedy mi doniesiono, że zostałem zdradzony. Ktoś z wtajemniczonych sprzedał władzom naszą marszrutę – trasę i daty publicznych wystąpień. Miałem dwa wyjścia: albo udawać idiotę i kontynuować wędrówkę wyznaczoną drogą, albo wytyczyć nowy szlak. Oba rozwiązania wydały mi się tak samo nedorzeczne. Jeśli cokolwiek zmienię, zdrajca natychmiast powiadomi moich wrogów. Pozostanę przy swoim, to wpadnę w zastawione od dawna pułapki. Mogłem jeszcze wyeliminować z Grupy podejrzaną osobę, zakłócając na jakiś czas harmonię doskonale rozumiejącej się trzynastki? Tylko kto zdradził? Nasz skarbnik, Jowi! Jestem pewien! Dlaczego wcześniej nie sprawdziłem jego kontaktów? Może pochodzi z kapłańskiej rodziny albo jest zbyt ambitny, aby bezinteresownie służyć prawdzie? Mógł zmówić się z Werą, dziwką wygnaną z burdelu Świątynia Miłości, przygarnąłem tę małą z ulicy, dałem schronienie, ale postawiłem twarde warunki uczestnictwa. I co mi to dało? Członkowie Grupy wykorzystywali uległość tej kobiety i wyczyniali z nią rzeczy niegodne, zawsze jednak dyskretnie, poza zasięgiem mego wzroku i głupio mi było ich upominać.

A może uczony w Piśmie Mac, którego uczyniłem sekretarzem Grupy, dałem Księżę i pióro pod opiekę? Jeśli tak, popełniłem niewybaczalny błąd! Ten człowiek mógł łatwo, wykorzystując czas mych wizyt u Matki, skopiować dokumenty i traktaty! Pewnie znajdują się one w rękach wrogów, a ci już szykują mi proces... o cokolwiek, im wszystko jedno, czy osądzą mnie za politykę czy łamanie zasad wiary, jako zbrodźca czy czarownika, ważne, bym został wyłączony z gry, aby mnie nie słuchano, a każda przypadkowo zebrana publiczność odwracała się plecami, nawet ta sama, która jeszcze wczoraj biła mi brawo. Wtedy pewnie sam się usunę, a jeśli nie, tym gorzej dla mnie. Ale czy Mac byłby zdolny do takiej podłości? Mając tak ogromną wiedzę, mógłby zarobić na cokolwiek, nie zniżając się do zdrady, zawsze tak jasno patrzył mi w oczy i pisał najdokładniejsze sprawozdania z wędrówek, nie pomijając najmniejszej miejsciny, gdzie zatrzymaliśmy się na popas, choćby

nie zjawił się ani jeden chętny mnie wysłuchać. Takiego sekretarza mogli mi pozazdrościć zwierzchnicy najbogatszych świątyń, bowiem w moich rejestrach nie brakowało faktów ani nie zdarzały się niekonsekwencje. Oczywiście Księga wychwala mnie ponad miarę, ale to już inna historia.

Nie potrafiłem pogodzić się z myślą, że usiądę do wieczerzy z człowiekiem, który cenił mnie tak nisko, uznał za rzecz, którą można zwyczajnie wynieść na targ i wymienić na pieniądze. Gdybym widział w sobie ideał, potrafiłbym to wytłumaczyć zawiścią, ale naprawdę nigdy do końca nie uwierzyłem rodzinie, że jestem przeznaczony do wielkiej sprawy, misji jedynej na całą ludzką historię. Bardziej emocjonujący może okazać się tylko pojedynek z wiecznością, jeżeli istotnie do niej powrócę: jakże zająć sobie czas, by nie powtarzać się i nie zanudzać samego siebie; bo że zostałem tam bez partnera do rozmowy, jestem całkowicie pewien i dlatego żal mi każdego utraconego towarzysza wędrówki, który mógł jeszcze bawić się ze mną w czas, jego słodkie ucieleśnienia, a nie tak po prostu powiedzieć: graj teraz w coś innego, pokaż światu swą cierpiętniczą minę i krzycz, że tylko dla nas robisz te sztuczki i nic cię nie obchodzi, że ich nie rozumiemy.

Może nie powinienem tego mówić, ale bez bólu przyjąłbym zdradę doktora Zeba. Nigdy go nie lubiłem, a tym bardziej jego monologów na temat diety, którą niby powinienem stosować. Było mi obojętne, czy umrę mniej lub bardziej zdrowy. Rozmyślając o szczegółach śmierci, która była mi pisana, zamierzałem raczej osłabić organizm, aby w decydującej chwili nie męczyć się za bardzo, potem, w wieczności, mogłyby mi się śnić detale cierpienia, lepiej niech ludzie uczynią zeń rytuał, pozwalając mi zapomnieć, jak smakuje ich okrucieństwo.

Oczywiście Zeb wyświadczył wiele przysług ludowi, idąc ze mną nie pobierał honorarium za proste porady. Ich skuteczność przypisywano moim uzdolnieniom, więc prawdę mówiąc doktor bardzo przyczynił się do rozpowszechniania naszych idei. Mimo to nie miałem przekonania do tego człowieka, ale skoro po próbnym okresie za jego przyjęciem do Grupy głosowała cała dziesiątka, i ja także podniosłem dłoń. Prawda, zaczęło się nam wtedy lepiej dziać, ozdrowieńcy w pierwszym odruchu powrotu do życia przynoszą podarki, jeśli nie bierze się pieniędzy; ta szczerza wdzięczność wzbudza wprawdzie zakłopotanie, ale pozwala przetrwać parę dni, zanim następna osoba nie poczuje się zobowiązana podziękować.

Jako ostatni przystąpił do nas pieśniarz, który zrazu obiecywał umilać czas historycznymi opowieściami, ale wolał mi się przypocholebiać albo nie znał zbyt wielu ballad o bohaterach, w każdym razie na zakończenie każdego dnia sławił moje dokonania, delikatnie trącając struny, nie powiem, talent miał, tylko że ja czułem się trochę niezręcznie, codziennie nie udaje się przecież pozyskać nowych zwolenników, a bywało, że nie wpuszczano nas w ogóle do świątyni, szczerzo psami albo grożono bronią.

I z takich przygód potrafił wyśpiewać heroiczny czyn, a choć nie jestem łasy na pochwały, robiło mi się wtedy źżej na sercu. Ludzie szeptali wprawdzie za moimi plecami, że poeta jest jakimś wyrzutkiem, przestępcą może, bo przedstawia się kilkoma przynajmniej imionami, nawet ich wszystkich nie pamięta, taki blagier, mówili w Grupie, może mu zazdrościli, wieczorami jednak słuchali, a niektóre pieśni na życzenie wszystkich zostały zapisane w Księdze ku pamięci głosicieli Słowa.

Przeglądam teraz jego karty przy dopiero co nadmuchanym stole. Nalano już wina, które ofiarował nam uleczony z paraliżu tancerz, pokrajano chleb. Idąc ścieżkami wśród pól, widziałem, jak wzrastało nań zboże. Powtórzyłem tę drogę trzykrotnie. Znam porę jego dojrzwania, zbioru, mielenia ziarna, choć sam nie przesiałem mąki przez palce, nie zaznałem smaku zaczynu, czekałem tylko, aż do mej ruchomej świątyni przyniosą gorący bochenek. Czy jestem winien oraczom aż tyle, by patrzyli na moje powolne konanie i komentowali wstydlive szczegóły? Pewnie któryś z moich następców każe zapomnieć fizjologiczne reakcje, mogę na przykład mocno się spocić albo stracić kontrolę nad wydalaniem, choć już dziś nie zamierzam niczego jeść, tylko napić się wina bez wody i przetrwać noc ostatnim



pólsnem, zawsze wolałem drzemać, odbierając odgłosy, niż zapadać się głęboko, tam gdzie znam prawdę o sobie, a wiotkie jedwabie, narzucane na zmęczoną twarz, słodkie miny, które ludzie tak lubią, odrzucić.

Mogę jednak postąpić inaczej. Wzniesić toast na cześć wszystkich członków Grupy i rozmówić się z każdym z osobna albo publicznie postawić zarzuty. Wyjąć wszystkie asy z rękawa i ułożyć z nich monstrualny akt oskarżenia. Mam bowiem niezbite dowody, że wydał mnie nie tylko Jowi. Zgodził się, tak jak i ja, grać rolę kozła ofiarnego. Chodził z pełną sakwą po okolicy i wydawał pieniądze wzdychając, jakby przyszło mu je zarobić z niesłychanym wyrzeczeniem. Wydawane monety niemal oblewał łzami, całował na oczach przekupniów i przesadnie wykonywał gesty naszego stowarzyszenia. Każdy musiał zapamiętać takiego dziwoląga, o jego przენiewierstwie dowiedziałem się zatem z wielu ust.

Pozostałe dowody gromadziłem powoli i bez przekonania. Doktor sprzedał mnie za recepty, pilnie strzeżone, wrogiego cechu lekarzy uzdrawiających miksturami z okruców szlachetnych kamieni. Mac za tajniki pisma, którego od dawna nie używano. Sam widziałem Agatę rozmawiającą z jakimś oficerem. Miała poważną minę. Splatając nerwowo palce, odrzucała z twarzy czarne włosy nerwowymi ruchami głowy i mrugała oczami szybciej niż zwykle. Czego mogłaby pragnąć tak bardzo, że złamała przyrzeczenie? Chyba się już tego nie dowiem.

Rybak i piekarz chwalili się wczoraj przy winie, jakie to wielkie pieniądze zarobią na dostawach dla wojska. Ich przynajmniej rozumiem. Życie albo śmierć. Nędza czy bogactwo. Ale komu z wielkich tego świata mógłby być potrzebny pospolity nadmuchiawcz stołów? Aby wykonywać ten zawód, wystarczy mieć silne płuca i z pół roku poćwiczyć u mistrza dmuchania. Stół Toma był jednak zwykle tak znakomity, iż ktokolwiek z gości, a nie odmawiałem nikomu poczęstunku, zbadawszy twardość blatu, równe brzegi i stabilność całości, mógł polecić członka naszej Grupy tajemnemu agentowi, akurat niezadowolonemu ze swego dmuchacza.

Precz z takimi domysłami! To nie przystoi przywódcy. Muszę mieć pewność... Ależ mam ją, mam... Dzisiaj stół jest wiotki, nierówno nakryty i nie osiągnął właściwych rozmiarów. Kiedy opieram nań dłonie, jęczy jak żywa istota. Oddech zdrady nie nappełnił go na tyle, żeby zatrzeć ślady niegodziwości, które przy nim knuto. Przeciwno mnie. Tylko przeciwno mnie...

Żaden z Grupy nie zdecyduje się mi towarzyszyć, kiedy zostanę oskarżony. Ci tchórze szykują się do ucieczki. Będą musieli się trochę wysilić! Jeszcze nie wiedzą, że Kirk wziął już zadatek za osły. O tej porze roku jest popyt na zwierzęta. Ludzie dosiadają ich zmęczonych grzbietów i wyruszają szukać szczęścia, na pewno dostał dobrą cenę!

Liza i Mija, które nie tyle zaprzyjaźniły się na dobre i złe, co wyczuły wspólnotę interesów, spakowały wieczorem wszystkie zioła. Wyruszą pewnie po kolacji. Są wytrwałe. Nie będą bały się nocnej wędrówki. Czyżbym martwił się o te kreatury? Na to wygląda. Cały czas rozmyślam, jak sobie beze mnie poradzą. Nie powinni mieć złudzeń. Też zginą w mękach. Jaki władca pozostawia przy życiu świadków pieśni miłości, którą powołano, by ocalić świat, osaczyć strach i uciszyć żądze? Ale byłem naiwny! Jak mogłem uwierzyć w dobrą wolę Wery, pracując przeciw naturze jej profesji? Wiem, że tej nocy po raz ostatni spróbuje mnie sobie podporządkować. Jeśli się jej to nie uda, będzie musiała zaspokajać najgorszych klientów. Krząta się teraz i zagląda mi w oczy. A poeta o wielu imionach brzdąka żywiej na jej widok. Porozumieli się pewnie niedawno. Udadą wzajemną niechęć, ale wciąż widzę ich razem. Pieśń o zachodzie słońca? Oczywiście, przedumałem w cieniu oliwek całe popołudnie! Nie przeszkadzano mi, bo tak nakazuje Księga. Teraz powinienem dać sygnał, aby cała dwunastka usiadła do stołu. Wzniesić kielich i uśmiechnąć się do zdrajcy.

Gdyby zdradził tylko jeden! Ale każdy po kolei? W takiej sytuacji nie czuję się zobowiązany dotrzymać słowa. Pozostawię Grupę jej losowi i odejdę, okryty podróżnym płaszczem uszytym według mody obcego narodu.

A środkowy krzyż na Górze Grozy pozostanie jutro pusty, chyba że moi uczniowie wyznaczą na czas następcę.